

DEAN KOONTZ

TAJEMNICA, KTÓRA

ZAGRAŻA LUDZKOŚCI

OCZY CIEMNOŚCI

ALBATROS

Wirus „Wuhan 400”, który pojawił się w książce Koontza prawie 40 lat temu, wzbudził ogromne zainteresowanie całego świata. Czy pisarz przewidział, co się wydarzy? Niektórzy wysunęli teorie spiskowe, że być może rozprzestrzeniający się na świecie koronawirus ma być nową bronią biologiczną. W rzeczywistości nie ma nic wspólnego z wirusem z książki, ale zbieżność nazw i miejsca jest zaskakująca. Pisarza zapewne zainteresował fakt, że w chińskim mieście Wuhan w latach 50. XX w. został założony ośrodek badawczy, Wuhan Institute of Virology, który prowadził zaawansowane prace właśnie nad wirusami.

**MATKA SZUKAJĄCA SYNA I TOKSYCZNY SEKRET, KTÓRY MOŻE ZAGROZIĆ
CAŁEMU ŚWIATU.**

TA PODRÓŻ OTWORZY DRZWI DO NAJBARDZIEJ ZABÓJCZEJ Z TAJEMNIC.

Przed rokiem Tina Evans straciła w tragicznym wypadku syna, Danny’ego. Kiedy w końcu udaje jej się pozbierać, by rozpocząć nowe życie, na tablicy w dawnym pokoju Danny’ego pojawiają się dwa słowa, które wywracają jej świat do góry nogami:

NIE UMARŁ

Czy to czyjś ponury żart? Czy coś o wiele gorszego? Zdesperowana matka podejmuje dochodzenie, które wzbudza zainteresowanie tajnej agencji rządowej. Na Tinę i jej partnera zaczynają polować bezwzględni zabójcy, którzy zrobią wszystko, aby świat nie odkrył prawdy pogrzebanej głęboko pod ziemią. Bo utrzymanie tej tajemnicy za drzwiami laboratorium jest warte każdej ceny. Także ceny życia – mężczyzny, kobiety... a nawet dziecka.

DEAN
KOONTZ

OCZY
CIEMNOŚCI

Z angielskiego przełożyli
Robert Waliś
Maria Gębicka-Frąc

ALBATROS

Wydanie elektroniczne

DEAN KOONTZ

Jeden z najpopularniejszych współczesnych amerykańskich autorów, mogący się pochwalić imponującą liczbą 450 milionów sprzedanych egzemplarzy książek. Karierę literacką rozpoczął w wieku dwudziestu lat, startując w konkursie na opowiadanie zorganizowanym przez „Atlantic Monthly”. Należy do pisarzy niezwykle płodnych: jego dorobek to kilkadziesiąt powieści oraz liczne opowiadania wydane pod własnym nazwiskiem i kilkoma pseudonimami. Do najpopularniejszych powieści Koontza należą: *Opiekunowie*, *Intensywność*, *Przepowiednia*, *Odd Thomas*, *Dobry zabójca*, *Prędkość*, *Mąż*, *Recenzja*, *Bez tchu*, *Co wie noc*, *Dom śmierci*, *Apokalipsa Odda*, *Interludium Odda*, *W świetle księżyca*, *Kątem oka*, *Klucz do północy*. Wiele z jego książek zostało przeniesionych na ekran telewizyjny lub kinowy. W książkach Deana Koontza czytelnik odnajdzie i coś z Cobena, i coś z *Z Archiwum X*. Jego powieści są zawsze gwarantem rozrywki na najwyższym poziomie.

Tego autora

TRZYNASTU APOSTOŁÓW
APOKALIPSA
PRZEPOWIEDNIA
PRĘDKOŚĆ
INWAZJA
INTENSYWNOŚĆ
NIEZNAJOMI
MAŻ
OCALONA
NIEZNISZCZALNY
DOBRY ZABÓJCA
PÓŁNOC
OSZUKAĆ STRACH
OCZY CIEMNOŚCI
ANIOŁ STRÓŻ
TWOJE SERCE NALEŻY DO MNIE
MASKA
MROCZNE POPOŁUDNIE
ZŁE MIEJSCE
SMOCZE ŁZY
RECENZJA
OPIEKUNOWIE
BEZ TCHU
DOM ŚMIERCI
CO WIE NOC
W MROKU NOCY
KĄTEM OKA
W ŚWIETLE KSIĘŻYCA
KLUCZ DO PÓŁNOCY
PIECZARA GROMÓW
NIEWINNOŚĆ
MIASTO

Odd Thomas

ODD THOMAS
DAR WIDZENIA
BRACISZEK ODD
KILKA GODZIN PRZED ŚWITEM
APOKALIPSA ODDA
INTERLUDIUM ODDA

Tytuł oryginału:
THE EYES OF THE DARKNESS

Copyright © 1981, 1996 by the Koontz Living Trust
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2020

Polish translation copyright © Robert Waliś (rozdziały 1–19) & Maria Gębicka-Frać
(rozdziały 20–40) 2020

Redakcja: Marta Gral

Zdjęcia na okładce: Design Projects/Shutterstock.com

Projekt graficzny okładki: Kasia Meszka

ISBN 978-83-8215-062-9

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS SP. Z O.O.

Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa

www.wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Przygotowanie wydania elektronicznego: Michał Nakoneczny, hachi.media

Spis treści

Wtorek, 30 grudnia

- 1
- 2
- 3
- 4
- 5
- 6
- 7
- 8
- 9

Środa, 31 grudnia

- 10
- 11
- 12
- 13
- 14

Czwartek, 1 stycznia

- 15
- 16
- 17
- 18
- 19
- 20
- 21
- 22
- 23
- 24
- 25
- 26

Piątek, 2 stycznia

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

38

39

40

Posłowie

*Ta ulepszona wersja
jest dla Gerdy,
z wyrazami miłości.
Po pięciu latach pracy,
gdy już prawie skończyłem
poprawiać swoje wczesne powieści,
niegdyś wydane
pod pseudonimami,
zamierzam
rozpocząć pracę nad
sobą.*

*Biorąc pod uwagę wszystko,
co wymaga poprawienia,
ten nowy projekt
będzie od tej pory znany
jako
plan STULETNI.*

WTOREK, 30 GRUDNIA

1

SZEŚĆ MINUT PO PÓLNOCY we wtorek, gdy Tina Evans wracała z wieczornej próby do nowego przedstawienia, zobaczyła swojego syna Danny'ego w samochodzie nieznajomej osoby. Tylko że Danny nie żył od ponad roku.

Dwie przecznice od domu zatrzymała się w całodobowym supermarkecie, żeby kupić mleko i bochenek razowego chleba. Zaparkowała w mgiełce żółtego światła lampy sodowej obok lśniącego kremowego chevrolata kombi. Chłopiec siedział na przednim siedzeniu pasażera i czekał na kogoś, kto wszedł do sklepu. Tina zobaczyła tylko profil, ale od razu go rozpoznała i z bólem westchnęła.

Danny...

Chłopiec miał mniej więcej dwanaście lat, tak samo jak Danny. Miał takie same gęste ciemne włosy, podobny nos i równie delikatną linię szczęki.

Wyszeptała imię syna, jakby bała się, że jeśli podniesie głos, spłoszy tę ukochaną zjawę.

Nie zdając sobie sprawy z tego, że jest obserwowany, chłopiec uniósł dłoń do ust i przygryzł knykięci kciuka, co Danny zaczął robić mniej więcej rok przed śmiercią. Bezskutecznie próbowała go od tego odzwyczaić.

Obserwując chłopca, doszła do wniosku, że podobieństwo do jej syna nie może być zwykłym przypadkiem. Nagle zaschło jej w ustach, a serce szybciej załomotało w piersi. Wciąż nie pogodziła się ze śmiercią swojego jedyne dziecko, ponieważ nie chciała – i nawet nie próbowała – się z nią pogodzić. Uchwyciwszy się podobieństwa tego chłopca do Danny'ego, mogła łatwo poddać się fantazji, że nigdy go nie straciła.

A może... może on jest naprawdę Danny'ym? Dlaczego nie? Im dłużej się nad tym zastanawiała, tym mniej szalone się to wydawało. W końcu nigdy nie widziała zwłok syna. Policjanci i pracownicy zakładu pogrzebowego powiedzieli, że ciało było tak straszliwie okaleczone, że nie powinna go oglądać. Przerazona i przytłoczona bólem, posłuchała ich rady i pogrzeb odbył się przy zamkniętej trumnie. Ale być może pomylili się przy identyfikacji ciała. Może Danny wcale nie zginął w wypadku. Może doznał tylko lekkich obrażeń głowy, które spowodowały... amnezję. Właśnie tak. Amnezję. Możliwe, że oddalił się od

rozbitego busa i ktoś znalazł go wiele kilometrów od miejsca wypadku, bez żadnych dokumentów, a on nie mógł powiedzieć, kim jest ani skąd pochodzi. Tak mogło być, prawda? Znała podobne przypadki z filmów. Jasne. Amnezja. A jeśli tak, to mógł trafić do rodziny zastępczej i rozpocząć nowe życie. A teraz siedzi w tym kremowym chevrolecie kombi, bo sprowadziło go do niej przeznaczenie i...

Chłopiec zorientował się, że ktoś go obserwuje, i odwrócił się w jej stronę. Wstrzymała oddech, gdy powoli obrócił głowę. Kiedy spojrzeli na siebie przez dwie szyby, w dziwnym żółtym świetle, odniosła wrażenie, że przenikają wzrokiem ogromną otchłań przestrzeni, czasu i losu. Ale fantazja po chwili się rozviała, ponieważ to nie był Danny.

Oderwała od niego wzrok i przyjrzała się swoim dłoniom, które tak kurczowo zaciskała na kierownicy, że aż czuła ból.

– Cholera.

Była na siebie zła. Uważała się za twardą, zaradną, rozsądną kobietę, która potrafi sobie poradzić ze wszystkim, co przynosi życie, dlatego niepokoiło ją, że wciąż nie może się pogodzić ze śmiercią Danny'ego.

Po pogrzebie, kiedy minął pierwszy szok, jakoś radziła sobie z traumą. Stopniowo, dzień po dniu, tydzień po tygodniu, pozostawiała syna za sobą, ze smutkiem i poczuciem winy, ze łzami i mnóstwem goryczy, ale także ze stanowczością i determinacją. W ciągu ostatnich kilku lat znacząco awansowała zawodowo i traktowała ciężką pracę jak morfinę, która miała łagodzić ból do czasu pełnego zabliznienia rany.

Ale kilka tygodni temu znów zaczęła popadać w ten straszny stan, w którym znalazła się tuż po otrzymaniu wieści o wypadku. Z całą mocą podsycala w sobie irracjonalne wyparcie. Ponownie dała się opętać dręczącemu przecuciu, że jej dziecko żyje. Czas powinien odsunąć od niej tę udrękę, ale okazało się, że w swojej żałobie zatoczyła pełny krąg. Ten chłopiec w chevrolecie to nie pierwsze dziecko, które wzięła za Danny'ego. W ciągu ostatnich tygodni widywała utraconego syna w innych samochodach, na mijanych szkolnych boiskach, na ulicach, w kinach.

Poza tym ostatnio wielokrotnie miała ten sam sen, w którym Danny żył. Za każdym razem po przebudzeniu przez kilka godzin nie potrafiła stawić czoła rzeczywistości. Prawie uwierzyła, że sen jest przepowiednią tego, że Danny kiedyś do niej wróci, że jakimś cudem przeżył wypadek i już niedługo znów znajdzie się w jej objęciach.

To była ciepła i cudowna fantazja, ale Tina nie była w stanie długo jej podtrzymać. Chociaż zawsze wypierała ponurą prawdę, ta w końcu dochodziła do głosu i brutalnie sprowadzała ją na ziemię, zmuszając do zaakceptowania tego,

że jej sen nie jest proroczy. Mimo to wiedziała, że kiedy znów jej się przyśni, odnajdzie w nim nową nadzieję, jak wiele razy wcześniej.

Tak nie powinno być.

To chore, zganiała się w myślach.

Zerknęła na samochód i zauważyła, że chłopiec wciąż na nią patrzy. Ponownie wbiła wzrok w swoje zaciśnięte dłonie i zdołała oderwać je od kierownicy.

Smutek może doprowadzić człowieka do obłądu. Znała tę mądrość i w nią wierzyła, lecz nie zamierzała pozwolić, by spotkało ją coś takiego. Będzie twarda i nie straci kontaktu z rzeczywistością, nawet najbardziej nieprzyjazną. Nie może sobie pozwolić na nadzieję.

Kochała Danny'ego z całego serca, ale on odszedł. Rozerwany i zmiażdżony w wypadku busa razem z czternastoma innymi chłopcami, jedna z ofiar w większej tragedii. Okaleczony tak, że nie dało się go rozpoznać. Martwy.

Zimny.

Rozkładający się.

W trumnie.

Pod ziemią.

Na zawsze.

Jej dolna warga zadrżała. Chciała się rozplakać, potrzebowała tego, ale powstrzymała łzy.

Chłopiec w chevrolecie przestał się nią interesować. Znów z wyczekiwaniem patrzył na witrynę sklepu spożywczego.

Tina wysiadła ze swojej hondy. Wieczór był przyjemnie chłodny i suchy, jak to na pustyni. Wzięła głęboki oddech i weszła do sklepu, gdzie lodowate powietrze przeszło ją do szpiku kości, a fluorescencyjne światło było zbyt jasne i zimne, by podsycać fantazje.

Kupiła beztłuszczowe mleko i bochenek cienko krojonego razowego pieczywa przygotowanego z myślą o osobach na diecie; każda porcja zawierała o połowę mniej kalorii niż zwykła kromka. Już nie była tancerką, teraz pracowała przy produkcji spektakli, ale wciąż czuła się najlepiej – fizycznie i psychicznie – gdy ważyła tyle samo co w czasach występów scenicznych.

Pięć minut później była już w swoim skromnym parterowym domu w spokojnej dzielnicy. Drzewa oliwne i koronkowe krzewy poruszały się leniwie w słabym wietrze pustyni Mojave.

W kuchni przyrządziła dwa tosty z cienką warstwą masła orzechowego, naląła sobie szklanek mleka i usiadła przy stole.

Tosty z masłem orzechowym były jedną z ulubionych przekąsek Danny'ego, nawet kiedy był jeszcze mały i mocno grymasił przy jedzeniu. Ale ciągle prosił o „toasty oziechowe”.

Kiedy Tina zamknęła oczy i zaczęła gryźć tosta, znów zobaczyła syna – trzylatka z ustami i brodą usmarowanymi masłem orzechowym – wołającego z szerokim uśmiechem: „Toasty oziechowe, plosię”.

Gwałtownie otworzyła oczy, ponieważ obraz był zbyt żywy, bardziej jak wizja, a nie wspomnienie. W tej chwili nie chciała tak wyraźnie go pamiętać.

Ale było już za późno. Serce ścisnęło jej się w piersi, dolna warga znów zadrgała i Tina oparła się głową o blat. Z oczu pociekły jej łzy.

* * *

TEJ NOCY ZNÓW ŚNIŁO się jej, że Danny żyje. Jakimś cudem. Gdzieś. Żyje. I jej potrzebuje.

Stał na skraju bezdennej przepaści, a ona znajdowała się po przeciwnej stronie i patrzyła na niego ponad potężną rozpadliną. Danny wołał ją po imieniu. Był samotny i wystraszony. Cierpiała, bo nie wiedziała, jak go osiągnąć. Tymczasem niebo błyskawicznie ciemniało; potężne burzowe chmury, podobne do zaciśniętych pięści niebiańskich olbrzymów, wyciskały z dnia resztki światła. Wołanie Danny'ego i jej odpowiedzi stawały się coraz bardziej piskliwe i rozpaczliwe, ponieważ oboje wiedzieli, że muszą osiągnąć się przed zmrokiem, w przeciwnym razie stracą się na zawsze. Nadchodząca noc niosła ze sobą coś groźnego dla Danny'ego, coś, co miało go pochwycić, gdyby został sam po zmierzchu. Nagle niebo przecięła błyskawica, a po chwili huknął grzmot i noc ogarnął jeszcze głębszy mrok, nieskończona i idealna czerń.

Tina Evans usiadła na łóżku, przekonana, że usłyszała w domu jakiś hałas. To nie był grzmot, który jej się przyśnił. Odgłos pojawił się, kiedy już się budziła, i był prawdziwy, a nie wyobrażony.

Wyteżyła słuch, gotowa odrzucić pościel i wyslizgnąć się z łóżka. Panowała cisza.

Stopniowo ogarnęły ją wątpliwości. Rzeczywiście ostatnio była nerwowa. Nie po raz pierwszy wydawało jej się, że ktoś krąży po domu. W ciągu ostatnich dwóch tygodni kilka razy brała pistolet ze stolika nocnego i starannie przeszukiwała wszystkie pomieszczenia, ale nikogo nie znalazła. Ostatnio jej życie, zarówno prywatne, jak i zawodowe, dostarczało jej stresu. Może to naprawdę był huk grzmotu z jej snu.

Przez kilka minut zachowywała czujność, ale noc była tak spokojna, że w końcu musiała przyznać, że jest sama. Serce Tiny uspokoiło się i opadła na poduszkę.

W takich chwilach żałowała, że już nie jest z Michaeliem. Zamknęła oczy i wyobraziła sobie, że leży obok niego, szuka go ręką w ciemności i dotyka, opiera się o niego i znajduje schronienie w jego objęciach. Pocieszyłby ją, uspokoił i wkrótce by zasnęła.

Oczywiście gdyby ona i Michael teraz znaleźli się razem w łóżku, wyglądałoby to zupełnie inaczej. Wcale by się nie kochali, tylko kłócili. On opierałby się jej czułościom i próbował ją zniechęcić, wszczynając sprzeczkę. Zaczęłoby się od jakiegoś drobiazgu, a potem prowokowałby ją, aż zmieniłoby się to w małżeńską wojnę. Tak się działo w ostatnich miesiącach ich wspólnego życia. Wprost kipiał wrogością i stale szukał pretekstów, by wyładować na niej złość.

Kochała go do samego końca, więc rozpad ich związku ranił ją i smucił. Ale zarazem odetchnęła z ulgą, gdy wreszcie się zakończył.

Straciła dziecko i męża w ciągu jednego roku, najpierw mężczyznę, potem chłopca: syna zabrała śmierć, męża porwał wiatr zmian. W ciągu dwunastu lat małżeństwa stała się inną, bardziej złożoną osobą niż w dniu ślubu, podczas gdy on w ogóle się nie zmienił i nie podobała mu się kobieta, jaką stała się Tina. Na początku, jako młodzi kochankowie, dzielili się wszystkimi detalami codziennego życia – triumfami i porażkami, radościami i frustracjami – ale w dniu rozwodu byli sobie całkowicie obcy. Chociaż Michael wciąż mieszkał w tym samym mieście, zaledwie kilometr od niej, w pewnym sensie był równie daleki i nieosiągalny jak Danny.

Westchnęła z rezygnacją i otworzyła oczy.

Już nie była śpiąca, ale wiedziała, że powinna wypocząć. Rano musiała być rześka i czujna.

Jutro czekał ją jeden z najważniejszych dni w życiu: trzydziesty grudnia. W innych latach ta data niczym szczególnym się nie wyróżniała, ale tak się złożyło, że od tego trzydziestego grudnia zależała cała jej przyszłość.

Przez piętnaście lat, od osiemnastych urodzin, które świętowała dwa lata przed wyjściem za mąż za Michaela, Tina Evans mieszkała i pracowała w Las Vegas. Rozpoczęła karierę tancerki w Lido de Paris, gigantycznej rewii wystawianej w hotelu Stardust. Lido był jednym z tych pełnych przepychu spektakli, jakich nie da się obejrzeć nigdzie na świecie poza Vegas, ponieważ tylko tam można rok po roku wystawiać przedstawienia kosztujące miliony dolarów, nie troszcząc się o zyski. Wydawano tak wielkie sumy na wyszukaną scenografię i stroje, a także na liczną obsadę i obsługę, że kierownictwo hotelu było zazwyczaj zadowolone, jeśli

sprzedaż biletów i drinków pokrywała koszt spektaklu. W końcu, mimo że rewia była fantastyczna, pełniła tylko funkcję wabika, który miał co wieczór przyciągnąć do hotelu kilka tysięcy ludzi. Wędrując między wejściem a salą widowiskową, tłum mijał stoliki do gry w kości, blackjacka i ruletkę oraz rzędy automatów, i to właśnie one zapewniały prawdziwe zyski. Tina lubiła tańczyć w rewii i występowała w niej przez dwa i pół roku, dopóki nie dowiedziała się, że jest w ciąży. Zrobiła sobie przerwę na urodzenie Danny'ego, a potem spędziła z nim w domu kilka pierwszych miesięcy. Kiedy Danny skończył pół roku, zaczęła ćwiczyć, by wrócić do dawnej formy, i po trzech miesiącach harówki dostała angaż w nowym spektaklu w Las Vegas. Udawało jej się łączyć rolę dobrej tancerki i dobrej matki, chociaż nie zawsze było to łatwe. Kochała Danny'ego i lubiła swoją pracę, więc taka podwójna kariera jej służyła.

Ale pięć lat temu, po dwudziestych ósmych urodzinach, zaczęła zdawać sobie sprawę, że pozostało jej najwyżej dziesięć lat występów na scenie, postanowiła więc zmienić zawód, aby w wieku trzydziestu ośmiu lat nie zostać na lodzie. Zatrudniła się jako choreografka w drugorzędnej hotelowej rewii, taniej imitacji Lido, a z czasem zaczęła się również zajmować kostiumami. Pracowała przy kilku większych spektaklach, a także w niewielkich salach widowiskowych mieszczących czterystu albo pięciuset widzów, w podrzędnych hotelach o ograniczonym budżecie na występy artystyczne. W końcu podjęła się reżyserowania rewii, a przy kolejnej pracowała także jako producentka. Konsekwentnie wyrabiała sobie nazwisko w hermetycznej branży rozrywkowej Las Vegas i wierzyła, że jest o krok od wielkiego sukcesu.

Niemal rok temu, wkrótce po śmierci Danny'ego, zaproponowano jej, by została reżyserką i współproducentką olbrzymiego przedstawienia o dziesięciomilionowym budżecie, które miało zostać wystawione w mieszczącej dwa tysiące widzów głównej sali widowiskowej Golden Pyramid, jednego z największych i najbardziej luksusowych hoteli przy Strip. Początkowo nie mogła się pogodzić z tym, że taka cudowna okazja pojawiła się, zanim zdążyła opłakać syna, zupełnie jakby los był tak płytki i nieczuły, że postanowił zrekompensować jej śmierć dziecka wymarzoną zleceniem. Ale chociaż była zgorzkniała i przygnębiona, chociaż czuła się pusta i bezużyteczna – a może właśnie dlatego – postanowiła podjąć to wyzwanie.

Nowy spektakl nosił tytuł *Magyck!*, ponieważ pomiędzy numerami tanecznymi na scenie występowali iluzjoniści, a produkcja charakteryzowała się wyszukаныmi efektami specjalnymi i opowiadała o zjawiskach nadnaturalnych. To nie Tina wymyśliła dziwny zapis tytułu, ale opracowała większą część programu i była

zadowolona z końcowego efektu. A także wyczerpana. Cały ten rok był karuzelą zlewających się w jedno dni, podczas których pracowała po dwanaście albo czternaście godzin, bez urlopu i niemal bez wolnych weekendów.

Mimo nawału pracy wciąż z trudem radziła sobie ze stratą Danny'ego. Miesiąc temu odniosła wrażenie, że po raz pierwszy zaczyna przewycięzać smutek. Była w stanie myśleć o synu bez łez i odwiedzać jego grób bez napadów przytłaczającego żalu. Czuła się całkiem nieźle, a nawet dopisywał jej humor. Wiedziała, że nigdy nie zapomni Danny'ego, uroczego dziecka, które było dla niej tak ważne, ale czuła, że już nie będzie musiała budować swojej przyszłości wokół olbrzymiej wyrwy, jaka powstała w jej życiu. Rana wciąż była delikatna, ale zasklepiła się.

Tak uważała miesiąc temu. Była coraz bliższa pogodzenia się ze swoją stratą, lecz jakieś dwa tygodnie temu pojawiły się nowe sny, znacznie gorsze niż te bezpośrednio po śmierci Danny'ego.

Być może to obawy, jak publiczność przyjmie spektakl, sprawiły, że powróciły lęki związane z Dannym. Za niecałe siedemnaście godzin – trzydziestego grudnia o godzinie dwudziestej – w hotelu Golden Pyramid miała się odbyć specjalna premiera *Magyck!*, na którą zaproszono tylko VIP-ów, a następnego wieczoru, w sylwestra, przedstawienie obejrzą zwykli widzowie. Jeśli odbiór będzie pozytywny, na co Tina liczyła, nie będzie się musiała martwić o swoją finansową przyszłość, ponieważ umowa zapewniała jej dwa i pół procent od obrotu powyżej pięciu milionów dolarów; oczywiście nie wliczano w to sprzedaży alkoholu. Jeżeli spektakl odniesie sukces i będzie zapełniał salę widowiskową przez kolejne cztery albo pięć lat – co czasami zdarza się w Vegas – Tina zostanie multimilionerką. Jeśli spektakl zrobi klapę i nie spodoba się publiczności, Tina wróci do pracy w małych salach. Show-biznes to bezlitosna branża.

Nic dziwnego, że dręczył ją niepokój. Obsesyjny strach przed włamywaczem, niespokojne sny o Dannym, powrót napadów smutku – wszystko to mogło mieć swoje źródło w obawach o powodzenie spektaklu. Jeśli tak było, objawy powinny ustąpić wkrótce po tym, jak wyjaśni się dalsze losy przedstawienia. Musiała wytrzymać jeszcze tylko kilka dni, a kiedy odzyska względny spokój, będzie kontynuowała proces uzdrowienia.

Na razie koniecznie powinna się wyspać. Na dziesiątą rano umówiła się z dwoma agentami zajmującymi się organizacją wyjazdowych występów, którzy rozważali zarezerwowanie ośmiu tysięcy biletów na spektakl w ciągu pierwszych trzech miesięcy jego obecności na afiszu. O trzynastej cała obsada i techniczni spotykali się na próbie generalnej.

Poprawiła poduszki, ułożyła kołdrę i obciągnęła krótką koszulę nocną. Próbowwała się odprężyć, zamykając oczy i wyobrażając sobie nocne fale łagodnie obmywające srebrzystą plażę.

Łup!

Gwałtownie usiadła.

Coś się przewróciło w innej części domu. To musiał być duży przedmiot, ponieważ usłyszała ten odgłos przez ściany.

Cokolwiek to było... nie upadło tak po prostu. Zostało potrącone. Ciężkie przedmioty nie przewracają się same z siebie w pustych pomieszczeniach.

Przechyliła głowę, wyteżając słuch. Po chwili usłyszała kolejny – cichszy – dźwięk. Nie zdążyła zidentyfikować jego źródła, ale miała wrażenie, że został rozmyślnie stłumiony. Tym razem nie wymyśliła sobie zagrożenia. Ktoś naprawdę był w domu.

Usiadła na łóżku i włączyła lampkę. Otworzyła szufladę nocnego stolika. Pistolet był naładowany. Odbezpieczyła go.

Przez chwilę nasłuchiwała.

W kruchej ciszy pustynnej nocy wyobrażała sobie, że włamywacz również nasłuchuje jej odgłosów.

Wstała z łóżka i włożyła kapcie. Trzymając broń w prawej dłoni, cicho podeszła do drzwi sypialni.

Rozważała zadzwonienie na policję, ale bała się, że wyjdzie na idiotkę. A jeśli przyjadą na sygnale i nikogo nie znajdą? Gdyby w ciągu ostatnich dwóch tygodni wzywała policję za każdym razem, gdy wydawało jej się, że ktoś chodzi po domu, już dawno uznaliby ją za pomyloną. Duma nie pozwalała jej ośmieszyć się przed dwójką gliniarzy macho, którzy skwitowaliby jej obawy uśmiechem, a potem, nad pączkami i kawą, stroiliby sobie z niej żarty. Postanowiła samodzielnie przeszukać dom.

Wycelowała w sufit i wsunęła pocisk do komory.

Wzięła głęboki oddech, otworzyła drzwi i ostrożnie wyszła na korytarz.

2

PRZESZUKAŁA CAŁY DOM, OPRÓCZ dawnego pokoju Danny'ego, ale nie znalazła żadnego włamywacza. Miała wrażenie, że wolałaby odkryć kogoś czającego się w kuchni albo przykucniętego w szafie, niż zaglądać do tego ostatniego pomieszczenia, w którym zadomowił się smutek. Nie miała jednak wyboru.

Nieco ponad rok przed śmiercią Danny przeprowadził się do pokoju w innej części niewielkiego domu, z dala od głównej sypialni. Wkrótce po dziesiątych urodzinach poprosił o więcej przestrzeni i prywatności, niż miał do dyspozycji w swoim dotychczasowym malutkim pokoju. Michael i Tina pomogli mu przenieść jego rzeczy do nowego; zabrali stamtąd kanapę, fotel, stolik oraz telewizor i umieścili je w pomieszczeniu, które dotychczas zajmował.

Tina była przekonana, że Danny wiedział o nocnych kłótniach w ich sypialni, która sąsiadowała z jego pokojem, i dlatego zapragnął się przenieść, aby nie słyszeć tych sprzeczek. Ona i Michael jeszcze wtedy na siebie nie krzyczeli; spierali się normalnymi głosami, czasem nawet szeptem, ale Danny zapewne słyszał wystarczająco dużo, by wiedzieć, że mają problemy.

Żałowała, że musiał to odkryć, ale nie porozmawiała z nim na ten temat, niczego mu nie wytłumaczyła ani nie zdobyła się na słowa otuchy. Po pierwsze, nie wiedziała, co mogłaby powiedzieć. Z pewnością nie mogła podzielić się z nim swoją oceną sytuacji: „Danny, kochanie, nie przejmuj się niczym, co usłyszałeś przez ścianę. Twój ojciec po prostu przechodzi kryzys tożsamości. Ostatnio zachowuje się jak osioł, ale mu to przejdzie”. Nie chciała opowiadać chłopcu o swoich problemach z jego ojcem, bo uważała, że oddalili się od siebie tylko tymczasowo. Kochała męża i była przekonana, że siła jej miłości wystarczy, by odbudować ich małżeństwo. Sześć miesięcy później byli już w separacji, a po kolejnych pięciu rozwiedli się.

Teraz, koniecznie chcąc zakończyć poszukiwania włamywacza – którego najwyraźniej tylko sobie ubzdurała, jak tych, których ostatnio tropiła – otworzyła drzwi do pokoju Danny'ego. Zapaliła światło i weszła do środka.

Pusto.

Trzymając pistolet przed sobą, podeszła do szafy, zawahała się, a następnie odsunęła drzwi. Nikt się tutaj nie ukrywał. Mimo tego, co usłyszała, była w domu sama.

Kiedy wpatrywała się w zawartość zatechłej szafy – buty Danny'ego, jego dżinsy i inne spodnie, koszule, swetry, niebieską czapkę baseballową Dodgersów, mały niebieski garnitur, który zakładał na specjalne okazje – poczuła, że ściska jej się gardło. Szybko zasunęła drzwi i oparła się o nie plecami.

Chociaż od pogrzebu upłynął ponad rok, nie była w stanie pozbyć się rzeczy syna. Miała wrażenie, że ich oddanie byłoby jeszcze smutniejsze i bardziej ostateczne niż patrzenie na trumnę opuszczaną do grobu.

Zachowała nie tylko jego ubrania: cały jego pokój pozostał w niezmiennym stanie. Łóżko było starannie zaścienione, a na szerokiej ramie szczytowej stało kilka figurek postaci z filmów science fiction. Ponad sto książek w miękkiej oprawie, uporządkowanych alfabetycznie, zajmowało pięć półek regału. W kącie stało biurko; jego jedną połowę pokrywały równo poukładane tubki z klejem, miniaturowe buteleczki farb emaliowych w różnych kolorach oraz rozmaite narzędzia modelarskie, a druga połowa była pusta, jakby czekała, aż Danny zabierze się do pracy. W gablotce stało dziewięć modeli samolotów, a trzy kolejne wisiały pod sufitem. Ściany były ozdobione równomiernie rozmieszczonymi plakatami – trzy gwiazdy koszykówki, pięć potworów z horrorów – które chłopiec starannie porozwieszał.

W odróżnieniu od wielu dzieci w jego wieku, przywiązywał dużą wagę do porządku. Szanując jego przywiązanie do schludności, Tina po śmierci syna poprosiła panią Neddler, sprzątaczkę, która przychodziła do nich dwa razy w tygodniu, żeby odkurzała jego pokój, jakby nic się nie stało. Jak zwykle był nieskazitelnie czysty.

Patrząc na zabawki i małe skarby zmarłego chłopca, Tina uświadomiła sobie, nie pierwszy raz, że dla własnego zdrowia psychicznego nie powinna zmieniać tego pomieszczenia w muzeum. Ani w miejsce kultu. Dopóki niczego nie zmieniała, mogła karmić się nadzieją, że Danny nie zginął, że tylko wyjechał i wkrótce wróci do swojego dawnego życia. Nagle przeraziło ją, że nie potrafi opróżnić tego pokoju; po raz pierwszy odniosła wrażenie, że to nie tylko oznaka słabości, ale także poważnej choroby umysłowej. Musiała pozwolić mu odejść. Rozumiała, że jeśli chce kiedykolwiek przestać o nim śnić i zapanować nad smutkiem, powinna rozpocząć terapię tutaj, w tym pokoju, pokonując irracjonalną potrzebę zachowania go w nienaruszonym stanie.

Postanowiła, że posprząta w czwartek, w Nowy Rok. Wtedy będzie już po obu premierach *Magyck!*, dla VIP-ów i zwykłej publiczności. Będzie mogła się odprężyć i zrobić sobie kilka dni wolnego. Zacznie od spędzenia czwartkowego popołudnia na chowaniu do pudeł ubrań, zabawek i plakatów syna.

Kiedy tylko podjęła tę decyzję, napięcie niemal ustąpiło. Oklapła, bezwładna i zmęczona, gotowa wrócić do łóżka.

Kiedy ruszyła w stronę drzwi, kątem oka zauważyła sztalugę i przystanąła. Danny lubił rysować, a sztalugę, wraz z pudełkiem kredek ołówkowych, flamastrów i farb, dostał w prezencie na dziewiąte urodziny. Na jej odwrocie znajdowała się tablica do pisania kredą. Zostawił ją pod ścianą w głębi pokoju, za łóżkiem, i tam właśnie stała, kiedy Tina ostatnio tutaj była. Ale teraz leżała przekrzywiona na stoliku do gier planszowych, tablicą do dołu. Na stoliku leżała wcześniej plansza do elektronicznej gry w okręty, tak jak Danny ją zostawił, ale upadająca sztaluga strąciła ją na podłogę.

Najwyraźniej to było źródło hałasu, który usłyszała Tina. Ale co mogło przewrócić sztalugę? Nie mogła sama upaść.

Odłożyła pistolet, okrążyła łóżko i postawiła sztalugę. Potem pozbierała elementy gry w okręty i rozmieściła je na stoliku.

Podniosła rozrzucone kawałki kredy i gąbkę, po czym zwróciła się w stronę tablicy i zobaczyła dwa słowa nabazgrane na jej czarnej powierzchni:

NIE UMARŁ

Zmarszczyła czoło.

Była pewna, że na tablicy nie było żadnego napisu, gdy Danny wyjeżdżał na wycieczkę skautowską. Także kiedy ostatnio odwiedzała jego pokój, tablica była pusta.

Gdy dotknęła napisu, dotarło do niej, co to może oznaczać. Wypełnił ją chłód, niczym woda wsiąkająca w gąbkę. *Nie umarł*. To było wyparcie śmierci Danny'ego. Wściekłe odrzucenie potwornej prawdy. Wyzwanie rzucone rzeczywistości.

Czy pod wpływem jednego z napadów smutku, opętana czarną rozpaczą, przyszła do tego pokoju i nieświadomie napisała te słowa na tablicy Danny'ego?

Nie pamiętała, żeby to zrobiła. Jeżeli rzeczywiście zostawiła tę wiadomość, to musi mieć zaniki pamięci, chwilowe ataki amnezji, z których nie zdaje sobie sprawy. A może lunatkuje. Tak czy inaczej, nie potrafiła tego zaakceptować.

Dobry Boże, niemożliwe, żeby to napisała.

A skoro tak, to te słowa musiały tutaj być od początku. Danny zapewne napisał je przed śmiercią. Tylko że jego charakter pisma był schludny, jak wszystko, co robił, i nie przypominał tych bazgrołów. Mimo wszystko to na pewno on. Na pewno.

A co z oczywistym związkiem tych słów z wypadkiem, w którym zginął?

Przypadek. Danny oczywiście odnosił się do czegoś innego, a mroczna interpretacja, która teraz jej się nasuwała, to tylko skutek makabrycznego zbiegu okoliczności.

Nie chciała brać pod uwagę innych możliwości, ponieważ były zbyt przerażające.

Objęła się ramionami. Miała lodowate dłonie, które ziębiły ją nawet przez koszulę nocną.

Drżąc na całym ciele, dokładnie starła słowa z tablicy, zabrała pistolet i wyszła z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Była całkowicie rozbudzona, ale powinna się trochę przespać. Rano czekało ją mnóstwo obowiązków. Ważny dzień.

W kuchni wyciągnęła z szafki pod zlewozmywakiem butelkę Wild Turkey. To był ulubiony bourbon Michaela. Nalała sobie jedną czwartą szklanki. Chociaż rzadko pijała i zazwyczaj ograniczała się do kieliszka wina, a na mocne alkohole miała za słabą głowę, opróżniła szklankę dwoma haustami. Krzywiąc się pod wpływem gorzkiego trunku i zastanawiając się, jak Michael mógł się rozplýwać nad jego gładkością, z wahaniem wlała do szklanki kolejną porcję, tym razem o połowę mniejszą. Szybko ją połknęła, jak dziecko zażywające lekarstwo, po czym schowała butelkę.

Wróciła do łóżka, otuliła się kołdrą, zamknęła oczy i starała się nie myśleć o tablicy. Ale jej obraz pojawił się pod jej powiekami. Nie potrafiła się go pozbyć, więc spróbowała go zmienić, w myślach zmazując słowa. Lecz wciąż na nowo pojawiały się te same litery: NIE UMARŁ. Chociaż raz za razem je usuwała, uparcie powracały. Zakręciło jej się w głowie od bourbona i w końcu osunęła się w wyczekiwana nieświadomość.

3

WE WTOREK PO POŁUDNIU Tina obejrzała próbę generalną *Magyck!* z miejsca na środku widowni sali widowiskowej hotelu Golden Pyramid.

Sala miała kształt olbrzymiego wachlarza rozłożonego pod wysoko sklepionym sufitem. Na zmianę szerokie i wąskie galerie opadały ku scenie. Na tych szerszych stały długie stoły przykryte białymi obrusami, z krzesłami obróconymi w stronę sceny. Na każdej z węższych galerii znajdowało się metrowej szerokości przejście z niską balustradą po jednej i łukowatym rzędem boksów z miękkimi siedzeniami po drugiej stronie. Wszystkie siedzenia były zwrócone ku potężnej scenie, o ponad połowę większej od największej na Broadwayu, bo właśnie tego wymagają spektakle w Las Vegas. Scena była tak olbrzymia, że mogłby na nią wjechać samolot pasażerski DC-9 i nie zająłby nawet połowy – zresztą kilka lat wcześniej dokonano takiego wyczynu na podobnej scenie w hotelu w Reno. Bogate zdobienia z błękitnego aksamitu i ciemnej skóry, kryształowe żyrandole i gruba niebieska wykładzina, a także doskonale dopasowane efektowne oświetlenie sprawiały, że w wielkiej sali panował klimat przytulnego kabaretu.

Tina usiadła w jednym z boksów w trzecim rzędzie i nerwowo popijała wodę, oglądając przedstawienie.

Próba generalna przebiegła bez zakłóceń. Rozplanowanie siedmiu rozbudowanych numerów wokalnych i pięciu występów rewiowych z udziałem czterdziestu dwóch tancerek, czterdziestu dwóch tancerzy, piętnastu tancerek solistek, dwóch śpiewaków, dwóch śpiewaczek (w tym jednej kapryśnej), czterdziestu siedmiu osób z obsługi i techników, dwudziestoosobowej orkiestry, jednego słonia, jednego lwa, dwóch czarnych panter, sześciu golden retrieverów i dwunastu białych gołębi było oszałamiająco skomplikowane, ale rok ciężkiej harówki zaowocował gładkim i bezbłędnym przebiegiem próby.

Na koniec członkowie obsady i obsługi zgromadzili się na scenie, nagrodzili się nawzajem oklaskami, padli sobie w ramiona i zasypali się pocałunkami. W powietrzu wyczuwało się elektryczność, poczucie triumfu i nerwowe oczekiwanie sukcesu.

Joel Bandiri, współproducent, oglądał spektakl z boksu dla VIP-ów w pierwszym rzędzie, gdzie co wieczór mieli zasiadać najważniejsi gracze i przyjaciele hotelu. Kiedy tylko próba dobiegła końca, Joel zerwał się ze swojego miejsca i biegiem wspiął się na trzeci poziom.

– Udało się! – zawołał. – Cholera, to działa!

Tina wyszła mu na spotkanie.

– Mamy prawdziwy hit, mała! – Joel mocno ją uściskał i dał jej mokrego całusa w policzek.

Ona również uściskała go z entuzjazmem.

– Tak sądzisz? Naprawdę?

– Sądzę? Ja to wiem! To gigant. Prawdziwy gigant! Kolos!

– Dziękuję, Joel. Dziękuję, dziękuję, dziękuję.

– Za co mi dziękujesz?

– Za to, że dałeś mi szansę pokazać, na co mnie stać.

– Niczego mi nie zawdzięczasz, mała. Wypruwałaś sobie żyły. Zasłużyłaś na każdego centa, którego na tym zarobisz. Stanowimy zgraną drużynę. Gdyby ktokolwiek inny się na to porwał, wyszłaby z tego wielka katastrofa. Ale my zrobiliśmy z tego hit.

Joel był osobliwym człowieczkiem: miał nieco ponad metr sześćdziesiąt wzrostu i był dość pulchny, ale nie gruby, z kręconymi brązowymi włosami, które wyglądały, jakby poraził go prąd. Jego twarz, szeroka i komiczna jak u klauna, potrafiła przybrać dowolny wyraz. Nosił dzinsy, tanią roboczą koszulę i sygnety warte jakieś dwieście tysięcy dolarów. Na każdej dłoni miał ich po sześć, niektóre z brylantami, inne ze szmaragdami, jeden z dużym rubinem, a jeden z jeszcze większym opalem. Jak zawsze sprawiał wrażenie, jakby się naćpał – wręcz kipiał energią. Kiedy wreszcie przestał ścisnąć Tinę, nie potrafił ustać w miejscu. Przeształ z nogi na nogę, opowiadając o przedstawieniu; kręcił się na boki, gestykulował i machał dłońmi usianymi klejnotami, zupełnie jakby tańczył.

W wieku czterdziestu sześciu lat był jednym z najlepszych producentów w Las Vegas i miał na koncie dwadzieścia lat pracy nad przebojowymi spektaklami. Słowa *Joel Bandiri przedstawia* na szyldzie były gwarancją pierwszorzędnej rozrywki. Zainwestował część swoich znacznych dochodów w kilka nieruchomości w Las Vegas, dwa hotele, salon sprzedaży samochodów i kasyno z automatami. Był tak bogaty, że mógłby przejść na emeryturę i spędzić resztę życia otoczony przepychem, który tak lubił. Ale nigdy nie odszedłby z własnej woli. Kochał swoją pracę. Prawdopodobnie czekała go śmierć na scenie, w samym środku rozpracowywania jakiegoś trudnego problemu produkcyjnego.

Widział produkcje Tiny w kilku salach w mieście i zaskoczył ją, gdy zaproponował, by została współproducentką *Magyck!* Początkowo nie była pewna, czy powinna się zgodzić. Znała jego reputację perfekcjonisty, który wymaga od innych nadludzkiego wysiłku. Martwiła ją także odpowiedzialność wiążąca się z dziesięciomilionowym budżetem. Obracanie taką sumą nie było krokiem naprzód w karierze, ale gigantycznym skokiem.

Joel przekonał ją, że nie będzie miała kłopotów z dotrzymaniem mu kroku ani ze sprostaniem jego standardom i poradzi sobie z tym wyzwaniem. Pomógł jej odkryć nowe pokłady energii i nowe zdolności. Stał się dla niej nie tylko cennym współpracownikiem, ale też dobrym przyjacielem, kimś takim jak starszy brat.

A teraz najwyraźniej wspólnie stworzyli przebojowy spektakl.

Kiedy stała w tej pięknej sali, spoglądając na ludzi w barwnych kostiumach, którzy kłębili się na scenie, i na gumowatą twarz Joela, który bezwstydnie wychwalał jej pracę, ogarnęło ją szczęście, jakiego nie czuła od dawna. Jeśli widownia podczas premiery dla VIP-ów zareaguje entuzjastycznie, być może Tina będzie musiała kupić ołowiane ciężarki, żeby nie unieść się pod sufit.

Dwadzieścia minut później, kwadrans przed szesnastą, wyszła na gładki bruk przed głównym wejściem do hotelu i wręczyła kwit mężczyźnie parkującemu samochody. Poszedł po jej honde, a ona stała w ciepłym blasku popołudniowego słońca i nie potrafiła przestać się uśmiechać.

Obejrzała się na hotel i kasyno Golden Pyramid. Jej przyszłość była nieodłącznie związana z tą krzykliwą, ale niewątpliwie imponującą górą betonu i stali. Ciężkie drzwi obrotowe z brązu i szkła migotały, przepuszczając nieprzerwaną rzekę ludzi. Fortyfikacje z bladoróżowego kamienia ciągnęły się na dziesiątki metrów w obie strony; ściany bez okien były krzykliwe ozdobione strumieniem olbrzymich monet wylewającym się z kamiennego rogu obfitości. Bezpośrednio nad nią setki świateł zdobiły sufit potężnego portyku; teraz wszystkie żarówki były zgaszone, ale po zmroku zalewały oślepiającym złotym światłem migoczący bruk. Budowa hotelu kosztowała ponad czterysta milionów dolarów, a właściciele zadbali, aby było widać każdego centa. Tina podejrzewała, że dla niektórych ten budynek jest ohydny, prostackim i brzydkim kiczem, ale ona go uwielbiała, ponieważ tutaj otrzymała swoją wielką szansę.

Jak na razie dzień trzydziesty grudnia w Pyramid był pracowity, hałaśliwy i ekscytujący. Po względnie spokojnym świątecznym tygodniu nieprzerwana rzeka gości znów popłynęła do środka. Liczba sylwestrowych rezerwacji pozwalała spodziewać się rekordowych tłumów. Wynajęto wszystkie pokoje, podobnie jak w innych hotelach w Las Vegas. Kilka minut po jedenastej jakaś sekretarka z San

Diego wrzuciła pięć dolarów do automatu i rozbiła bank, zgarniając czterysta dziewięćdziesiąt pięć tysięcy dolarów; wieści o tym dotarły nawet za kulisy sali widowiskowej. Tuż przed dwunastą dwaj gracze z Dallas usiedli przy stole do blackjacka i w ciągu trzech godzin przegrali ćwierć miliona dolców. Śmiali się i żartowali, odchodząc od stołu, by spróbować szczęścia w innej grze. Carol Hirson, kelnerka i koleżanka Tiny, kilka minut temu opowiedziała jej o tych pechowych Teksańczykach. Carol głośno dyszała i lśniły jej oczy, ponieważ tamci dali jej kilka zielonych żetonów w ramach napiwku, zupełnie jakby wygrywali, a nie przegrywali. Za przyniesienie im kilkunastu drinków dostała tysiąc dwieście dolarów.

Do miasta przyjechał Sinatra i zatrzymał się w Caesar's Palace, być może po raz ostatni; nawet w wieku osiemdziesięciu lat wzbudzał w Vegas większe emocje niż jakakolwiek inna sława. Całe Strip, a także mniej eleganckie, ale równie zatłoczone kasyna przy innych ulicach migotały i tętniły życiem.

Za zaledwie cztery godziny odbędzie się premiera *Magyck!*

Gdy parkingowy przyprowadził hondę, wręczyła mu napiwek.

– Połamania nóg dziś wieczorem, Tino! – zawołał.

– Mam nadzieję.

Wróciła do domu kwadrans po szesnastej. Miała dwie i pół godziny do ponownego wyjścia.

Nie potrzebowała aż tak wiele czasu, by wziąć prysznic, nałożyć makijaż i ubrać się, więc postanowiła spakować część rzeczy Danny'ego. To była właściwa chwila, żeby zabrać się za to nieprzyjemne zadanie. Była w tak doskonałym nastroju, że nawet widok jego pokoju nie mógł jej zdołować tak jak zazwyczaj. Nie było sensu odkładać tego do czwartku, jak pierwotnie planowała. Miała dość czasu, żeby chociaż zacząć pakować ubrania syna.

Kiedy weszła do sypialni Danny'ego, od razu zauważyła, że sztaluga znów się przewróciła. Odstawiła ją na miejsce.

Na tablicy widniały słowa:

NIE UMARŁ

Przeszedł ją dreszcz.

Czy wczoraj wieczorem po wypiciu bourbona wróciła tutaj otepiała i...?

Nie.

Nie straciła kontaktu z rzeczywistością. Nie napisała tych słów. Nie popadała w obłęd. Nie była osobą, która mogła się załamać czymś takim. Nawet czymś

takim. Była twarda. Zawsze chlubiła się swoją siłą i odpornością.

Chwyciła gąbkę i energicznie starła tablicę.

Ktoś bawił się z nią w paskudną, chorą grę. Ktoś przyszedł do domu podczas jej nieobecności i ponownie zapisał te słowa na tablicy. Ktokolwiek to był, chciał przypomnieć jej o tragedii, o której tak bardzo pragnęła zapomnieć.

Jedyną osobą, która miała prawo przebywać w jej domu, była sprzątaczką, Vivienne Neddler. Miała przyjść tego popołudnia, ale to odwołała. Zamiast tego miała wpaść na kilka godzin wieczorem, kiedy Tina będzie na premierze.

Ale nawet jeśli Vivienne mimo wszystko zjawiłaby się wcześniej, nigdy nie napisałyby tych słów. Była uroczą staruszką, przebojową i niezależną, ale nie miała skłonności do okrutnych żartów.

Tina zachodziła w głowę, kto mógł to zrobić, aż nagle doznała olśnienia. Był tylko jeden podejrzany. Michael. Jej były mąż. Nie widziała śladów włamania, a Michael jako jedyny miał klucze. Nie zmieniła zamków po rozwodzie.

Zdruzgotany utratą syna, przez kilka miesięcy po pogrzebie był nieracjonalnie napastliwy wobec Tiny, oskarżając ją o śmierć chłopca: to ona pozwoliła mu na udział w wycieczce i szkoda, że sama nie była w busie, który wpadł w przepaść. Ale przecież Danny marzył o wyjeździe w góry. Poza tym pan Jaborski, instruktor skautów, zabierał ich na zimowe obozy przetrwania od szesnastu lat i nigdy nikomu nie stała się nawet najmniejsza krzywda. Zresztą nie zapuszczali się na naprawdę dzikie tereny, tylko nieznacznie oddalali od utartych szlaków i byli przygotowani na każdą ewentualność. Takie wyjazdy miały być pożyteczne dla każdego chłopca, a przede wszystkim bezpieczne. Pod kontrolą. Wszyscy zapewniali Tinę, że nic złego nie może się wydarzyć. Nie mogła przewidzieć, że siedemnasty obóz pana Jaborskiego zakończy się katastrofą, a jednak Michael ją obwiniał. Sądziła, że w ostatnich miesiącach odzyskał rozsądek, lecz najwyraźniej się myliła.

Wpatrywała się w tablicę, myśląc o zapisanych na niej słowach, i wzbierał w niej gniew. Jej były zachowywał się jak złośliwy dzieciak. Czy nie zdawał sobie sprawy, że ona również z trudem radzi sobie z żałobą? Co chciał przez to udowodnić?

Rozgniewana, przeszła do kuchni, chwyciła telefon i wybrała numer Michaela. Po pięciu sygnałach pomyślała, że pewnie jest w pracy, więc się rozłączyła.

W jej umyśle płonęły dwa słowa, białe na czarnym tle: NIE UMARŁ.

Zadzwoi do Michaela wieczorem, kiedy wróci po premierze i przyjęciu. Na pewno będzie już bardzo późno, ale nie miała oporów przed wyrwaniem go ze snu.

Stała niezdecydowana na środku niewielkiej kuchni, próbując znaleźć w sobie determinację, by zgodnie z planem pójść do pokoju Danny'ego i spakować jego ubrania. Ale nie miała odwagi. Nie potrafiła tam wrócić. Nie dzisiaj. Może za kilka dni.

Cholerny Michael.

W lodówce stała do połowy opróżniona butelka białego wina. Nalazła sobie kieliszek i poszła do łazienki.

Za dużo piła. Wczoraj bourbon. Teraz wino. Kiedyś rzadko sięgała po alkohol, żeby się uspokoić, ale ostatnio stał się dla niej podstawowym lekarstwem. Jak już przetrwa premierę, będzie musiała ograniczyć picie. Teraz jednak rozpaczliwie potrzebowała drinka.

Wzięła długi prysznic. Przez kilka minut wystawiała szyję na działanie strumienia gorącej wody, aż w końcu sztywność mięśni ustąpiła.

Po prysznicu schłodzone wino jeszcze bardziej rozluźniło jej ciało, ale nie uspokoiło umysłu ani nie przegnało niepokoju. Wciąż myślała o tablicy.

NIE UMARŁ

4

O OSIEMNASTEJ PIĘCDZIESIĄT TINA znów znalazła się za kulisami w sali widowiskowej. Panowała tam względna cisza, nie licząc stłumionego szumu morza VIP-ów, którzy czekali na widowni za kurtyną z aksamitu.

Zaproszono tysiąc osiemset osób – samą śmietankę Las Vegas oraz najważniejszych graczy spoza miasta. Ponad tysiąc pięćset gości potwierdziło przybycie.

Zastępy ubranych na biało kelnerów, kelnerek w wykrochmalonych błękitnych strojach i ich dwojących się i trojących pomocników zaczęły podawać kolację. Do wyboru była polędwica wołowa z sosem bearneńskim albo homar w sosie maślanym, ponieważ Las Vegas to jedyne miejsce w Stanach Zjednoczonych, w którym ludzie – przynajmniej chwilowo – nie martwią się poziomem cholesterolu. W ostatniej dekadzie dwudziestego wieku, naznaczonej obsesją na punkcie zdrowia, jedzenie tłustych potraw uznawano za bardziej atrakcyjne – i grzeszne – niż zazdrość, lenistwo, kradzież czy cudzołóstwo.

O dziewiętnastej trzydzieści za kulisami ludzie roili się jak mrówki. Technicy sprawdzali ruchome elementy scenografii, łączy elektryczne oraz hydrauliczne pompy używane do podnoszenia i opuszczania fragmentów sceny. Inni liczyli i układali rekwizyty. Garderobiane cerowały rozdarcia i przyszywały odprute rąbki sukien. Fryzjerki i oświetleniowcy spieszyli się do swoich pilnych zadań. Tancerze, w czarnych smokingach, stali w napięciu przed pierwszym numerem, ciesząc oko szczupłymi sylwetkami i urodą.

Za kulisami przebywały też dziesiątki pięknych tancerek – solistek i z zespołu. Niektóre miały na sobie stroje z satyny i koronek, inne z aksamitu zdobionego imitacjami diamentów, jeszcze inne pióra, cekiny bądź futra, a kilka było topless. Wiele wciąż szykowało się w garderobach, podczas gdy część dziewcząt, już w kostiumach, czekała na korytarzach albo na skraju wielkiej sceny, rozmawiając o dzieciach, mężach, chłopakach i przepisach kulinarnych, zupełnie jakby były sekretarkami, które zrobiły sobie przerwę na kawę, a nie najpiękniejszymi kobietami na świecie.

Tina chciała zostać za kulisami do końca przedstawienia, ale nie mogła tam już nic więcej zrobić. Spektakl był teraz w rękach artystów i techników.

Dwadzieścia pięć minut przed podniesieniem kurtyny zeszła ze sceny i przeszła na hałaśliwą widownię. Skierowała się do środkowego boksu w rzędzie dla VIP-ów, gdzie czekał na nią Charles Mainway, menedżer i udziałowiec hotelu Golden Pyramid.

Najpierw zatrzymała się w sąsiednim boksie. Joelowi Bandiriemu towarzyszyła Eva, z którą był żonaty od ośmiu lat, oraz dwoje ich przyjaciół. Eva miała dwadzieścia dziewięć lat i była o siedemnaście lat młodsza od męża, a także o dobre dziesięć centymetrów wyższa. Jako była tancerka rewiowa zachwycała blond włosami, smukłą sylwetką i delikatną urodą. Łagodnie ścisnęła dłoń Tiny.

– Nie martw się. Jesteś za dobra, żeby zawalić.

– To będzie hit, mała – ponownie zapewnił ją Joel.

W następnym półkolistym boksie Charles Mainway powitał Tinę z ciepłym uśmiechem. Zachowywał się i nosił jak arystokrata, w czym pomagały mu bujne siwe włosy oraz wyraziście niebieskie oczy. Ale jego grubo ciosane, kanciaste rysy nie wskazywały na szlachetne urodzenie, a nawet wysiłki nauczycieli dykcji nie zmieniły niskiego, chrapliwego głosu, który zdradzał jego brooklińskie korzenie.

Kiedy Tina usiadła obok Mainwaya, w boksie pojawił się kierownik sali w smokingu i napełnił jej kieliszek szampanem Dom Perignon.

Helen Mainway, żona Charliego, siedziała po jego lewej ręce. Helen urodziła się z tym wszystkim, za czym z takim wysiłkiem gonił jej biedny mąż: z nienagannymi manierami, wyszukany stylem, gracją, swobodą i pewnością siebie w każdej sytuacji. Była wysoką, smukłą, oszalamiającą pięćdziesięcioletką, która wyglądała na zadbaną czterdziestolatkę.

– Tino, moja droga, poznaj naszego przyjaciela – odezwała się, wskazując czwartą osobę w boksie. – To Elliot Stryker. Elliocie, ta urocza młoda dama to Christina Evans. To ona stworzyła *Magyck!*

– Nie zrobiłam tego sama – sprostowała Tina. – Joel Bandiri ponosi większą odpowiedzialność za końcowy efekt, zwłaszcza jeśli spektakl okaże się klapą.

Stryker się roześmiał.

– Miło panią poznać, pani Evans.

– Wystarczy Tino – rzuciła.

– W takim razie mów mi Elliot.

Był surowym, przystojnym mężczyzną, ani potężnym, ani drobnym, mniej więcej czterdziestoletnim. Miał głęboko osadzone bystre oczy, w których skrzyły się inteligencja i humor.

– Elliot jest moim prawnikiem – wyjaśnił Charlie Mainway.

– Aha, myślałam, że Harry Simpson...

– Harry skupia się na kwestiach dotyczących hotelu. Elliot zajmuje się moimi osobistymi sprawami.

– I robi to znakomicie – dodała Helen. – Tino, jeśli kiedyś będziesz potrzebowała prawnika, Elliot jest najlepszy w Las Vegas.

Stryker zwrócił się do Tiny:

– A jeśli zależy ci na pochlebstwach, choć jestem pewien, że taka urocza kobieta nie narzeka na ich brak, to nikt nie prawi komplementów tak stylowo jak Helen.

– Widzisz, co właśnie zrobił? – Zachwycona Helen zaklaskała. – W jednym zdaniu zdołał skomplementować nas obie i przy okazji zaimponować nam swoją skromnością. Widzisz, jaki cudowny z niego prawnik?

– Tylko sobie wyobraź, jak argumentuje w sądzie – wtrącił Charlie.

– Rzeczywiście, prawdziwy z niego pochlebca.

Stryker mrugnął do Tiny.

– Może i tak, ale z tą dwójką nie mogę się równać.

Gawędzili przez kolejny kwadrans, ani słowem nie wspominając o przedstawieniu. Tina zdawała sobie sprawę, że próbują odwrócić jej uwagę od premiery, i doceniała ich wysiłki.

Oczywiście żadna dawka zabawnych rozmów ani szampana nie mogła sprawić, by zapomniała o rosnącym podnieceniu na widowni. Z minuty na minutę chmura dymu papierosowego nad głowami publiczności gęstniała. Kelnerki, kelnerzy i kierownik sali krążyli pośpiesznie, dostarczając zamówione drinki przed rozpoczęciem występu. Wrzawa przybierała na sile, gdy mijały ostatnie sekundy, a rozmowy stawały się coraz bardziej chaotyczne, wesołe i coraz częściej przerywały je wybuchy śmiechu.

Chociaż Tina śledziła nastroje tłumu i jednocześnie skupiała się na Helen i Charliem Mainwayach, nie umknęło jej to, jak zareagował na nią Elliot Stryker. Nie dawał po sobie poznać, że jest nią zainteresowany, ale widziała w jego oczach, że mu się spodobała. Pomimo całej kurtuazji, żartobliwego tonu i luzu zareagował jak każdy zdrowy samiec, a ona wyczuła to instynktownie, jak klacz, która odpowiada na pierwsze delikatne oznaki pożądania ze strony ogiera.

Minęło co najmniej półtora roku, może nawet dwa lata, odkąd jakikolwiek mężczyzna tak na nią patrzył. A może po prostu po raz pierwszy od dawna zdała sobie sprawę, że stała się obiektem zainteresowania. Pochłaniały ją kłótnie z Michaeliem, separacja i rozwód, a potem żałoba po Dannym oraz praca nad

przedstawieniem u boku Joela Bandiriego, więc nie miała czasu myśleć o romansach.

Kiedy w odpowiedzi na niewypowiedziane pragnienie w oczach Elliota sama również poczuła żądzę, nagle zrobiło jej się ciepłej na sercu.

Mój Boże, przecież ja całkowicie usychałam! – pomyślała. Jak mogłam o tym zapomnieć!

Postanowiła, że po ponad roku opłakiwania rozpadu małżeństwa i śmierci syna, teraz, gdy wreszcie skończyła pracę nad spektaklem, znów znajdzie czas na bycie kobietą. Już się o to postara.

Czy znajdzie czas dla Elliota Strykera? Nie miała pewności. Nie było potrzeby się spieszyć w nadrabianiu zaległych przyjemności. Nie powinna rzucać się na pierwszego mężczyznę, który się nią zainteresował. Z pewnością nie jest to najmądrzejsze rozwiązanie. Z drugiej strony Elliot był przystojny, a jego twarz miała w sobie pociągającą delikatność. Musiała przyznać, że działa na nią tak samo, jak najwyraźniej ona na niego.

Ten wieczór zapowiadał się jeszcze ciekawiej, niż się spodziewała.

VIVIENNE NEDDLER ZAPARKOWAŁA swojego klasycznego nasha ramblera z 1955 roku przy krawężniku przed domem Evansów, uważając, żeby nie zarysować opon o białych bokach. Samochód był nieskazitelny i w lepszym stanie niż większość obecnie sprzedawanych nowych aut. W świecie zaplanowanej nietrwałości Vivienne czerpała przyjemność z pełnego wykorzystywania wszystkiego, co kupowała, niezależnie od tego, czy chodziło o toster, czy o samochód. Lubiła przedłużać życie przedmiotów.

Sama także dosyć długo trzymała się przy życiu. Miała siedemdziesiąt lat i wciąż cieszyła się doskonałym zdrowiem. Była niską, wytrzymałą kobietą o słodkiej twarzy Madonny Botticellego i stanowczym chodzie sierżanta.

Wysiadła z wozu, zabrała torebkę wielkości małej walizki i pomaszerowała w stronę domu, omijając łukiem drzwi wejściowe i garaż.

Żółte jak siarka światło ulicznych latarni nie obejmowało całego trawnika, ale lampy o niskiej mocy rozmieszczone na ziemi oświetlały ścieżkę biegnącą wzdłuż bocznej ściany domu.

Oleandry szumiały na wietrze. W górze liście palmy łagodnie ocierały się o siebie.

Kiedy Vivienne dotarła na tyły domu, półksiężyc wyslizgnął się zza jednej z kilku delikatnych chmur, jak bułat wyciągnięty z pochwy, a blade cienie palm i krzewów zadrżały na betonowym patio posrebrzonym blaskiem księżyca.

Vivienne weszła do domu przez drzwi kuchenne. Sprzątała u Tiny Evans od dwóch lat i niemal od samego początku miała klucz.

W domu panowała cisza, nie licząc cichego brzęczenia lodówki.

Zaczęła pracę w kuchni. Wytarła blaty i urządzenia, wyczyściła gąbką żaluzje i umyła mopem podłogę wyłożoną meksykańskimi kafelkami. Radziła sobie pierwszorzędnie. Wierzyła w moralną wartość ciężkiej pracy i zawsze starała się uczciwie zarobić na swoje wynagrodzenie.

Zazwyczaj nie pracowała wieczorami. Ale tego dnia po południu grała na dwóch szczęśliwych automatach w hotelu Mirage i nie chciała od nich odchodzić, skoro miała dobrą passę. Niektórzy z jej klientów nalegali, by dotrzymywała

umówionych terminów, i wściekali się, jeśli spóźniała się choćby o kilka minut. Ale Tina Evans była wyrozumiała; wiedziała, jak ważne są dla niej automaty, i nie złościła się, gdy Vivienne od czasu do czasu musiała przełożyć termin sprzątanania.

Vivienne była Księżną Pięciocentówek. Tak pracownicy kasyn nazywali miejscowe staruszki, których życie towarzyskie ograniczało się do obsesji na punkcie jednoręcznych bandytów, mimo że automaty na pięciocentówki należały do zamierzchłej przeszłości. Księżne zawsze grały na najtańszych automatach, które dawniej przyjmowały pięcio- i dziesięciocentówki, a obecnie ćwierćdolarówki; nigdy nie siadały przy maszynach, w których gra kosztowała dolara albo pięć dolarów. Godzinami pociągały za dźwignie i w ciągu całego popołudnia często udawało im się zdobyć dwudziestodolarowy banknot. Ich filozofia była prosta: nieważne, czy wygrasz, czy przegrasz, dopóki pozostajesz w grze. Dzięki takiemu podejściu oraz umiejętnemu zarządzaniu gotówką udawało im się dłużej trwać przy automatach niż większości graczy, którzy po kilku niepowodzeniach przesiadali się do innych automatów. Cierpliwość i wytrwałość pozwalały księżnym rozbijać bank częściej niż kłębiącym się wokół nich turystom. Nawet w obecnych czasach, gdy na większości automatów można grać za pomocą elektronicznie doładowywanych kart, Księżne Pięciocentówek nosiły czarne rękawiczki, by uchronić dłonie przed zabrudzeniem podczas wielogodzinnego obracania monetami i pociągania za dźwignie. Podczas gry zawsze siedziały na stołkach i regularnie zmieniały ręce, żeby nie naciągnąć mięśni, i na wszelki wypadek miały przy sobie buteleczkę z płynem do nacierania.

Księżne, które przeważnie były wdowami lub starymi pannami, często jadały razem kolację. Świątowały, gdy któraś z nich rozbiła bank i zarobiła naprawdę duże pieniądze, a kiedy któraś umarła, tłumnie uczestniczyły w pogrzebie. Tworzyły osobliwą, ale zwartą społeczność, co zapewniało im satysfakcjonujące poczucie przynależności. W kraju czczącym młodość większość starszych Amerykanów pragnie odkryć miejsce, w którym mogłaby się poczuć potrzebna, ale w odróżnieniu od księżnych, wielu z nich nigdy się to nie udaje.

Vivienne miała córkę, zięcia i troje wnucząt w Sacramento. Przez pięć lat, od czasu jej sześćdziesiątych piątych urodzin, nalegali, żeby z nimi zamieszkała. Kochała ich z całego serca i wiedziała, że naprawdę chcą ją do siebie zaprosić, a nie czynią tego z poczucia winy bądź obowiązku. Nie chciała jednak mieszkać w Sacramento. Po kilku wizytach uznała, że to chyba jedno z najnudniejszych miast na świecie. Vivienne lubiła akcję, gwar, światła i emocje Las Vegas. Poza tym w Sacramento już nie byłaby Księżną Pięciocentówek; nie byłaby nikim

szczególnym, tylko kolejną starszą panią mieszkającą z córką i jej rodziną, bawiącą się w babcię, zabijającą czas i czekającą na śmierć.

Takie życie byłoby nie do zaakceptowania.

Ponad wszystko ceniła niezależność. Miała nadzieję, że do końca uda jej się zachować zdrowie, by pracować i żyć samodzielnie, aż w końcu przyjdzie na nią czas i na automacie jej życia wypadną trzy cytryny.

Kiedy myślała ostatni narożnik kuchennej podłogi, rozmyślając o tym, jak ponure byłoby życie bez jej przyjaciółek i automatów, usłyszała jakiś odgłos. Gdzieś od frontu domu. W salonie.

Zamarła, wyteżając słuch.

Silnik lodówki umilkł. Zegar cicho tykał.

Po długiej ciszy w innym pokoju coś zagrzechotało i Vivienne aż się wzdrygnęła. Potem znów zapadła cisza.

Podeszła do szuflady obok zlewozmywaka i wyjęła z niej długi, ostry nóż.

Nie brała pod uwagę telefonu na policję. Gdyby ich wezwała, a potem wybiegła z domu, po przybyciu mogliby nikogo nie znaleźć. Wzięliby ją za głupią staruszkę. Vivienne Neddler nie miała zamiaru pozwolić, by ktokolwiek uznał ją za głupią.

Poza tym od dwudziestu czterech lat, od śmierci Harry'ego, zawsze sama o siebie dbała i wychodziło jej to cholernie dobrze.

Wyszła z kuchni i znalazła włącznik światła po prawej stronie drzwi. W jadalni nikogo nie było.

W salonie zapaliła stojącą lampę. Pusto.

Już miała przejść do sypialni, gdy jej uwagę zwróciły cztery oprawione fotografie formatu dwadzieścia na dwadzieścia pięć centymetrów wiszące na ścianie nad kanapą. Zawsze było ich sześć. Ale to nie brak dwóch z nich zainteresował Vivienne. Wszystkie cztery ramki kołysały się na haczykach. Nikt przy nich nie stał, a mimo to dwa zdjęcia nagle zaczęły z grzechotem trząść się na ścianie, po czym spadły na podłogę za beżową kanapę obitą sztruksem.

Właśnie takie grzechotanie usłyszała z kuchni.

– Co, do diabła?

Pozostałe dwa zdjęcia nagle zeskoczyły ze ściany. Jedno upadło za kanapę, a drugie wylądowało na niej.

Vivienne zamruwała z zaskoczeniem, nie rozumiejąc, co zobaczyła. Trzęsienie ziemi? Ale nie poczuła, żeby dom się poruszył; okna nie zagrzechotały. Niewyczuwalne wstrząsy nie strąciłyby zdjęć ze ściany.

Podeszła do kanapy i podniosła zdjęcie, które spadło na poduszki. Dobrze je знаła. Wielokrotnie je odkurzała. To był portret Danny'ego Evansa, podobnie jak

pięć pozostałych fotografii, które zazwyczaj tutaj wisiały. Na tym zdjęciu Danny miał dziesięć albo jedenaście lat, słodki ciemnowłosy chłopiec o czarnych oczach i uroczym uśmiechu.

Vivienne zastanawiała się, czy to mogła być próba jądrowa; może właśnie dlatego wszystko zadrżało. Poligon Nevada, gdzie kilka razy do roku dochodziło do próbnych podziemnych wybuchów, znajdował się niecałe sto pięćdziesiąt kilometrów na północ od Las Vegas. Za każdym razem, gdy wojsko przeprowadzało próbę jakiejś potężnej broni, w Vegas kołysały się hotele i drżały wszystkie domy w mieście.

Ale nie, to już przeszłość. Zimna wojna się skończyła i od dawna nie przeprowadzano prób jądrowych na pustyni. Poza tym dom nie zadrżał; cokolwiek to było, dotknęło tylko zdjęć.

Zbita z tropu Vivienne ze zmarszczonym czołem odłożyła nóż, odsunęła jeden koniec kanapy od ściany i zebrała zdjęcia z podłogi. Znalazła tam pięć fotografii; dwie wywołały odgłos, który zwabił ją do salonu, a pozostałe trzy spadły na jej oczach. Odwiesiła je na miejsce, po czym dosunęła kanapę do ściany.

W domu rozległ się wysoki elektroniczny pisk: aaa-iii... aaa-iii... aaa-iii...

Westchnęła i obróciła się. Wciąż była sama.

W pierwszej chwili pomyślała: alarm antywłamaniowy.

Tylko że w domu Evansów nie było alarmu.

Skrzywiła się, gdy przenikliwy dźwięk przybrał na sile, oscylując ogłuszająco. Pobliskie szyby oraz gruby szklany blat stolika wibrowały. Czowała, jak pisk rezonuje w jej zębach i kościach.

Nie była w stanie zlokalizować jego źródła. Miała wrażenie, że dobiega ze wszystkich części domu.

– Co tu się dzieje, do czorta?

Nie zabrała noża, ponieważ była pewna, że problemem nie jest włamywacz. To było coś innego, coś dziwnego.

Przeszła do korytarza łączącego salon z sypialniami, łazienką i dawnym pokojem Danny'ego. Zapaliła światło. Hałas był głośniejszy w korytarzu niż w salonie. Irytujący odgłos odbijał się echem od ścian wąskiego przejścia.

Vivienne rozejrzała się na boki, a potem ruszyła w prawo, w stronę zamkniętych drzwi na końcu korytarza.

Powietrze było tu chłodniejsze niż w pozostałych pomieszczeniach. Początkowo sądziła, że to złudzenie, ale im bliżej była drzwi, tym większy odczuwała ziąb. Kiedy dotarła do zamkniętego pokoju, miała gęsią skórę i szczykała zębami.

Ciekawość stopniowo ustąpiła miejsca lękowi. Działo się tutaj coś bardzo niedobrego. Vivienne czuła w powietrzu jakiś złowieszczy ucisk.

Aaa-iii... aaa-iii...

Najrozsądniej byłoby zawrócić, oddalić się od tych drzwi i wyjść z domu. Ale nie w pełni nad sobą panowała; czuła się trochę jak lunatyczka. Chociaż się bała, jakaś niezdefiniowana siła uporczywie przyciągała ją do pokoju Danny'ego.

Aaa-iii... aaa-iii... aaa-iii...

Vivienne wyciągnęła rękę w stronę gałki, ale zamarła w połowie ruchu, nie dowierzając temu, co widzi. Zamrugła gwałtownie, zamknęła i otworzyła oczy, ale gałka wciąż wyglądała, jakby pokrywała ją cienka, nierówna warstwa lodu.

W końcu jej dotknęła. Lód... Jej skóra niemal przywarła do gałki. Cofnęła dłoń i przyjrzała się wilgotnym palcom. Wilgoć zebrała się na metalu i zamarzała.

Ale jak to możliwe? Jak, na Boga, lód mógł się pojawić w ogrzewanym domu, gdy temperatura na zewnątrz przekracza dziesięć stopni?

Elektroniczny pisk zaczął szybciej wibrować, lecz wcale nie przycichł ani nie stał się mniej przenikliwy.

Dosyć, powiedziała sobie Vivienne. Odejdź stąd. Uciekaj najszybciej, jak potrafisz.

Ale zignorowała te ostrzeżenia. Wypuściła bluzkę ze spodni i osłoniła materiałem dłoń, zanim dotknęła lodowatego metalu. Gałka się obróciła, ale drzwi pozostały zamknięte. Pod wpływem zimna drewno skurczyło się i wypaczyło. Pchnęła je ramieniem, najpierw lekko, potem nieco mocniej, i drzwi w końcu się otworzyły.

6

MAGYCK! BYŁ NAJBARDZIEJ ROZRYWKOWYM spektaklem, jaki Elliot kiedykolwiek widział w Las Vegas.

Przedstawienie zaczęło się od porywającego wykonania *That Old Black Magic*. Śpiewacy i tancerze w olśniewających kostiumach występowali wśród oszalamiającej scenografii zbudowanej z lustrzanych schodów i paneli. Kiedy światła sceniczne chwilowo przygasały, obracające się kryształowe żyrandole rozsiewały wirujące barwne okruchy blasku, które zlewały się w nadnaturalne kształty pełzające pod łukowato sklepionym proscenium. Choreografia imponowała złożonością, a dwoje solistów śpiewaków dysponowało silnymi, wyraźnymi głosami.

Po pierwszej piosence nastąpił pierwszorzędny występ iluzjonisty przed zaciągniętymi kurtynami. Niecałe dziesięć minut później, kiedy kurtyny znów się rozchyliły, luster już nie było, a scena zmieniła się w lodowisko. Drugi numer wykonano na łyżwach w zimowej scenerii, tak realistycznej, że Elliot zadygotał.

Chociaż rewia rozbudzała wyobraźnię i przyciągała wzrok, nie mógł poświęcać jej całej uwagi. Wciąż zerkał na Christinę Evans, która była równie olśniewająca jak przedstawienie, które stworzyła.

Intensywnie obserwowała artystów, nie zdając sobie sprawy z tego, że na nią patrzy. Na jej twarzy na zmianę pojawiały się nerwowe grymasy oraz niepewne uśmiechy, gdy publiczność śmiała się, klaskała lub wstrzymywała oddech ze zdziwienia.

Była wyjątkowo piękna. Jej sięgające ramion włosy – ciemne, niemal czarne, lśniące – opadały po obu stronach twarzy, jak na portrecie pędzla wielkiego mistrza. Rysy tej twarzy były delikatne, a zarazem wyraziste, bardzo kobiece. Ciemna, oliwkowa karnacja. Pełne, zmysłowe usta. No i oczy... Wyglądałyby cudownie, nawet gdyby jej oczy były ciemne i harmonizowały idealnie z odcieniem włosów i skóry, ale były krystalicznie niebieskie. Kontrast pomiędzy włoską urodą a nordyckimi oczami zwał z nóg.

Elliot podejrzewał, że ktoś mógłby znaleźć jakieś wady w twarzy tej kobiety. Może niektórzy uznaliby, że ma zbyt szerokie brwi. Jej nos był tak prosty, że ktoś

mógłby go uznać za surowy. Inni mogliby powiedzieć, że Tina ma za szerokie usta albo zbyt spiczasty podbródek. Jednak dla Elliota jej twarz stanowiła ideał.

Ale najbardziej podniecało go nie jej fizyczne piękno. Chciał lepiej poznać umysł, który potrafił stworzyć takie dzieło jak *Magyck!* Obejrzał zaledwie ćwierć spektaklu, ale już wiedział, że będzie przebojem, bijącym na łeb konkurencję. Rewia w Las Vegas może łatwo zrobić klapę. Jeśli producenci przesadzą ze scenografią, przepychem kostiumów lub złożonością choreografii albo zawalą którykolwiek z elementów wykonania, spektakl może przekroczyć cienką granicę między fascynującym widowiskiem a wulgarnością. Pełna blasku fantazja w niewłaściwych rękach może przekształcić się w prymitywny i ogłupiający kicz. Elliot chciał dowiedzieć się więcej o Christinie Evans, a na bardziej podstawowym poziomie po prostu jej pożądał.

Żadna kobieta tak na niego nie działała poza Nancy, jego żoną, która zmarła trzy lata wcześniej.

Siedząc na ciemnej widowni, uśmiechnął się, ale nie na widok zabawnego magika, który robił sztuczki przed zaciągniętymi kurtynami, tylko pod wpływem nagłej fali młodzieńczego entuzjazmu.

WYPACZONE DRZWI JĘKNĘŁY I zaskrzypiały, gdy Vivienne Neddler otworzyła je ramieniem.

Aaa-iii, aaa-iii...

Fala lodowatego powietrza wylała się z pokoju na korytarz.

Vivienne wsunęła rękę do środka, wymacała włącznik światła i ostrożnie weszła. Pokój był pusty.

Aaa-iii, aaa-iii...

Z plakatów przypiętych do ścian patrzyły na nią gwiazdy baseballu i potwory z filmowych horrorów. Trzy pełne detali modele samolotów wisiały pod sufitem. Nic w tym pokoju nie zmieniło się od chwili, gdy po raz pierwszy przyszła go posprzątać, jeszcze przed śmiercią Danny'ego.

Aaa-iii, aaa-iii, aaa-iii...

Doprowadzający ją do szaleństwa elektroniczny pisk dobiegał z dwóch niewielkich głośników wiszących na ścianie za łóżkiem. Odtwarzacz CD i radiowy tuner ze wzmacniaczem stały na jednej z szafek nocnych.

Vivienne odkryła źródło hałasu, ale wciąż nie potrafiła powiedzieć, skąd bierze się lodowate powietrze. Żadne z okien nie było otwarte, a nawet gdyby któreś z nich było uchylone, to temperatura na zewnątrz nie była aż tak niska.

Kiedy wyciągnęła rękę w stronę tunera, opętańcze zawrozczenie ustało. Nagła cisza była przytłaczająca.

Gdy przestało jej dzwonić w uszach, Vivienne usłyszała cichy szum głośników, a potem bicie własnego serca.

Metalową obudowę radia pokrywała lśniąca powłoka kruchego lodu. Dotknęła jej z niedowierzaniem. Pod naciskiem jej palca okrucuch lodu odłamał się i spadł na szafkę nocną. Nie topił się – w pokoju panował ziąb.

Szyba w oknie była oszroniona, podobnie jak lustro na drzwiach szafy. Odbicie Vivienne było niewyraźne, zniekształcone i dziwaczne.

Wieczór był chłodny, ale nie lodowaty. Było dziesięć, może dwanaście stopni.

Cyfrowy wyświetlacz radia ożył i pomarańczowe liczby zaczęły przeskakiwać między częstotliwościami, od jednej stacji do drugiej. Rozbrzmiewały urywki

muzyki i zapowiedzi DJ-ów, pojedyncze słowa poważnych prezenterów oraz fragmenty reklam, które mieszały się w kakofonii pozbawionych znaczenia dźwięków. Wskaźnik dotarł do końca skali i zaczął się cofać.

Vivienne drżącą ręką wyłączyła radio.

Kiedy tylko cofnęła dłoń, odbiornik znów się włączył.

Popatrzyła na niego ze strachem i oszołomieniem.

Radio ponownie rozpoczęło wędrowkę po kanałach i z głośników ryknęły urywki muzyki.

Znów wcisnęła guzik wyłączający urządzenie.

Po chwili ciszy radio samo się uruchomiło.

– To szaleństwo – szepnęła niepewnym głosem.

Kiedy wyłączyła tuner po raz trzeci, nie zdjęła palca z przycisku. Przez kilka sekund miała wrażenie, że guzik napiera na opuszkę.

Nad jej głową trzy modele samolotów zaczęły się poruszać. Wisiały pod sufitem na kawałkach żyłki wędkarskiej przywiązanych do haczyków mocno wkręconych w płytę gipsowo-kartonową. Samoloty dygotały, podskakiwały, kręciły się i drżały.

To tylko przeciąg, pomyślała.

Ale nie czuła żadnego podmuchu.

Modele zaczęły energicznie podskakiwać na żyłkach.

– Boże, pomóż mi – szepnęła Vivienne.

Jeden z samolotów szybko krążył, zataczając coraz obszerniejsze kręgi, stale zmniejszając kąt nachylenia wobec sufitu. Po chwili pozostałe dwa modele przestały chaotycznie podrygiwać i również zaczęły krążyć, zupełnie jakby naprawdę latały. Nie było wątpliwości, że ich ruch nie może być skutkiem przeciągu.

Duchy? Poltergeist?

Ale Vivienne nie wierzyła w duchy. Coś takiego nie istniało. Wierzyła w śmierć i podatki, nieuchronność rozbicia banku w automatach, szwedzki stół za 5,95 dolara od osoby, Boga Wszechmogącego, porwania przez obcych i Wielką Stopę, ale nie w duchy.

Przesuwne drzwi szafy zaczęły się poruszać na prowadnicach i Vivienne Neddler odniosła wrażenie, że jakaś straszliwa istota wyłoni się z tej mrocznej przestrzeni, błyskając krwistoczerwonymi ślepiami i zgrzytając ostrymi jak brzytwa zębami. Poczowała obecność czegoś, co chciało ją dopaść, i krzyknęła głośno, gdy szafa stanęła otworem.

Ale nie było w niej potwora. Leżały tam ubrania. Tylko ubrania.

Drzwi same się zasunęły... a potem ponownie otworzyły...

Modele pod sufitem wciąż krążyły.

Powietrze było coraz zimniejsze.

Zaczęło się trząść łóżko. Nagle uniosło się na dziesięć centymetrów w powietrze, po czym z hukiem opadło na podkładki chroniące wykładzinę. Po chwili ponownie się uniosło. Zawisło nad podłogą. Sprężyny zaczęły brzęczeć, jakby grały na nich metalowe palce.

Vivienne z wytrzeszczonymi oczami i zaciśniętymi pięściami cofnęła się pod ścianę.

Łóżko znieruchomiało równie gwałtownie, jak wcześniej zaczęło podskakiwać. Drzwi szafy zatrzasnęły się z przeszywającym trzaskiem i pozostały zamknięte. Modele samolotów zwolniły; zataczały coraz mniejsze kręgi, aż w końcu zawisły bez ruchu.

W pokoju zapanowała cisza.

Nic się nie poruszało.

Powietrze stało się cieplejsze.

Szaleńczy rytm uderzeń jej serca, który utrzymywał się przez ostatnie dwie minuty, zaczął się stopniowo uspokajać. Objęła się ramionami i zadrżała.

Logiczne wyjaśnienie. Musiało istnieć jakieś logiczne wyjaśnienie.

Tylko że nie potrafiła go znaleźć.

Kiedy w pokoju zrobiło się cieplej, gałka w drzwiach, obudowa radia i inne metalowe przedmioty powoli zrzuciły kruchą lodową skorupę, pozostawiając płytkie kałuże na meblach i wilgotne plamy na wykładzinie. Szron zniknął z szyb, a kiedy ustąpił także z lustra na szafie, zniekształcone odbicie Vivienne zaczęło wyglądać bardziej znajomo.

Pokój zmienił się w zwykłą dziecięcą sypialnię, jakich są tysiące.

Tylko że chłopiec, który kiedyś tutaj mieszkał, nie żył od roku. Być może właśnie wrócił, by nawiedzać to miejsce.

Musiała sobie przypomnieć, że nie wierzy w duchy.

Mimo wszystko Tina Evans powinna w końcu pozbyć się rzeczy syna.

Vivienne nie potrafiła racjonalnie wytłumaczyć tego, co się stało, ale jedno wiedziała z całą pewnością: nie zamierzała nikomu powiedzieć, co tutaj widziała. Niezależnie od tego, jak przekonująco i szczerze opisałaby te dziwaczne wydarzenia, i tak nikt by jej nie uwierzył. Kiwaliby głowami i uśmiechali się sztucznie, zgadzając się, że to było osobliwe i przerażające doświadczenie, ale jednocześnie myśleliby, że biedna stara Vivienne w końcu zdziwaczała. Wcześniej czy później wieści o jej przygodzie z duchami dotarłyby do córki w Sacramento,

a wtedy presja na przeprowadzkę do Kalifornii stałaby się nieznośna. Vivienne nie zamierzała narażać swojej cennej niezależności.

Wyszła z pokoju, wróciła do kuchni i wypła dwie porcje najlepszego bourbona Tiny Evans. Potem, z charakterystycznym dla siebie stoicyzmem, udała się do sypialni chłopca, żeby zetrzeć wodę po roztopionym lodzie, po czym wróciła do sprzątanania domu.

Nie zamierzała pozwolić, żeby byle poltergeist ją spłoszył.

Ale być może warto w niedzielę wybrać się do kościoła. Nie była tam od dawna. Może dobrze jej to zrobi. Oczywiście nie będzie uczestniczyła we mszy co tydzień. Wystarczy raz albo dwa razy w miesiącu. Od czasu do czasu pójdzie do spowiedzi. Od wieków nie klęczała w konfesjonale. Lepiej nie kusić losu.

8

KAŻDY W SHOW-BIZNESIE WIE, że próbną widownię, która nie zapłaciła za bilety, najtrudniej zadowolić. Darmowy wstęp nie gwarantuje uznania ani nawet przyjaznego nastawienia. Osoba, która zapłaciła za coś uczciwą cenę, jest bardziej skłonna to docenić, niż ktoś, kto dostał to samo za darmo. Ta stara mądrość dotyczy także spektakli.

Ale nie dzisiaj. Ta widownia siedziała jak na szpilkach.

Kurtyna po raz ostatni opadła osiem minut przed dwudziestą drugą, a owacje ucichły dopiero wtedy, kiedy zegarek Tiny wskazał pełną godzinę. Obsada rewii kilkakrotnie się ukloniła, potem to samo zrobili technicy i orkiestra, wszyscy bez wyjątku podekscytowani, że mogą być częścią niezaprzeczalnego przeboju. Na życzenie rozweselonej, hałaśliwej publiczności Joel Bandiri i Tina zostali wyłowieni reflektorami punktowymi i nagrodzeni burzą oklasków.

Tina, pobudzona adrenaliną, uśmiechała się szeroko, z trudem łapiąc oddech; nie radziła sobie z przyswojeniem tej przytłaczającej reakcji na swoje dzieło. Helen Mainway szczebiotała entuzjastycznie o oszałamiających efektach specjalnych; Elliot Stryker zasypywał Tinę komplementami, przy okazji dzieląc się celnymi uwagami dotyczącymi aspektów technicznych spektaklu, a Charlie Mainway rozlewał do kieliszków trzecią butelkę Dom Perignon. W końcu zapaliły się światła i widzowie niechętnie zaczęli wychodzić, a Tina nawet nie miała okazji napić się szampana, tak wielu ludzi zatrzymywało się przy niej, by pogratulować.

Do dziesiątej trzydzięci większość widzów wyszła, a reszta stała w kolejce na schodach prowadzących do tylnych drzwi sali widowiskowej. Chociaż na dalszą część wieczoru nie zaplanowano innego przedstawienia, co zresztą miało dotyczyć wszystkich kolejnych wieczorów, kelnerki i ich pomocnicy sprawnie sprząтали ze stołów, rozkładali świeże obrusy i srebrne sztucce przed spektaklem o dwudziestej następnego dnia.

Kiedy z przejścia przed jej boksem już zniknęli pochlebcy, Tina wstała i wyszła naprzeciw Joelowi. Zrzuciła mu ręce na szyję i ku jego zaskoczeniu, rozplakała się z radości. Mocno go objęła, a Joel stwierdził, że przedstawienie było „kolosalnym sukcesem”.

Gdy dotarli za kulisy, przyjęcie już trwało w najlepsze. Ze sceny usunięto rekwizyty i elementy scenografii, a na ich miejscu rozstawiono osiem stołów. Nakryto je białymi obrusami i zastawiono jedzeniem: pięć gorących przystawek, sałatka z homara, sałatka krabowa, sałatka z makaronem, polędwica wołowa, pierś z kurczaka w sosie estragonowym, pieczone ziemniaki, ciasta i ciastka, tarty, świeże owoce i sery. Pracownicy hotelu, solistki i pozostałe tancerki, iluzjoniści, członkowie ekipy technicznej i muzycy tłoczyli się wokół stołów, podczas gdy Philippe Chevalier, hotelowy szef kuchni, osobiście wszystkiego doglądał. Wiedząc, że podczas przyjęcia czeka ich prawdziwa uczta, wielu gości zrezygnowało z kolacji, a większość tancerek nie miała nic w ustach od czasu lekkiego lunchu. Teraz zachwycali się potrawami i gromadzili wokół przenośnego barku. Wszyscy wciąż pamiętali otrzymane owacje, więc przyjęcie szybko się rozkręciło.

Tina przeciskała się przez tłumy w głębi sceny i na proscenium, dziękując wszystkim za wkład w sukces rewii, chwalać członków obsady i techników za poświęcenie i profesjonalizm. Kilka razy wpadła na Elliota Strykera, który sprawiał wrażenie autentycznie zainteresowanego tym, w jaki sposób przygotowano imponujące efekty specjalne. Za każdym razem, gdy odchodziła, by porozmawiać z kimś innym, żałowała, że musi zostawić Elliota, a za każdym razem, gdy go odnajdywała, zostawała w jego towarzystwie dłużej niż poprzednim razem. W końcu straciła poczucie tego, jak długo rozmawiali, i dała sobie spokój z krążeniem po sali.

Stojąc niedaleko lewego filara na proscenium, z dala od centrum przyjęcia, skubali kawałki ciasta, rozmawiając o *Magyck!*, a potem o prawie, Charliem i Helen Mainwayach, nieruchomościach w Las Vegas, a nawet jakąś okrężną drogą doszli do filmów o superbohaterach.

– Jak to możliwe, że Batman cały czas nosi opancerzony gumowy kostium i nie ma chronicznej wysypki? – zastanawiał się Elliot.

– No tak, ale gumowy strój ma swoje zalety.

– Na przykład jakie?

– Może prosto z biura iść ponurkować i nie musi się przebierać.

– Albo jeść żarcie na wynos w Batmobilu przy prędkości trzystu kilometrów na godzinę. Nawet jak się uświni, potem bez trudu opłucze się szlauchem.

– No właśnie. Po ciężkim dniu walki z przestępczością może się zalać w trupa, a jeśli zwymiotuje na siebie, zaoszczędzi na pralni.

– Poza tym czarny strój pasuje do każdej okazji...

– ...od audiencji u papieża po potańcówkę u miłośników markiza de Sade.

Elliot uśmiechnął się. Dokończył swój kawałek ciasta.

- Chyba jeszcze długo będziesz musiała tu przychodzić co wieczór – powiedział.
- Nie ma takiej potrzeby.
- Myślałam, że reżyserka...
- Moja praca reżyserki już się skończyła. Muszę tylko kontrolować spektakl co dwa tygodnie, żeby upewnić się, że zachowuje pierwotny charakter.
- Ale jesteś także współproducentką.
- Przedstawienie miało udane otwarcie, więc moja rola ogranicza się do działalności wizerunkowej i promocji. No i odrobiny logistyki, żeby produkcja nie napotkała żadnych problemów. Ale niemal wszystkim tym mogę się zajmować ze swojego biura. Nie będę musiała siedzieć na widowni czy za kulisami. Joel mówi wręcz, że producent nie powinien co wieczór kręcić się za kulisami. Twierdzi, że tylko stresowałabym artystów i techników, którzy stale oglądaliby się przez ramię, wypatrując szefa, zamiast skupiać się na pracy.
- Zdołasz się powstrzymać?
- Nie będzie łatwo trzymać się na dystans. Rady Joela mają jednak dużo sensu, więc spróbuję podejść do sprawy na luzie.
- Ale przez pierwszy tydzień chyba będziesz przychodziła codziennie.
- Nie – odparła. – Jeśli Joel ma rację... a jestem pewna, że tak... najlepiej będzie od samego początku trzymać się z dala.
- A jutro?
- Och, prawdopodobnie wpadnę na chwilę.
- Na pewno wybierasz się na przyjęcie sylwestrowe.
- Nie znoszę przyjęć sylwestrowych. Wszyscy są pijani i nudni.
- W takim razie... Nie oderwałabyś się od oglądania spektaklu i nie znalazłabyś czasu na kolację ze mną?
- Zapraszasz mnie na randkę?
- Postaram się nie siorbać.
- A więc naprawdę proponujesz mi randkę – powiedziała zadowolona.
- Tak. I już dawno tak niezręcznie mi to nie wychodziło.
- Dlaczego?
- Chyba z twojego powodu.
- Czujesz się przy mnie niezręcznie?
- Czuję się przy tobie młodo. A w młodości byłem bardzo nieporadny.
- To słodkie.
- Próbuję cię oczarować.
- Skutecznie – odparła.

Miał taki ciepły uśmiech.

- Już nie czuję się taki nieporadny.
- Chcesz zacząć od nowa? – spytała.
- Zjesz ze mną kolację jutro wieczorem?
- Jasne. O wpół do ósmej?
- Zgoda. Wolisz eleganckie czy swobodne stroje?
- Dzinsy – rzuciła.

Przesunął palcem po nakrochmalonym kołnierzyku i satynowej klapie smokingu.

- To miód na moje uszy.
- Dam ci swój adres. – Zaczęła szukać długopisu w torebce.
- Możemy najpierw wpaść na przedstawienie i obejrzeć kilka pierwszych występów, a potem pójść do restauracji.
- A może od razu pójdziemy do restauracji?
- Nie chcesz tutaj zajrzeć?
- Postanowiłam trzymać dystans.
- Joel będzie z ciebie dumny.
- Jeśli mi się uda, sama będę z siebie dumna.
- Dasz radę. Masz charakter.
- W połowie kolacji może mnie ogarnąć rozpaczliwa potrzeba przybiegnięcia tutaj i wcielenia się w producentkę.
- Na wszelki wypadek zaparkuję przy drzwiach restauracji i zostawię włączony silnik.

Tina dała mu swój adres i po chwili już rozmawiali o jazzie i Bennym Goodmianie, a następnie o fatalnej jakości usług miejscowej firmy telekomunikacyjnej. Gawędzili jak starzy znajomi. Elliot miał wiele zainteresowań; między innymi był narciarzem oraz pilotem i opowiedział wiele zabawnych historyjek o tym, jak uczył się jeździć na nartach i latać. Czuła się przy nim swobodnie, a jednocześnie była zaintrygowana. Stanowił ciekawą mieszankę męskiej siły i delikatności, agresywnej seksualności i serdeczności.

Sceniczny przebój... wysokie tantiemy... mnóstwo nowych możliwości dostępnych dzięki temu pierwszemu sukcesowi... a teraz jeszcze szansa na nowego, ciekawego kochanka...

Kiedy tak wyliczała w myślach swoje sukcesy, oszałamiało ją to, jak wiele może zmienić w życiu jeden rok. Od goryczy, bólu, tragedii i nieustępliwego smutku zwróciła się ku horyzontowi rozświetlonemu wschodzącą obietnicą. Przyszłość

wreszcie wydawała się warta zobaczenia. Prawdę mówiąc, Tina była pewna, że teraz już nic nie może się popsuć.

NOC OTULIŁA DOM EVANSÓW połami swojej sukni, które szeleściły na suchym pustynnym wietrze.

Biały kot sąsiadów skradał się po trawniku, polując na miotany wiatrem skrawek papieru. Odbił się od ziemi, nie trafił w swoją ofiarę, zatoczył się, przestraszył i jak błyskawica przemknął na inne podwórko.

Wewnątrz domu panowała niemal całkowita cisza. Od czasu do czasu włączyła się lodówka i mruczała do siebie. Poluzowana szyba w salonie delikatnie grzechotała pod wpływem podmuchów wiatru. Uruchomiło się ogrzewanie i dmuchawa co jakiś czas budziła się na dwie minuty, szeptała bez słów i przepychała gorące powietrze kanałami wentylacyjnymi.

Tuż przed północą w pokoju Danny'ego zaczęło się robić zimno. Na gałce w drzwiach, obudowie radia i innych metalowych obiektach gromadziła się wilgoć. Temperatura gwałtownie spadła i kropelki wody zamarzły. Szron pokrył szybę.

Włączyło się radio.

Przez kilka sekund ciszę zakłócał elektroniczny pisk, ostry jak brzytwa. Potem przenikliwy hałas gwałtownie ucichł i na cyfrowym wyświetlaczu zamigotały zmieniające się liczby. Urywki muzyki i okrucy głosów rozbrzmiewały w dziwnym dźwiękowym montażu, który odbijał się echem od ścian zmrożonego pomieszczenia.

W domu nie było nikogo, kto mógłby to usłyszeć.

Drzwi szafy otworzyły się, zamknęły, otworzyły...

Wewnątrz szafy koszule i dżinsy zaczęły kołysać się szaleńczo na wieszakach, a niektóre spadły.

Zatrzęsło się łóżko.

Gablotka, w której stało dziewięć modeli samolotów, zachwiała się i zaczęła uderzać o ścianę. Jeden z modeli spadł z półki, po chwili dołączyły do niego dwa kolejne, a potem jeszcze trzy, aż w końcu wszystkie dziewięć samolocików spiętrzyło się na podłodze.

Na ścianie po lewej stronie łóżka plakat ze stworem z filmu *Obcy* rozdarł się na pół.

Radio przestało skakać po stacjach i odbierało tylko syczące zakłócenia. Nagle z głośników ryknął jakiś głos. Należał do dziecka. Do chłopca. Nie mówił żadnych słów. Tylko rozdzierająco i przeciągle wrzeszczał.

Po chwili umilkł, ale łóżko zaczęło podskakiwać.

Drzwi szafy otworzyły się i zatrasnęły ze znacznie większą siłą niż wcześniej.

Także inne przedmioty zaczęły się poruszać. Na niemal pięć minut cały pokój jakby ożył.

A potem zamarł.

Powróciła cisza.

Powietrze znów się ogrzało.

Szron zniknął z szyby, a biały kot na zewnątrz wciąż gonił za skrawkiem papieru.

ŚRODA, 31 GRUDNIA

10

TINA WRÓCIŁA DO DOMU dopiero po drugiej w nocy w środę. Wyczerpana i lekko podchmielona, od razu położyła się do łóżka i zasnęła jak kamień.

Później, po zaledwie dwóch godzinach odpoczynku bez sennych marzeń, znów przyśnił jej się koszmar o synu. Był uwięziony na dnie głębokiej dziury. Słyszała, jak ją woła przerażonym głosem, i spoglądała poza krawędź dołu, a Danny znajdował się tak głęboko, że jego twarz przypominała malutką bladą smugę. Rozpaczliwie pragnął się wydostać, a ona koniecznie chciała go uratować, ale był przykuty łańcuchami, nie mógł się wspinać, a ściany dołu były strome i gładkie, więc nie miała możliwości go dosięgnąć. Potem jakiś mężczyzna w czerni z twarzą skrytą w cieniu pojawił się po przeciwnej stronie otworu i zaczął zasypywać go łopata. Okrzyki Danny'ego zmieniły się we wrzask przerażenia; grzebano go żywcem. Tina krzyczała do mężczyzny, ale on ją ignorował i dalej zrzucał ziemię na jej syna. Zaczęła okrążać dół, zdecydowana powstrzymać tego podłego drania, lecz za każdym razem, gdy się do niego zbliżała, odsuwał się o krok i stale znajdował się po przeciwnej stronie dołu. Nie mogła go dosięgnąć i nie mogła dosięgnąć syna, a ziemia sięgała mu do kolan, do pasa, do ramion. Danny wył i wrzeszczał. Był już zagrzebany po szyję, ale mężczyzna w czerni nie przestawał zasypywać dziury. Tina chciała go zabić, zatłuc jego własną łopata. Kiedy o tym pomyślała, popatrzył na nią i zobaczyła jego twarz: pozbawioną ciała czaszkę z gnijącą skórą naciągniętą na kości, płonącymi czerwonymi oczami i żółtym uśmiechem. Na jego lewym policzku i w kącie oka wiło się obrzydliwe kłębowisko robaków wgryzających się w skórę. Tina nie bała się już tylko o Danny'ego, któremu groziło pogrzebanie, ale poczuła też strach o własne życie. Chociaż krzyki chłopca były coraz bardziej przytłumione, jednocześnie stawały się jeszcze bardziej rozpaczliwe, ponieważ ziemia zaczynała zakrywać mu twarz i wsypywać się do ust. Tina wiedziała, że musi dostać się na dół i odgarnąć ziemię z jego twarzy, zanim syn się udusi. W ślepej panice zeskoczyła do otworu, w straszliwą otchłań, i zaczęła spadać, bez końca...

Z głośnym westchnieniem i drżeniem wyrwała się ze snu.

Była przekonana, że mężczyzna w czerni jest w jej sypialni i siedzi w milczeniu w ciemności, uśmiechając się szeroko. Z mocno bijącym sercem wymacała włącznik lampki. Zamrugwała pod wpływem jasnego światła i zobaczyła, że jest sama.

– Jezu – szepnęła.

Otarła twarz ręką, usuwając ciekłą warstwę potu. Wytarła dłoń o pościel.

Przez chwilę wykonywała ćwiczenia oddechowe, by się uspokoić.

Nie mogła przestać dygotać.

Wstała i poszła do łazienki. Gdy umyła twarz, niemal nie poznała kobiety w lustrze: wymizerowanego, bladego straszdyła o zapadniętych oczach.

W ustach czuła suchość i kwaśny posmak. Wypiła szklanekę wody.

Po powrocie do łóżka nie miała ochoty gasić lampki. W końcu zdenerwowało ją, że ulega strachowi, i wyłączyła światło.

Powrót ciemności napełnił ją grozą.

Nie była pewna, czy zdoła zasnąć, ale musiała spróbować. Nie było jeszcze piątej. Spała niecałe trzy godziny.

Rano posprząta w pokoju Danny'ego. Wtedy koszmary ustana. Była o tym przekonana.

Przypomniały jej się słowa, które już dwukrotnie ścierała z tablicy syna – NIE UMARŁ – i uświadomiła sobie, że zapomniała zadzwonić do Michaela. Musiała sprawdzić swoje podejrzenia. Dowiedzieć się, czy to on był w domu, w pokoju Danny'ego, bez jej zgody czy wiedzy.

To na pewno był Michael.

Mogła zapalić światło i już teraz do niego zadzwonić. Pewnie spał, ale nie miałyby wyrzutów sumienia, gdyby go obudziła, nie po wszystkich bezsennych nocach, które przez niego wycierpiała. Ale w tej chwili brakowało jej sił na walkę. Umysł miała otępiały od wina i zmęczenia. A jeżeli Michael naprawdę wślizgnął się do jej domu jak dzieciak, który postanowił zrobić komuś okrutny żart, i napisał te słowa na tablicy, to najwyraźniej nienawidzi jej mocniej, niż przypuszczała. Możliwe nawet, że jest bardzo chorym człowiekiem. Jeśli posunie się do werbalnej agresji i obelg, jeśli przestanie się zachowywać racjonalnie, Tina będzie potrzebowała jasnego umysłu, by sobie z nim poradzić. Zadzwoni rano, kiedy odzyska siły.

Ziewnęła, przewróciła się na drugi bok i odpłynęła w sen. Nic więcej jej się nie śniło, a kiedy obudziła się o dziesiątej, była wypoczęta i podekscytowana wieczornym sukcesem.

Zadzwoiła do Michaela, ale go nie było. Nie powinien wychodzić z domu przed południem, chyba że w ciągu ostatnich sześciu miesięcy zaczął pracować na inną zmianę. Postanowiła spróbować ponownie za pół godziny.

Zabrała poranną gazetę z progu i w dziale kulturalnym przeczytała entuzjastyczną recenzję *Magyck!* Krytyk nie znalazł żadnych słabych punktów rewii. Tak bardzo wychwalał spektakl, że Tina poczuła się nieco zawstydzona.

Zjadła lekkie śniadanie – sok grejpfrutowy i angielskie muffiny – a potem poszła do pokoju Danny’ego, żeby spakować jego rzeczy. Kiedy otworzyła drzwi, wstrzymała oddech i stanęła jak wryta.

W pokoju panował bałagan. Modele samolotów już nie stały w gablocie, tylko leżały na podłodze, a kilka z nich było uszkodzonych. Książki w miękkiej oprawie ściągnięto z regału i rozrzucono po kątach. Tubki kleju, miniaturowe buteleczki farby i narzędzia modelarskie, które leżały na biurku, również znalazły się na podłodze. Plakat przedstawiający filmowego potwora zwisał ze ściany, rozdarty na kilka kawałków. Figurki zgarnięto z ramy łóżka. Drzwi szafy były otwarte, a wszystkie ubrania wyrzucono na podłogę. Stolik z grą planszową wywrócono. Sztaluga leżała na wykładzinie, tablicą do dołu.

Dygocząc ze złości, Tina powoli przeszła przez pokój, ostrożnie omijając rozrzucone przedmioty. Przystanąła przy sztaludze i odstawiała ją na miejsce, ale po chwili zawahała się i obróciła ją tablicą do siebie.

NIE UMARŁ

– Cholera! – zaklęła z wściekłością.

Vivienne Neddler przyszła posprzątać wieczorem, ale czegoś takiego przecież by nie zrobiła. Gdyby staruszka zastała ten bałagan, z pewnością by go posprzątała i zostawiła jakąś informację o tym, co się stało. Włamywacz najwyraźniej pojawił się po odejściu pani Neddler.

Wściekła Tina przeszukała dom, starannie sprawdzając wszystkie okna i drzwi. Nie znalazła żadnych śladów włamania.

Po powrocie do kuchni ponownie zadzwoniła do Michaela. Nadal nie odbierał. Z trzaskiem odłożyła słuchawkę.

Wyjęła książkę telefoniczną z szuflady i przekartkowała katalog firm w poszukiwaniu ślusarzy. Wybrała firmę z największą reklamą.

– Zamki i zabezpieczenia Anderlingen.

– W państwa reklamie w książce telefonicznej jest napisane, że w ciągu godziny możecie wysłać do mnie kogoś w sprawie wymiany zamków.

– To usługa awaryjna. Kosztuje więcej.

– Nie dbam o koszty – rzuciła Tina.

– Ale jeśli umieścimy pani nazwisko na liście oczekujących, zapewne zdołamy przysłać kogoś do szesnastej, najpóźniej jutro rano. Zwykłe zlecenie kosztuje o czterdzieści procent mniej od usługi awaryjnej.

– Wandale włamali się do mojego domu wczoraj wieczorem – powiedziała Tina.

– W jakim my świecie żyjemy? – Pracownica Anderlingen westchnęła ciężko.

– Dużo zniszczyli...

– Przykro mi to słyszeć.

– ...dlatego chcę jak najszybciej wymienić zamki.

– Oczywiście.

– Chcę założyć najlepsze, jakie państwo oferują.

– Poproszę o nazwisko i adres, a natychmiast kogoś wyślę.

Dwie minuty później, po zakończonej rozmowie, Tina wróciła do pokoju Danny'ego, by jeszcze raz przyjrzeć się zniszczeniom.

– Czego ty ode mnie chcesz, Mike? – powiedziała.

Wątpiła, by zdołał odpowiedzieć na to pytanie, nawet gdyby mógł je usłyszeć. Jaki mógł mieć powód? Jaka pokrętna logika mogła usprawiedliwić takie chore zachowanie? Obląkane i pełne nienawiści.

Zadrzała.

TINA POJAWIŁA SIĘ w hotelu Bally's za dziesięć czternasta w środę i zostawiła swoją hondę w rękach pracownika parkującego pojazdy.

Bally's, niegdyś znany jako MGM Grand, zaliczał się do najstarszych przybytków przy stale odmładzanym Strip, ale wciąż pozostawał jednym z najpopularniejszych hoteli, a w ostatnim dniu roku wręcz pękał w szwach. W kasynie, które rozmiarami przewyższało boisko futbolowe, przebywały co najmniej dwa albo trzy tysiące ludzi. Setki graczy – ładne młode kobiety, babcie o miłych obliczach, mężczyźni w dżinsach i ozdobnie wyszywanych kowbojskich koszulach, emeryci w drogich, kiczowatych pastelowych garniturach, kilku facetów w dwurzędowych marynarkach, sprzedawcy, lekarze, mechanicy, sekretarki, Amerykanie ze wszystkich zachodnich stanów, wycieczkowicze ze Wschodniego Wybrzeża, japońscy turyści, kilku Arabów – siedziały przy półeliptycznych stolikach do blackjacka, wypychając przed siebie pieniądze i żetony, czasem zgarniając wygrane, chciwie chwytając karty rozdawane z mieszczących pięć talii podajników. Wszyscy reagowali w przewidywalny sposób: niektórzy piszczeły z uciechy, inni mruczeły pod nosem, jeszcze inni uśmiechali się ponuro i kręcili głowami. Część drażniła się z rozdającymi, żartobliwie prosząc o lepsze karty, a inni byli cisi, grzeczni, czujni i rzeczowi, jakby uważali, że realizują jakiś rozsądny plan inwestycyjny. Setki widzów stały za plecami grających, niecierpliwie czekając na wolne miejsce. Tłumy zgromadzone przy stolikach do gry w kości, złożone głównie z mężczyzn, były bardziej wybuchowe niż miłośnicy blackjacka: wrzeszczały, wyły, wiwatowały, jęczały, zachęcały rzucających i głośno modliły się do kości. Po lewej stronie automaty do gry ciągnęły się przez całą długość kasyna, rząd za irytującym pobrzękującym rzędem, jaskrawe i barwnie rozświetlone, a zasiadający przy nich gracze byli głośniejsi od karciarzy, lecz nie tak hałaśliwi jak amatorzy kości. Po prawej stronie, za stołami do gry w kości, w połowie długiego pomieszczenia, na lekkim podwyższeniu stał zbudowany z białego marmuru i mosiądzu stół do bakarata, który gromadził zamożniejszych i spokojnych hazardzistów; tutaj krupier, obsługa i rozdający byli w smokingach. Po całym gigantycznym kasynie energicznie

krążyły – jak nitki łączące ze sobą wszystkich gości – kelnerki w skąpych strojach odsłaniających nogi i dekolty.

Tina przecisnęła się przez kłębiący się tłum gapiów, którzy wypełniali środkowe przejście, i niemal natychmiast wypatrzyła Michaela. Rozdawał karty przy jednym z najbliższych stolików do blackjacka, przy którym minimalny zakład wynosił pięć dolarów; wszystkie siedem miejsc było zajętych. Michael uśmiechał się szeroko, przyjaźnie gawędząc z graczami. Niektórzy krupierzy byli chłodni i nieprzystępni, ale Michael uważał, że dzień mija szybciej, gdy traktuje się ludzi z sympatią. Nie mogło dziwić, że dostawał znacznie więcej napiwków niż inni krupierzy.

Był szczupły i jasnowłosy, a oczy miał niemal równie niebieskie jak Tina. Trochę przypominał Roberta Redforda; był aż za przystojny. Nic dziwnego, że kobiety częściej i szcudrzej obdarzały go napiwkami.

Kiedy Tina wcisnęła się w wąskie przejście między stołami i zwróciła na siebie uwagę Michaela, zareagował inaczej, niż się spodziewała. Sądziła, że na jej widok przestanie się uśmiechać, ale on jeszcze bardziej się rozpromienił i w jego oczach pojawił się szczery zachwyt.

Właśnie tasował karty, kiedy ją zobaczył, i dalej to robił, gdy się do niej odezwał:

– Witaj, Tino, wspaniale wyglądasz. Prawdziwa ulga dla moich zmęczonych oczu:

Nie była przygotowana na takie miłe słowa i jego ciepłe powitanie zbiło ją z tropu.

– Ładny sweter – dodał. – Podoba mi się. Zawsze było ci do twarzy w niebieskim.

Uśmiechnęła się niezręcznie, próbując nie zapomnieć, że przyszła tutaj, aby oskarżyć go o okrutne nękanie.

– Michael, muszę z tobą pomówić.

Zerknął na zegarek.

– Za pięć minut mam przerwę.

– Gdzie się spotkamy?

– Może zaczekaj tutaj? Możesz popatrzeć, jak ci mili ludzie ogrywają mnie na sporą kasę.

Wszyscy gracze przy stole jęknęli i nie omieszkali skomentować tego, jak niewielkie mają szanse na wygraną u tego krupiera.

Michael uśmiechnął się i mrugnął do Tiny.

Odpowiedziała mu sztucznym uśmiechem.

Czekała niecierpliwie, aż minie pięć minut; nigdy nie czuła się swobodnie w zatłoczonych kasynach. Chaos i intensywne emocje, czasami graniczące z histerią, działały jej na nerwy.

W olbrzymiej sali było tak głośno, że mieszanka dźwięków niemal stawała się widzialna – zlewała się w żółtą mgiełkę wiszącą w powietrzu. Automaty brzęczały, popiskiwały i gwizdały. Kulki grzechotały na kołach ruletek. Na małej scenie w hotelowym barze za rzędami automatów pięcioosobowy zespół grał szaleńczo głośną muzykę pop. Przez głośniki hałaśliwie wywoływano nazwiska. Lód grzechotał w szklankach gości popijających podczas gry. Wydawało się, że wszyscy mówią jednocześnie.

Kiedy nadeszła pora przerwy, inny krupier zastąpił Michaela, a on odszedł od stołu i stanął w przejściu.

– Chcesz porozmawiać?

– Nie tutaj – odparła, prawie krzyżąc. – Nie słyszę własnych myśli.

– Chodźmy do galerii.

– Dobrze.

Żeby dotrzeć do wind, którymi mieli zjechać do galerii handlowej na niższym poziomie, musieli przejść przez całe kasyno. Michael prowadził, delikatnie przepychając się łokciami przez świąteczny tłum, a Tina szybko podążała jego śladem, korzystając z wytyczonego przez niego szlaku.

W połowie długiej sali przystanęli w miejscu, w którym jakiś mężczyzna w średnim wieku leżał nieprzytomny na plecach obok stołu do blackjacka. Miał na sobie beżowy garnitur, ciemnobrązową koszulę i krawat w beżowe wzory. Obok niego leżał przewrócony stółek, a po wykładzinie rozsypały się zielone żetony o wartości mniej więcej pięciuset dolarów. Dwaj umundurowani ochroniarze udzielali mu pierwszej pomocy, poluzowując krawat i kołnierzyk oraz sprawdzając puls, a trzeci trzymał na dystans ciekawskich klientów.

– Atak serca, Pete? – spytał Michael.

– Cześć, Mike – odezwał się ten trzeci. – Nie, to chyba nie serce. Pewnie mieszanka karcianego zamroczenia i pęcherza bingo. Facet siedział tutaj przez osiem godzin bez przerwy.

Mężczyzna w beżowym garniturze stęknął. Jego powieki zatrzepotały.

Kręcąc głową, wyraźnie rozbawiony Michael ominął zamieszanie i znów zanurzył się w tłumie.

Kiedy w końcu dotarli do wind i zjechali do galerii, Tina spytała:

– Co to jest karciane zamroczenie?

– Objaw głupoty – wyjaśnił Michael, wciąż rozbawiony. – Gość siada do gry i tak się wciąga, że traci poczucie czasu, na co oczywiście liczy kierownictwo. Dlatego w kasynach nie ma okien ani zegarów. Ale od czasu do czasu ktoś naprawdę się zatracą, godzinami nie wstaje od stołu, tylko gra jak zombie. Jednocześnie za dużo pije. Kiedy w końcu się podnosi, porusza się za szybko. Krew odpływa mu z głowy i... bum!... od razu mdleje. Karciane zamroczenie.

– Aha.

– To się często zdarza.

– A pęcherz bingo?

– Czasami gracz tak się wciąga w rozgrywkę, że jest jak zahipnotyzowany. Regularnie pije, ale jest w transie i ignoruje zew natury, aż w końcu... bingo!... doznaje skurczu pęcherza. Jeśli skurcz jest naprawdę poważny, dochodzi do blokady, przez co biedak nie może sobie ulżyć, więc trzeba go zabrać do szpitala i cewnikować.

– Mój Boże, mówisz poważnie?

– Tak.

Wyszli z windy do zatłoczonej galerii handlowej. Ludzie mijali sklepy z pamiątkami, galerie sztuki, zakłady jubilerskie i sklepy z ubraniami, ale byli mniej liczni i nie tak natarciwi jak w kasynie.

– Nadal nie widzę żadnego miejsca, w którym moglibyśmy porozmawiać na osobności – zauważyła Tina.

– Przejdźmy się do lodziarni na rożki pistacjowe. Co ty na to? Zawsze lubiłaś pistacje.

– Nie mam ochoty na lody, Michael.

Straciła impet wywołany gniewem i obawiała się, że zabraknie jej determinacji, żeby stawić mu czoło. Tak bardzo się starał być miły, co było zupełnie nie w jego stylu. A przynajmniej nie przypominał Michaela Evansa, którego znała przez ostatnie dwa lata. Kiedy się pobierali, był zabawny, uroczy i wyluzowany, ale to już dawno się zmieniło.

– Żadnych lodów – powtórzyła. – Tylko rozmowa.

– No cóż, może ty nie masz ochoty na pistacjowego rożka, ale ja jak najbardziej. Kupię sobie jednego, a potem wyjdziemy przejść się po parkingu. Dzień jest dosyć ciepły.

– Jak długo trwa twoja przerwa?

– Dwadzieścia minut. Ale jestem w dobrych stosunkach z kierownikiem stołu, więc mnie zastąpi, jeśli nie wrócę na czas.

Stoisko z lodami znajdowało się na drugim końcu pasażu. Po drodze Michael próbował zabawiać Tinę opowieściami o innych przypadłościach, na które cierpią hazardziści.

– Jest coś, co nazywamy „atakami rozbitego banku” – tłumaczył. – Od lat ludzie wracają z Vegas i opowiadają wszystkim swoim znajomym, że ograli kasyno. Kłamią jak najęci. Każdy udaje zwycięzcę. A kiedy ktoś rzeczywiście rozbija bank, zwłaszcza na automacie, gdzie może się to zdarzyć w mgnieniu oka, mdleje z zaskoczenia. Ataki serca najczęściej zdarzają się przy automatach, a wiele z ofiar to osoby, które właśnie trafiły trzy takie same symbole i zgarnęły sporą wygraną. Jest także „zespół Vegas”, o którym mówimy, gdy ktoś tak się zatraci w graniu i bieganiu od stołu do stołu, że zapomina jeść przez cały dzień albo dłużej. Kobietom zdarza się to prawie tak samo często jak mężczyznom. Kiedy taki człowiek w końcu czuje głód i uzmysławia sobie, że nic nie jadł, błyskawicznie pochłania potężny posiłek, a wtedy krew odpływa mu z głowy do żołądka i delikwent traci przytomność na środku restauracji. Zazwyczaj nie jest to groźne, chyba że mdleje z pełnymi ustami, ponieważ wtedy może się zakrztusić. Ale moją ulubioną przypadłością jest „zespół zakrzywienia czasu”. Goście przyjeżdżają tutaj z wielu nudnych miejsc, a Vegas jest jak Disneyland dla dorosłych. Tak wiele się tu dzieje, jest tak dużo do zobaczenia i zrobienia, że ludzie wypadają ze swojego naturalnego rytmu. Kładą się spać o świcie, wstają po południu i tracą rozeznanie, jaki jest dzień. Kiedy emocje nieco opadają, idą wymeldować się z hotelu i odkrywają, że trzydniowy weekend jakimś cudem zmienił się w pięć dni. Nie mogą w to uwierzyć. Uważają, że zostali oszukani, i kłócą się z recepcjonistami. Kiedy ktoś pokazuje im kalendarz i aktualną gazetę, doznają szoku. Padli ofiarą zaburzenia czasu i stracili dwa dni. Czy to nie dziwne?

Michael podtrzymywał tę przyjacielską rozmowę podczas kupowania lodów. W końcu wyszli z hotelu tylnymi drzwiami i ruszyli wzdłuż zalanego słońcem parkingu. Pomimo zimy temperatura przekraczała dwadzieścia stopni.

– Więc o czym chciałaś porozmawiać?

Tina nie była pewna, od czego zacząć. Pierwotnie zamierzała oskarżyć go o zdemolowanie pokoju Danny'ego. Była przygotowana na ostry atak i chciała wstrząsnąć nim tak bardzo, by przyznał się do winy, nawet gdyby tego nie chciał. Ale jeśli teraz zaczęłaby wysuwać pod jego adresem paskudne zarzuty – chociaż był wobec niej tak miły – wyszłaby na histeryczną harpię i szybko straciłaby wszelką przewagę.

– Coś dziwnego dzieje się w domu – odezwała się w końcu.

– Dziwnego? Jak to?

– Chyba ktoś się włamał.

– Chyba?

– Hm... nie jestem pewna.

– Kiedy to się stało?

Przypomniała sobie słowa zapisane na tablicy.

– Trzy razy w ciągu ostatniego tygodnia.

Zatrzymał się i wbił w nią wzrok.

– Trzy razy?

– Tak, ostatnio wczoraj wieczorem.

– Co powiedziała policja?

– Nie zawiadomiłam policji.

Zmarszczył czoło.

– Dlaczego nie?

– Choćby dlatego, że nic nie zginęło.

– Ktoś włamał się trzy razy i niczego nie ukradł?

Jeśli Michael udawał niewinnego, to był znacznie lepszym aktorem, niż sądziła, a wydawało jej się, że dobrze go zna. W końcu długo mieszkali razem, przez całe lata radości i nieszczęścia, więc zdawała sobie sprawę z jego skłonności do oszustwa i dwulicowości. Zawsze wiedziała, kiedy ją okłamuje. Teraz jednak miała wrażenie, że mówi prawdę. Było coś osobliwego w jego oczach, jakaś podejrzliwość, ale nie wyczuwała podstępów. Wyglądało na to, że Michael naprawdę nie ma pojęcia, co się wydarzyło w domu. Może nie miał z tym nic wspólnego.

Ale jeżeli to nie on zdemolował pokój Danny'ego i nie on napisał tamte słowa na tablicy, to kto?

– Po co ktoś miałby się włamywać i niczego nie zabierać? – spytał.

– Myślę, że chciał mnie zdenerwować i wystraszyć.

– Kto chciałby cię wystraszyć? – Michael sprawiał wrażenie szczerze zatroskanego.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– Nigdy nie miałaś wrogów – dodał. – Cholernie trudno cię znienawidzić.

– Tobie się udało – odparła i to było najpoważniejsze oskarżenie, na jakie mogła się zdobyć.

Zamrugnął z zaskoczeniem.

– Ależ nie. Nie, Tino. Nigdy cię nie nienawidziłem. Byłem rozczarowany zmianami, jakie w tobie zaszły. Byłem na ciebie zły. Wściekły i zraniony. Przyznaję

się do tego. Było we mnie mnóstwo goryczy, to nie ulega wątpliwości. Ale nigdy cię nie nienawidziłem.

Westchnęła.

Michael nie zdemolował pokoju Danny'ego. Była już tego całkowicie pewna.

– Tino?

– Wybacz, nie powinnam była zwracać ci głowy. Sama nie wiem, dlaczego to zrobiłam – skłamała. – Powinnam była od razu zadzwonić na policję.

Przez chwilę jej się przypatrywał, liżąc loda, a potem się uśmiechnął.

– Rozumiem. Trudno ci się za to zabrać. Nie wiesz, od czego zacząć. Dlatego przychodzisz do mnie z tą historyjką.

– Historyjką?

– Nie przejmuj się.

– Michael, to nie jest żadna historyjka.

– Nie wstydz się.

– Wcale się nie wstydzę. Dlaczego miałabym się wstydzić?

– Uspokój się. Wszystko jest w porządku, Tino – odpowiedział łagodnie.

– Ktoś włamuje się do mojego domu.

– Rozumiem, jak się czujesz. – Jego uśmiech się zmienił; teraz Michael wyglądał na zadowolonego z siebie.

– Michael...

– Naprawdę rozumiem, Tino. – Mówił pocieszającym głosem, ale z nutą pogardy. – Nie potrzebujesz wymówki, żeby mnie o to poprosić. Kochanie, nie musisz opowiadać o tym, że ktoś włamał się do twojego domu. Rozumiem i jestem po twojej stronie. Naprawdę. Więc śmiało, nie krępuj się. Po prostu przejdź do sedna. Powiedz to wprost.

Czuła się całkiem ogłupiała.

– Co mam powiedzieć?

– Pozwoliliśmy, żeby nasze małżeństwo się wykoleiło. Ale przez wiele lat było bardzo udane. Możemy do tego wrócić, jeśli naprawdę zechcemy spróbować.

Była oszołomiona.

– Mówisz poważnie?

– Myślę o tym od kilku dni. Kiedy zobaczyłem cię w kasynie, wiedziałem, że mam rację. Gdy tylko cię ujrzałem, byłem pewien, że wszystko potoczy się tak, jak przewidziałem.

– A więc naprawdę nie żartujesz.

– Oczywiście. – Błędnie uznał jej szok za zachwyty. – A skoro już pobawiłaś się w producentkę, to jesteś gotowa, by się ustatkować. To ma sens, Tino.

Pobawiłaś się! – pomyślała ze złością.

Wciąż uznawał ją za kapryśną kobietkę, która miała zachciankę, by pobawić się w produkowanie spektakli w Las Vegas. Co za nieznośny drań! Była wściekła, ale nic nie powiedziała. Bała się otworzyć usta, bo mogłaby od razu zacząć na niego wrzeszczeć.

– Efektowna kariera to nie wszystko – ciągnął Michael pompatycznym tonem. – Domowe życie też jest coś warte. Dom i rodzina. Też muszą być częścią życia. Może nawet najważniejszą. – Pokiwał głową ze świętoszkowatą miną. – Rodzina. W tych ostatnich dniach, gdy szykowałaś się do premiery swojej rewii, miałem przecucie, że wreszcie uświadomisz sobie, że potrzebujesz czegoś więcej, czegoś bardziej satysfakcjonującego emocjonalnie niż produkowanie spektakli scenicznych.

Ambicja Tiny była jednym z czynników, które doprowadziły do rozpadu ich małżeństwa. A może raczej dziecinna reakcja Michaela na jej ambicję. Przez lata wystarczyła mu kariera krupiera, pensja w kasynie i napiwki. Ale Tinie nie wystarczało bezwładne płynięcie z prądem życia. Kiedy z mozołem pięła się po szczeblach kariery, od tancerki, przez choreografkę, koordynatorkę rewii i wreszcie producentkę, Michael nie krył niezadowolenia z jej oddania pracy. Nigdy nie zanieczyli jego ani Danny'ego. Bardzo się starała, aby obaj czuli, że nie przestali być dla niej ważni. Danny był cudowny i doskonale ją rozumiał. Michael nie potrafił albo nie chciał tego zrobić. Stopniowo jego niezadowolenie zaczęło być podszyte mroczniejszymi emocjami: zaczął być zazdrosny o jej sukcesy, nawet te najdrobniejsze. Próbowwała zachęcać go do szukania sposobów awansu w jego branży – od krupiera do asystenta, kierownika stołu, a w końcu kierownika kasyna – ale on nie był tym zainteresowany. Stał się kąśliwy i nadąsany. W końcu zaczął się spotykać z innymi kobietami. Jego reakcja zaszokowała, potem oszołomiła, a wreszcie zasmuciła Tinę. Mogłaby go zatrzymać przy sobie tylko wtedy, gdyby porzuciła karierę, a nie miała zamiaru tego robić.

Z czasem dał jej jasno do zrozumienia, że nigdy tak naprawdę nie kochał prawdziwej Christiny. Nie powiedział jej tego wprost, ale wskazywało na to jego zachowanie. Uwielbiał ją jako tancerkę, urocze stworzonko pożądane przez mężczyzn, ślicznotkę, której towarzystwo pompowało jego ego. Dopóki była tylko tancerką, gotową całkowicie się dla niego poświęcić, dopóki wisiała mu na ramieniu i wyglądała smakowicie, był w stanie ją zaakceptować. Ale gdy tylko postanowiła zostać kimś więcej niż efektowną zdobyczą, zaczął się buntować.

Dotkliwie zraniona tym odkryciem, dała mu wolność, której pragnął.

A teraz uznał, że ona zamierza wrócić do niego z podkulonym ogonem. Właśnie dlatego się uśmiechnął, gdy zobaczył ją w kasynie. To dlatego był taki uroczy.

Rozmiary jego ego ją oszałamiały.

Stojąc przed nią w blasku słońca, w białej koszuli migoczącej pod wpływem światła odbijającego się od zaparkowanych samochodów, obdarzał ją tym pełnym samozadowolenia i wyższości uśmiechem, który sprawiał, że po jej plecach przeszły ciarki, jak przystało na zimowy dzień.

Dawno temu bardzo go kochała. Teraz nie potrafiła zrozumieć, jak to możliwe, że kiedyś był dla niej ważny.

– Michael, może nie słyszałeś, ale *Magyck!* jest przebojem. Wielkim przebojem. Olbrzymim.

– Jasne – odparł. – Wiem, mała. Cieszę się twoim sukcesem. Naszym sukcesem. Ale skoro już udowodniłaś to, co chciałaś udowodnić, możesz wyluzować.

– Michael, będę dalej pracowała jako producentka. Nie zamierzam...

– Och, nie oczekuję, że zrezygnujesz – przerwał jej wspaniałomyślnie.

– Nie oczekujesz, tak?

– Ależ nie. Oczywiście, że nie. Powinnaś mieć jakieś hobby. Teraz to rozumiem. Już to do mnie dotarło. Ale skoro *Magyck!* odnosi sukcesy, nie będziesz miała aż tak dużo do roboty. Będzie inaczej niż przedtem.

– Michael... – zaczęła; chciała mu powiedzieć, że planuje wystawić kolejny spektakl w ciągu najbliższego roku, nie zamierza mieć na afiszu tylko jednej produkcji, a nawet myśli o Nowym Jorku i Broadwayu, gdzie powrót musicali w stylu Busby'ego Berkeleya mógł się spotkać ze świetnym przyjęciem.

Ale Michael był całkowicie pochłonięty swoją fantazją i nie zdawał sobie sprawy, że ona nie pragnie być jej częścią. Przerwał jej, zanim zdążyła powiedzieć cokolwiek więcej poza jego imieniem.

– Damy radę, Tino. Nasze pierwsze lata były takie udane. Znow może być dobrze. Wciąż jesteśmy młodzi. Mamy czas, żeby założyć nową rodzinę. Może nawet będziemy mieli dwóch synów i dwie córki. Zawsze tego chciałem.

Przerwał, żeby polizać loda.

– Michael, na pewno tak nie będzie.

– Cóż, może masz rację. Może duża rodzina to niezbyt mądry pomysł w dzisiejszych czasach, kiedy gospodarka ma kłopoty, a na świecie jest tak niespokojnie. Ale dwójką na pewno zdołamy się zająć, a przy odrobinie szczęścia trafią nam się chłopiec i dziewczynka. Oczywiście odczekamy jakiś rok. Na pewno taki spektakl jak *Magyck!* wymaga sporo pracy, nawet po premierze. Odczekamy, aż wszystko się uspokoi i nie będziesz musiała poświęcać tyle czasu pracy. Wtedy będziemy mogli...

– Michael, przestań! – przerwała mu ostro.

Wzdrygnął się, jakby go spoliczkowała.

– Wcale nie czuję się niespełniona – oświadczyła. – Nie tęsknię za domowym życiem. Nie rozumiesz mnie ani trochę lepiej niż wtedy, gdy się rozwiedliśmy.

Na jego twarzy zaskoczenie powoli ustąpiło miejsca posepnemu grymasowi.

– Nie zmyśliłam historyjki o włamaniu, żebyś mógł wcielić się w silnego, godnego zaufania mężczyznę spieszącego na pomoc wystraszonej słabej kobiecie. Ktoś naprawdę włamał się do mojego domu. Przyszłam do ciebie, ponieważ sądziłam... wierzyłam... Zresztą to już nie ma znaczenia.

Odwróciła się od niego i ruszyła w stronę tylnych drzwi, którymi wyszli z hotelu kilka minut wcześniej.

– Zaczekaj! – zawołał Michael. – Tino, zaczekaj!

Zatrzymała się i popatrzyła na niego z pogardą i smutkiem.

Pośpiesznie do niej podszedł.

– Przepraszam. To moja wina, Tino. Wszystko popsulem. Jezu, bełkotałem jak idiota, prawda? Nie pozwoliłem, żebyś zrobiła to po swojemu. Wiedziałem, co chcesz powiedzieć, ale powinienem poczekać, żebyś powiedziała to w swoim tempie. Pomyliłem się. Po prostu... byłem taki podniecony. To wszystko. Powinienem być się zamknąć i dać ci mówić. Przepraszam, mała. – Powrócił jego przymilny chłopięcy uśmiech. – Nie wściekaj się na mnie, dobrze? Oboje chcemy tego samego: domowego życia, udanej rodziny. Nie zaprzepaśćmy tej szansy.

Popatrzyła na niego surowo.

– Owszem, pragnę udanego domowego życia. W tym się nie mylisz. Ale nie masz racji co do całej reszty. Nie chcę być producentką tylko dlatego, żeby mieć jakieś hobby. Hobby! Michael, to idiotyzm. Nikt nie byłby w stanie wyprodukować spektaklu takiego jak *Magyck!*, gdyby to było tylko jego hobby. Nie mogę uwierzyć, że coś takiego powiedziałeś! To nie była zabawa, tylko ciężka harówka, umysłowa i fizyczna, która dała mi mnóstwo radości! Jak Bóg da, zrobię to ponownie. A potem jeszcze wiele razy. Wyprodukuję spektakle, przy których *Magyck!* będzie wyglądać jak amatorszczyzna. Być może pewnego dnia znów zostanę matką. I to cholernie dobrą. Dobrą matką i dobrą producentką. Jestem wystarczająco inteligentna i utalentowana, by nie ograniczać się do jednej życiowej roli. A z pewnością mogę być czymś więcej niż twoją błyskotką i pokojówką.

– Chwileczkę – rzucił, wpadając w gniew. – Co to ma znaczyć, do cholery?! Nie będziesz...

Przerwała mu. Przez lata wypełniały ją ból i gorycz. Nigdy nie dała upustu złości, ponieważ – przynajmniej na początku – próbowała ją ukryć przed Dannym. Nie chciała nastawiać go przeciwko ojcu. Później, po śmierci syna, tłumiała te

uczucia, ponieważ wiedziała, że Michael bardzo cierpi z powodu utraty dziecka, i nie chciała przysparzać mu bólu. Ale teraz wreszcie wyrzuciła z siebie nieco jadu, który gromadził się w niej od tak dawna. Przerwała mu w pół słowa.

– Pomyliłeś się, myśląc, że pokornie do ciebie wrócę. Po co miałabym to robić? Co możesz mi dać, czego nie znajdę gdzieś indziej? Zresztą nigdy nie byłeś zbyt skory do dawania. Dajesz coś innym tylko wtedy, gdy masz pewność, że dostaniesz w zamian dwa razy więcej. Jesteś chciwy z natury. A zanim sprzedasz mi kolejną porcję słodkiej gadki o swoim umiłowaniu rodzinnego życia, pozwól, że ci przypomnę, kto rozbił naszą rodzinę. To nie ja skakałam z kwiatka na kwiatek.

– Zaraz...

– To ty zaczęłaś się rżnąć na lewo i prawo, a potem chełpiłaś się swoimi tandetnymi romansami, żeby mnie zranić. To ty nie wracałaś do domu na noc. To ty wyjeżdżałaś na weekendy ze swoimi dziewczynami. Te weekendy zdrad złamały mi serce, Michael... i na to przecież liczyłeś. Ale czy chociaż przez chwilę zastanawiałeś się, jaki wpływ miały twoje nieobecności na Danny'ego? Skoro naprawdę tak cenisz życie rodzinne, to dlaczego nie spędzałeś weekendów z synem?

Jego twarz poczerwieniała, a w oczach pojawiła się znajoma podłość.

– A więc nie umiem dawać, tak? W takim razie kto dał ci dom, w którym mieszkasz, co? Kto musiał się wyprowadzić, kiedy zaczęliśmy być w separacji?

Rozpaczliwie próbował jej się przeciwstawić i zmienić przebieg kłótni. Tina widziała, do czego zmierza, i nie zamierzała pozwolić zbić się z tropu.

– Nie bądź żałosny – rzuciła. – Doskonale wiesz, że zaliczka na dom pochodziła z moich zarobków. Ty zawsze wydawałeś pieniądze na szybkie samochody i markowe ciuchy. To ja spłacałam wszystkie raty. Dobrze o tym wiesz. Poza tym nigdy nie domagałam się alimentów. Zresztą mniejsza o to. Rozmawialiśmy o życiu rodzinnym, o Danny'm.

– Teraz to ty mnie posłuchaj...

– Nie. Po tych wszystkich latach wreszcie nadeszła twoja kolej, żeby słuchać. Jeśli w ogóle to potrafisz. Skoro nie chciałeś być blisko mnie, mogłeś zabierać Danny'ego na weekendy do siebie. Mogłeś jeździć z nim pod namiot. Zabrać go na dwa dni do Disneylandu. Albo na ryby nad Kolorado. Ale byłeś zbyt zajęty wykorzystywaniem tych wszystkich kobiet, żeby mnie zranić i udowodnić sobie, jaki to z ciebie ogier. A mogłeś spędzać ten czas z synem. On za tobą tęsknił. Mogłeś poświęcić mu te cenne chwile, ale nie chciałeś. Okazało się, że Danny miał bardzo mało czasu.

Michael był blady jak ściana i dygotał. Oczy pociemniały mu z wściekłości.

– Wciąż jesteś taką samą cholerną suką jak zawsze.

Westchnęła i wyciszyła się. Była wyczerpana. Kiedy już się wygadała, poczuła przyjemne zmęczenie, jakby odpłynęła z niej zła energia.

– Jesteś taką samą wredną i zaborczą babą – ciągnął Michael.

– Nie chcę się z tobą kłócić. Jest mi nawet przykro, jeśli to, co powiedziałam o Danny'm, sprawiło ci ból, chociaż z pewnością zasłużyłeś, żeby to usłyszeć. Wcale nie chcę cię skrzywdzić. To dziwne, ale już cię nie nienawidzę. Nic do ciebie nie czuję. Absolutnie nic.

Odwróciła się, pozostawiając go na słońcu z roztopiającym się lodem spływającym mu na dłoń.

Przeszła przez galerię handlową, wjechała windą do kasyna i precyzyjnie przeszła przez hałaśliwy tłum do głównego wejścia. Gdy przyprowadzono jej samochód z parkingu, odjechała stromą rampą.

Skierowała się do hotelu Golden Pyramid, gdzie miała biuro i gdzie czekało na nią sporo pracy.

Po pokonaniu zaledwie jednej przecznicy musiała zjechać na pobocze. Nie widziała drogi, ponieważ gorące łzy zalewały jej twarz. Zaparkowała i niespodziewanie dla samej siebie wybuchła głośnym płaczem.

Początkowo nie wiedziała, dlaczego płacze. Po prostu poddała się rozdzierającemu żalowi, który ją ogarnął, i nawet nie próbowała go wypierać.

Po chwili doszła do wniosku, że płacze z powodu Danny'ego. Biednego słodkiego Danny'ego. Dopiero rozpoczął życie. To niesprawiedliwe. Płakała także nad sobą i Michael'em. Nad wszystkim, co mogło się wydarzyć, a co bezpowrotnie odeszło.

Po kilku minutach odzyskała panowanie nad sobą. Wytarła oczy i wydmuchała nos.

Musiała przestać być taka ponura. W jej życiu było już wystarczająco wiele smutku. Piekielnie dużo.

– Myśl pozytywnie – powiedziała głośno. – Może przeszłość nie była udana, ale przyszłość zapowiada się znakomicie.

Przejrzała się w lusterku wstecznym, żeby sprawdzić, jak wielkie spustoszenia wyrządził napad płaczu. Wyglądała lepiej, niż się spodziewała. Miała zaczerwienione oczy, ale nie przypominała wampira. Otworzyła torebkę, znalazła puder i jak najdokładniej zamaskowała ślady po łzach.

Włączyła się do ruchu i ponownie ruszyła w stronę hotelu.

Kiedy zatrzymała się na najbliższych światłach, uświadomiła sobie, że wciąż nie rozwiązała zagadki. Była przekonana, że Michael nie zdemolował pokoju

Danny'ego. Ale w takim razie kto to zrobił? Nikt inny nie miał klucza. Tylko wytrawny włamywacz mógłby dostać się do środka, nie pozostawiając żadnych śladów. I dlaczego miałby to zrobić, skoro niczego nie ukradł? Po co włamywać się do czyjegoś domu tylko po to, by napisać coś na tablicy i porozrzucić rzeczy nieżyjącego dziecka?

Dziwne.

Dopóki podejrzewała Michaela, była oburzona i zdenerwowana, lecz się nie bała. Jednak jeśli ktoś nieznajomy chciał jej zadać ból w związku ze śmiercią syna, to z pewnością miała powody do niepokoju. Ta możliwość była straszna, ponieważ nie miała żadnego sensu. Ktoś nieznajomy? Pewnie tak. Tylko Michael obwinił ją o śmierć Danny'ego. Żaden inny krewny ani znajomy nawet nie zasugerował, że była choćby pośrednio odpowiedzialna. Mimo to miała wrażenie, że niedające jej spokoju słowa zapisane na tablicy i bałagan w sypialni były dziełem kogoś, kto uważa, że jest winna wypadku. Mógł to być ktoś, kogo nawet nie znała. Tylko dlaczego nieznajomy miałby tak głęboko przeżywać śmierć Danny'ego?

Zapaliło się zielone światło.

Z tyłu rozległ się dźwięk klaksonu.

Kiedy pokonała skrzyżowanie i wjechała na podjazd hotelu Golden Pyramid, nie mogła pozbyć się niepokojącego uczucia, że ktoś ją obserwuje i chce skrzywdzić. Zerknęła w lusterko wsteczne, żeby sprawdzić, czy nikt jej nie śledzi. Nic nie wskazywało na to, że ma ogon.

TRZECIE PIĘTRO HOTELU GOLDEN Pyramid zajmowali pracownicy administracji i kadra kierownicza. Nie było tu ani śladu typowego dla Vegas blichtru. Tutaj wykonywano ciężką pracę. Na trzecim piętrze znajdowała się maszyna podtrzymująca mury fantazji, za którymi bawili się turyści.

Gabinet Tyny był duży, wyłożony pobielaną sosnową boazerią i wyposażony w wygodne nowoczesne meble. Jedną ścianę zasłaniały grube zasłony chroniące przed ostrym blaskiem pustynnego słońca. Okna za zasłonami wychodziły na Strip.

Wiezorami słynny bulwar wyglądał olśniewająco, jak wartka rzeka światła: czerwonego, niebieskiego, zielonego, żółtego, fioletowego, różowego, turkusowego – w każdym kolorze widzialnego spektrum. Żarówki, neony, światłowody i lasery, wszystkie migotały i pulsowały. Trzydziestometrowe – a nawet stu pięćdziesięciometrowe – szyldy migotały i połyskiwały pięć albo dziesięć pięter nad ulicą, kilka tysięcy kilometrów jaskrawych rurek wypełnionych lśniącem gazem wiło się i mrugało, kilkaset tysięcy żarówek wyświetlało nazwy hoteli i tworzyło obrazy świetlne. Sterowane komputerowo wzory pojawiały się i znikwały w szaleńczym, ale zaskakująco pięknym pokazie pożerającym ogromne ilości energii.

Za dnia bezlitosne słońce nie rozpieszczało jednak Strip. W jego ostrym świetle olbrzymie konstrukcje nie zawsze wyglądały atrakcyjnie; czasami, pomimo wielomiliardowej wartości, ulica prezentowała się niechlujnie.

Tina nie zachwycała się legendarnym bulwarem; rzadko na niego patrzyła. Rzadko bywała w gabinecie wieczorami, więc prawie nigdy nie odsłaniała okna. Tego popołudnia zasłony także były zaciągnięte. Pomieszczenie tonęło w cieniu, a ona siedziała przy biurku w plamie łagodnego światła.

Kiedy przeglądała rachunek za prace stolarskie przy części scenografii *Magyck!*, jej sekretarka Angela weszła do gabinetu.

– Potrzebujesz jeszcze czegoś, zanim wyjdę?

Tina zerknęła na zegarek.

– Jest dopiero za kwadrans szesnasta.

- Wiem, ale dzisiaj kończymy o czwartej... jest sylwester.
- Aha, no jasne... Całkiem zapomniałam.
- Jeśli chcesz, mogę zostać nieco dłużej – zaproponowała Angela.
- Ależ nie. Wracaj do domu o czwartej, tak jak pozostali.
- Więc potrzebujesz czegoś jeszcze?

Tina odchyliła się na oparcie krzesła.

- Prawdę mówiąc, tak. Wielu stałych gości i ważnych graczy nie dotarło na premierę dla VIP-ów. Znajdź w komputerze ich nazwiska, a także daty rocznic ślubu tych spośród nich, którzy mają żony i mężów.

- Załatwione – odrzekła Angela. – Co planujesz?

- W ciągu roku będę wysyłała specjalne zaproszenia, zachęcając ich do spędzenia tutaj rocznicy ślubu... trzy dni pobytu na nasz koszt. „Uczcijcie swoją magiczną rocznicę w magicznym świecie *Magyck!*”... tak to zareklamujemy. Albo coś w tym stylu. Postaramy się o romantyczną atmosferę. Podczas przedstawienia podamy im szampana. To będzie świetna promocja, nie uważasz? – Tina uniosła palce, jakby ujmowała swoje kolejne słowa w cudzysłów. – „Golden Pyramid – magiczne miejsce dla zakochanych”.

- Kierownictwo hotelu powinno być zadowolone – przyznała Angela. – Będą mieli świetną reklamę w mediach.

- Szefostwo kasyna też się ucieszy, ponieważ wielu dużych graczy zapewne pojawi się w tym roku przynajmniej o jeden raz więcej. Typowy hazardzista nie rezygnuje z zaplanowanych podróży do Vegas. Po prostu urządzi sobie dodatkową wycieczkę z okazji rocznicy. A ja będę zadowolona, ponieważ dzięki temu o spektaklu będzie głośno.

- Świetny pomysł – oceniła Angela. – Zaraz wydrukuję listę.

Tina wróciła do rachunku od stolarza, a jej asystentka przyszła pięć minut później z trzydziestoma stronami danych.

- Dziękuję – powiedziała Tina.

- Żaden problem.

- Czy ty drżysz?

- Tak – przyznała Angela, obejmując się rękami. – Chyba mamy jakiś problem z klimatyzacją. W ciągu ostatnich kilku minut w moim gabinecie zrobiło się strasznie chłodno.

- U mnie jest ciepło – zauważyła Tina.

- Może to ze mną jest coś nie tak. Może coś mnie rozkłada. Oby nie, bo mam na dzisiaj plany.

- Przyjęcie?

- Tak, wielka impreza przy Rancho Circle.
- W dzielnicy milionerów?
- Szef mojego chłopaka tam mieszka. No nic... szczęśliwego Nowego Roku, Tino.
- Wzajemnie.
- Do zobaczenia w poniedziałek.
- W poniedziałek? No tak, rzeczywiście. Mamy czterodniowy weekend. Nie daj się kacowi.

Angela uśmiechnęła się szeroko.

- Obawiam się, że przynajmniej jeden mnie dopadnie.

Tina skończyła sprawdzanie rachunku i zaakceptowała płatność.

Została sama na trzecim piętrze; ziewała, siedząc przy biurku zalanym bursztynowym światłem, otoczona cieniami. Zamierzała popracować jeszcze godzinę, do siedemnastej, a potem wrócić do domu. Potrzebowała dwóch godzin, żeby przygotować się do randki z Elliotem Strykerem.

Uśmiechnęła się, gdy o nim pomyślała, a potem zebrała plik przyniesionych przez Angelę papierów, żeby jak najszybciej skończyć pracę.

Hotel był w posiadaniu zadziwiająco szczegółowych danych o swoich ulubionych klientach. Gdyby chciała się dowiedzieć, ile pieniędzy zarabia rocznie każda z tych osób, komputer dostarczyłby jej tych informacji. Mogła także poznać ulubiony gatunek alkoholu każdego z mężczyzn, ulubione kwiaty i markę perfum każdej z żon, modele ich samochodów, imiona i wiek dzieci, szczegóły dotyczące wszystkich chorób i przypadłości, ulubione potrawy, ulubione kolory, gusta muzyczne, sympatie polityczne oraz mnóstwo innych danych, zarówno istotnych, jak i banalnych. Zatrzymanie tych klientów było wyjątkowo ważne, a im więcej kierownictwo o nich wiedziało, tym skuteczniej mogło ich obsługiwać. Chociaż gromadzono te informacje z myślą o zadowoleniu klientów, Tina zastanawiała się, czy rzeczywiście byliby oni zadowoleni, gdyby wiedzieli o tym, że szefowie Golden Pyramid dysponują grubymi teczkami na ich temat.

Przejrzała listę VIP-ów, którzy nie pojawili się na premierze. Zaznaczyła czerwoną kredką nazwiska, przy których widniały daty ślubu, i starała się oszacować rozmiary planowanej promocji. Naliczyła dwadzieścia dwie osoby, gdy nagle dotarła do niezwykłej wiadomości, którą komputer umieścił w środku listy.

Poczuła ucisk w piersi. Nie mogła oddychać.

Wpatrywała się w wydruk, a w jej wnętrzu wzbierał strach – ciemny, lodowaty i gęsty.

Pomiędzy nazwiskami dwóch klientów znajdowało się pięć linijek tekstu, które nie miały nic wspólnego z zamówionymi danymi:

NIE UMARŁ
NIE UMARŁ
NIE UMARŁ
NIE UMARŁ
NIE UMARŁ

Kartki zaszeleściły w jej drżących dłoniach.

Najpierw w domu. W pokoju Danny'ego. Teraz tutaj. Kto jej to robi?

Angela?

Nie. To absurd.

Angela to dobra dziewczyna. Nie byłaby zdolna do takiej złośliwości. Nie zauważyła zakłócenia w wydruku, ponieważ nie miała czasu go przejrzeć.

Poza tym Angela nie mogłaby się dostać do jej domu. Nie była włamywaczką, na Boga.

Tina szybko przerzucała kartki, szukając kolejnego chorego żartu. Znalazła go dwadzieścia sześć nazwisk dalej.

DANNY ŻYJE
DANNY ŻYJE
POMOCY
POMOCY
POMÓŻ MI

Miała wrażenie, że jej serce pompuje płyn chłodzący zamiast krwi; promieniował z niego chłód.

Nagle zdała sobie sprawę, że jest zupełnie sama. Zapewne była jedyną osobą na całym piętrze.

Przypomniała sobie człowieka ze swojego koszmaru – mężczyznę w czerni, o twarzy oblepionej robakami – i cienie w kącie gabinetu od razu wydały jej się ciemniejsze i głębsze niż jeszcze przed chwilą.

Przebiegła wzrokiem po kolejnych czterdziestu nazwiskach i skrzywiła się, gdy zobaczyła, co jeszcze wydrukował komputer.

BOJĘ SIĘ
BOJĘ SIĘ
WYDOSTAŃ MNIE
WYDOSTAŃ MNIE STĄD

PROSZĘ... PROSZĘ
POMOCYPOMOCYPOMOCYPOMOCY

To był ostatni niepokojący dodatek. Dalszy ciąg listy wyglądał normalnie.

Rzuciła wydruk na podłogę i wyszła z gabinetu.

Zapaliła światło, które Angela zgasiła przed wyjściem.

Tina podeszła do jej biurka, usiadła na jej krześle i włączyła komputer. Ekran wypełniło łagodne błękitne światło.

W zamkniętej na klucz środkowej szufladzie biurka znajdowała się książka z kodami dostępu do tajnych informacji, które przechowywano nie na dyskietce, tylko w centralnym banku pamięci. Tina przekartkowała książkę i znalazła kod wymagany do wyświetlenia listy najlepszych klientów hotelu. Była to liczba 1001012, zapewniająca dostęp do listy „darmowych gości”, co było eufemistycznym określeniem „wielkich przegranych”, od których nigdy nie pobierano opłat za pokój ani posiłki w restauracji, ponieważ regularnie przepuszczali w kasynie małą fortunę.

Wpisała swój kod dostępu – EO13331555. Jako że dużą część materiałów w hotelowej bazie danych stanowiły poufne informacje o najważniejszych klientach, a lista ulubionych gości Pyramid byłaby niezwykle cenna dla konkurencji, tylko niektórzy pracownicy mogli uzyskać dostęp do tych danych, a każde wejście do bazy było rejestrowane. Po chwili wahania komputer zapytał ją o nazwisko, a kiedy je wpisała, dopasował nazwisko do numeru.

UZYSKANO DOSTĘP

Wpisała kod listy darmowych gości, a maszyna natychmiast zareagowała.

PRZEJDŹ DALEJ

Miała wilgotne palce. Wytarła je o spodnie, a potem szybko wstukała hasło do wyszukiwarki. Poprosiła komputer o te same informacje, które przed chwilą pobrała Angela. Nazwiska i adresy VIP-ów, którzy nie przyjechali na premierę *Magyck!* – a także daty ślubu w przypadku tych, którzy byli żonaci – zaczęły pojawiać się na ekranie i przesuwają w górę. Drukarka laserowa wypluwała te same dane.

Tina chwyciła kolejne kartki z podajnika drukarki. Laser z szeptem naniósł na papier dwadzieścia nazwisk, potem czterdzieści, sześćdziesiąt, siedemdziesiąt, ale

nie towarzyszyły im linijki dotyczące Danny'ego, które pojawiły się na pierwszym wydruku. Odczekała, aż wydrukuje się co najmniej setka nazwisk, po czym uznała, że system został zaprogramowany, by wiadomość o jej synu pojawiła się tylko raz, podczas pierwszego pobrania danych z bazy.

Anulowała drukowanie i zamknęła plik. Drukarka umilkła.

Zaledwie dwie godziny temu doszła do wniosku, że z pewnością dręczy ją ktoś nieznajomy. Lecz w jaki sposób miałby z taką łatwością uzyskać dostęp zarówno do jej domu, jak i hotelowego komputera? A może robił to jednak ktoś, kogo znała?

Ale kto?

I dlaczego?

Kto mógłby tak bardzo jej nienawidzić?

Strach, przypominający wijącego się węża, ślizgał się w jej wnętrzu. Tina zadrżała.

Po chwili zrozumiała, że drży nie tylko ze strachu. W biurze było chłodno.

Przypomniała sobie skargę Angeli. Wtedy nie uznała jej za istotną.

Kiedy jednak weszła do tego pomieszczenia, by skorzystać z komputera, było w nim ciepło, a teraz panował ziąb. Jak to możliwe, że temperatura spadła tak gwałtownie? Nasłuchiwała szumu klimatyzacji, ale z kratek w ścianach nie wydobywał się charakterystyczny szmer. Mimo to w biurze było znacznie zimniej niż jeszcze kilka minut temu.

Z ostrym elektronicznym trzaskiem, który wystraszył Tinę, komputer nagle zaczął wypływać kolejne dane, chociaż ich nie zażądała. Zerknęła na drukarkę, a potem na słowa, które zamigotały na ekranie.

NIE UMARŁ NIE UMARŁ
NIE UMARŁ NIE UMARŁ
NIE W ZIEMI
NIE UMARŁ
WYDOSTAŃ MNIE STĄD
WYDOSTAŃ MNIE MNIE MNIE

Wiadomość zamigotała i zniknęła z ekranu. Drukarka ucichła.

W pomieszczeniu robiło się coraz zimniej.

A może to tylko jej wyobraźnia?

Miała zwariowane poczucie, że nie jest sama. Mężczyzna w czerni. Chociaż był tylko istotą z koszmarnego snu i nie mógł pojawić się na jawie, nie potrafiła pozbyć się paraliżującego wrażenia, że jest w tym pomieszczeniu. Mężczyzna

w czerni. Mężczyzna o złych, ognistych oczach. O żółtych zębach. Tuż za nią. Wyciąga ku niej zimną, wilgotną dłoń. Obróciła się na krześle, ale była w biurze sama.

Oczywiście. Mężczyzna w czerni był tylko potworem z koszmaru. Wygłupiła się.

A jednak czuła, że nie jest sama.

Nie chciała znów patrzeć na ekran, lecz to zrobiła. Musiała.

Słowa wciąż tam płonęły.

Nagle zniknęły.

Udało jej się wyrwać z objęć paraliżującego lęku i położyła palce na klawiaturze. Zamierzała sprawdzić, czy ktoś wcześniej zaprogramował wydruk wiadomości dotyczącej Danny'ego, czy może została ona wysłana przed kilkoma sekundami z innego komputera w którymś z gabinetów w złożonej sieci hotelowych pomieszczeń biurowych.

Ogarnęło ją niemal nadprzyrodzone przecucie, że sprawca tego okrutnego czynu jest w budynku, być może nawet na tym samym piętrze. Wyobrazila sobie siebie wychodzącą z biura, wędrującą długim korytarzem, otwierającą drzwi, zaglądnącą do cichych opuszczonych gabinetów i w końcu znajdującą mężczyznę, który siedzi przy komputerze. Odwróciłby się w jej stronę, zaskoczony, a ona wreszcie odkryłaby, kim jest.

I co wtedy?

Czyby ją skrzywdził? Zabił?

To była nowa myśl: możliwość, że jego ostatecznym celem jest coś więcej niż wystraszenie jej i sprawienie jej cierpienia.

Zawahała się z palcami na klawiaturze, niepewna, czy powinna kontynuować. Zapewne nie znajdzie odpowiedzi, których szuka, a tylko zdradzi swoją obecność. Nagle uświadomiła sobie, że jeśli ten ktoś jest w pobliżu, to już wie, że ona jest tu sama. Nie miała nic do stracenia. Postanowiła podążać śladem danych. Ale kiedy spróbowała wpisać polecenie, klawiatura się zablokowała; klawisze nie dawały się wcisnąć.

Drukarka szumiała.

W pomieszczeniu panowało arktyczne zimno.

Na ekranie pojawił się tekst:

TAK MI ZIMNO I BOLI
MAMO? SŁYSZYSZ?
TAK MI ZIMNO

WYDOSTAŃ MNIE STĄD
PROSZĘ PROSZĘ PROSZĘ
NIE UMARŁ NIE UMARŁ

Ekran rozświetlił się tymi słowami, a potem zgasł.
Ponownie spróbowała wpisać zapytanie, ale klawiatura pozostała nieaktywna.
Nadal czuła czyjąś obecność. Wrażenie, że towarzyszy jej ktoś niewidzialny i groźny, przybierało na sile wraz z obniżaniem się temperatury.

Jak on mógł tak wyziębic pomieszczenie bez udziału klimatyzacji? Kimkolwiek był, potrafił włamać się do jej komputera. To była jeszcze w stanie zaakceptować, ale jak zdołał tak szybko obniżyć temperaturę powietrza?

Nagle ekran ponownie wypełniło te same siedem linijek tekstu, a Tina poczuła, że ma dosyć. Wyłączyła komputer i niebieski blask bijący od ekranu zgasł.

Kiedy wstawiała z niskiego krzesła, terminal ponownie się uruchomił.

TAK MI ZIMNO I BOLI
WYDOSTAŃ MNIE STĄD
PROSZĘ PROSZĘ PROSZĘ

– Skąd mam cię wydostać? – spytała ostro. – Z grobu?

WYDOSTAŃ MNIE MNIE MNIE

Musiała wziąć się w garść. Właśnie odezwała się do komputera, jakby naprawdę rozmawiała z Dannym. Przecież to nie on pisze te słowa. Do cholery, Danny nie żyje!

Gwałtownie wyłączyła komputer.

Lecz znów się włączył.

Gorące łzy przesłoniły jej wzrok. Nie potrafiła ich powstrzymać. Chyba traciła rozum. Przecież to cholerstwo nie może samo się uruchamiać.

Zmierzając do gniazdka w ścianie, pośpiesznie okrążyła biurko i uderzyła się przy tym w biodro o kant blatu, podczas gdy drukarka z szumem wypluwała słowa:

WYDOSTAŃ MNIE STĄD
WYDOSTAŃ MNIE MNIE
MNIE

MNIE

Tina przykucnęła obok gniazdka, z którego do komputera płynęły prąd i dane. Chwyciła oba przewody – jeden gruby, drugi zwyczajny, izolowany. Jakby ożyły jej w dłoniach, stawiając opór niczym para węży. Wyszarpnęła wtyczki z gniazdka.

Monitor zgasł.

I pozostał wygaszony.

W pomieszczeniu szybko zaczęło się robić cieplej.

– Dzięki Bogu – szepnęła drżącym głosem.

Okrążyła biurko Angeli, pragnąc jedynie opaść na krzesło i dać odpocząć trzęsącym się nogom, ale nagle drzwi na korytarz otworzyły się.

Krzyknęła przerażona.

Mężczyzna w czerni?

Elliot Stryker zatrzymał się na progu, zaskoczony jej krzykiem. Poczowała ulgę na jego widok.

– Tino? Co się stało? Wszystko w porządku?

Zrobiła krok w jego stronę, ale nagle uświadomiła sobie, że mógł tutaj przyjść prosto od komputera w innym gabinecie na trzecim piętrze. Czyżby to on ją dręczył?

– Tino? Mój Boże, jesteś blada jak duch!

Zbliżył się do niej.

– Stój! – zawołała. – Czekaj!

Zatrzymał się, zbity z tropu.

– Co tutaj robisz? – spytała drżącym głosem.

Zamrugął.

– Byłem w hotelu w interesach. Postanowiłem sprawdzić, czy wciąż jesteś w pracy. Chciałem się tylko przywitać.

– Manipulowałeś przy którymś z komputerów?

– Co takiego? – Był wyraźnie oszołomiony jej pytaniem.

– Co robiłeś na trzecim piętrze? – spytała ostro. – Z kim miałeś się spotkać, skoro wszyscy poszli do domu? Tylko ja zostałam.

Elliot wciąż był zaskoczony, ale też lekko zniecierpliwiony.

– Nie spotykałem się z nikim na trzecim piętrze, tylko piłem kawę z Charliem Mainwayem w restauracji na dole. Kiedy przed kilkoma minutami zakończyliśmy spotkanie, wszedłem na górę, żeby sprawdzić, czy wciąż tu jesteś. Co się z tobą dzieje?

Wbijiała w niego wzrok.

– Tino? Co się stało?

Wypatrywała na jego twarzy jakichkolwiek oznak kłamstwa, ale wyglądało na to, że jest szczerze zdumiony. A gdyby chciał ją okłamać, nie opowiedziałby historyjki o kawie z Charliem, ponieważ mogła bez trudu zweryfikować jego słowa. Wymyśliłby lepsze alibi, gdyby go potrzebował. A zatem mówił prawdę.

– Przepraszam – odezwała się. – Po prostu... coś mi się... tutaj przydarzyło... coś dziwnego...

Podszedł do niej.

– Co to było?

Zbliżył się i rozpostarł ramiona, jakby przytulenie jej i pocieszenie było czymś naturalnym, jakby robił to już wielokrotnie, a ona przyłgnęła do niego, czując się całkiem swobodnie. Już nie była sama.

W KĄCIE SWOJEGO GABINETU Tina miała dobrze wyposażony barek, na wypadek gdyby któryś z partnerów w interesach potrzebował drinka po długiej sesji roboczej. Teraz po raz pierwszy musiała sama skorzystać z jego zasobów.

Na jej prośbę Elliot nalał koniaku Rémy Martin do dwóch kieliszków i podał jej jeden. Sama nie mogła nalać trunku, ponieważ drżały jej ręce.

Usiedli na beżowej kanapie, bardziej w cieniu niż w świetle lamp. Tina musiała trzymać kieliszek obiema dłońmi, żeby się nie trząsał.

– Nie wiem, od czego zacząć. Chyba najpierw powinnam ci opowiedzieć o Dannym. Słyszałeś o nim?

– O twoim synu? – spytał.

– Tak.

– Helen Mainway mówiła, że zginął nieco ponad rok temu.

– Opowiedziała ci, jak to się stało?

– Był w jednej z grup Jaborskiego. Pisali o tym na pierwszych stronach gazet.

Bill Jaborski był instruktorem skautów i specjalistą od przetrwania na łonie natury. Od szesnastu lat każdej zimy zabierał grupy skautów do północnej Nevady, za Reno, w pasmo górskie Sierra Nevada na siedmiodniowe wyprawy survivalowe.

– Ten obóz miał budować charakter – powiedziała Tina. – Chłopcy zaciekle rywalizowali o miejsce na liście uczestników. Miało być całkowicie bezpiecznie. Bill Jaborski był jednym z najlepszych specjalistów w kraju od przeżycia w zimowych warunkach. Tak wszyscy mówili. Drugi dorosły, który pojechał na obóz, Tom Lincoln, miał być podobno równie dobry... Miał być. – Mówiła coraz ciszej i z goryczą w głosie. – Uwierzyłam im, sądziłam, że dzieciom nic nie grozi.

– Nie możesz się za to winić. Przez tyle lat zabierali dzieciaki w góry i nikomu nic się nie stało.

Upiła trochę koniaku. Palił ją w gardło, ale nie przegnął zimna, które tkwiło w jej wnętrzu.

Rok temu w wyprawie Jaborskiego wzięło udział czternastu chłopców w wieku od dwunastu do osiemnastu lat. Wszyscy byli wytrawnymi skautami i wszyscy

zginęli razem z Jaborskim i Tomem Lincolnem.

– Czy władze ustaliły, dlaczego tak się stało? – spytał Elliot.

– Nie i nigdy nie odkryją powodów. Wiedzą jedynie, jak do tego doszło. Grupa wybrała się w góry w busie z napędem na cztery koła, przystosowanym do jazdy po bocznych drogach w zimie. Pojazd miał olbrzymie opony. Łańcuchy. Nawet pług z przodu. Nie mieli zapuszczać się w naprawdę dzikie okolice, tylko na ich obrzeża. Nikt przy zdrowych zmysłach nie zabrałby dwunastolatków w najgłębsze partie Sierra Nevada, nawet jeśli byliby znakomicie przygotowani, wyposażeni i wyszkoleni, nawet jeśli byliby silni i opiekowałiby się nimi starsi koledzy.

Gdyby warunki na to pozwoliły, Jaborski zamierzał zjechać busem z głównej drogi na stary szlak wykorzystywany podczas wycinki drzew. Potem mieli wybrać się na trzydniową wędrowkę z plecakami, w raketach śnieżnych na nogach. Po zatoczeniu dużej pętli planowali wrócić pod koniec tygodnia do pojazdu.

– Mieli najlepsze ubrania i profesjonalne śpiwory, najlepsze zimowe namioty, mnóstwo węgla i innego opału, mnóstwo prowiantu i dwóch specjalistów od survivalu jako przewodników. Wszyscy mówili, że nic im nie grozi. Absolutnie nic. Więc co się, kurwa, stało?

Tina nie potrafiła dłużej usiedzieć na miejscu. Wstała i zaczęła krążyć po pomieszczeniu. Upiła kolejny łyk koniaku.

Elliot milczał. Najwyraźniej wiedział, że powinna sama opowiedzieć całą historię, by wyrzucić ją z siebie.

– Coś się jednak nie udało – ciągnęła. – Z jakiegoś powodu oddalili się na ponad sześć kilometrów od szosy i wspięli się aż do poziomu chmur. Pojechali w górę stromego, nieużywanego szlaku, zaniedbanej drogi gruntowej tak zdradzieckiej, zaśnieżonej i oblodzonej, że tylko idiota próbowałby ją pokonać inaczej niż pieszo.

Bus zjechał z drogi. W dziczy nie ma balustrad ani szerokich poboczy umiejscowionych nad stokami. Pojazd wpadł w poślizg i runął z wysokości trzydziestu metrów prosto na skały. Wybuchł bak. Bus otworzył się jak blaszana puszka i potoczył przez kolejne trzydzieści metrów między drzewa.

– Dzieci... wszystkie... zginęły – dodała.

Elliota przerażała gorycz w jej głosie, która świadczyła o tym, że rana wcale się nie zablizniła.

– Dlaczego? – rzuciła Tina. – Dlaczego ktoś taki jak Bill Jaborski zrobił coś tak głupiego?

Wciąż siedząc na kanapie, Elliot pokręcił głową i wbił wzrok w swój kieliszek.

Nie oczekiwała, że jej odpowie. To nie było pytanie skierowane do niego, jeśli już do kogoś, to do Boga.

– Dlaczego? Jaborski był najlepszy. Najlepszy z najlepszych. Tak dobry, że przez szesnaście lat zabierał dzieci w góry Sierra Nevada, na co nie odważyłoby się wielu innych specjalistów od survivalu. Był bystry, twardy, sprytny i zdawał sobie sprawę z ryzyka. Nie należał do ludzi lekkomyślnych. Dlaczego zrobił coś tak głupiego i nierozważnego jak jazda taką drogą w zimowych warunkach?

Elliot podniósł na nią wzrok. W jego serdecznych oczach dało się wyczytać głębokie współczucie.

– Pewnie nigdy nie poznasz odpowiedzi. Rozumiem, jakie to trudne nie znać przyczyny.

– Trudne – przyznała. – Bardzo trudne.

Wróciła na kanapę.

Wyjął jej z dłoni pusty kieliszek – nie pamiętała, kiedy dopiła koniak – i podszedł do barku.

– Mnie już wystarczy – powiedziała. – Nie chcę się upić.

– Bzdura. Jesteś tak zdenerwowana, że dwa małe koniaki nawet na ciebie nie podziałają.

Wrócił do niej z nową porcją trunku. Tym razem zdołała utrzymać kieliszek w jednej dłoni.

– Dziękuję, Elliot.

– Tylko nie prosz mnie o jakiegoś bardziej skomplikowanego drinka – zażartował. – Jestem najgorszym barmanem świata. Mogę nalać ci czegoś z butelki, ewentualnie dodać lodu, ale nie umiem poprawnie zmieszać nawet wódki z sokiem pomarańczowym.

– Nie dziękowałam ci za alkohol, tylko za to, że... jesteś dobrym słuchaczem.

– Większość prawników za dużo gada.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, popijając koniak.

Tina wciąż czuła się spięta, ale już nie było jej zimno w środku.

– Strata dziecka w taki sposób... to coś druzgoczącego – odezwał się Elliot. – Tylko że to nie wspomnienie syna tak cię wyprowadziło z równowagi, kiedy tutaj wszedłem.

– W pewnym sensie tak.

– Ale to nie wszystko.

Opowiedziała mu o dziwacznych rzeczach, które ostatnio jej się przytrafiły: o wiadomościach na tablicy Danny'ego, bałaganie w jego pokoju, strasznych słowach, które pojawiły się na wydruku i ekranie monitora.

Elliot przyjrzał się wydrukowanej liście, a potem wspólnie sprawdzili komputer w gabinecie Angeli. Podłączyli go i spróbowali powtórzyć wcześniejszą komendę,

lecz maszyna zachowywała się tak, jak powinna.

– Ktoś mógł go zaprogramować tak, żeby wypluwał teksty o Dannym – powiedział Elliot. – Nie rozumiem jednak, jakim cudem terminal sam się włączył.

– Tak było – zapewniła.

– Wierzę ci. Po prostu nie rozumiem.

– A powietrze... było takie zimne...

– Czy zmiana temperatury mogła być subiektywna?

Tina uniosła brwi.

– Pytasz, czy sobie tego nie wyobraziłam?

– Byłaś wystraszona...

– Ale jestem pewna, że to nie było złudzenie. Angela pierwsza poczuła zimno, kiedy przygotowywała mi wydruk. Wątpię, żebyśmy obie mogły to sobie wyobrazić.

– Racja. – Z namysłem przyjrzał się komputerowi. – Chodź.

– Dokąd?

– Z powrotem do twojego gabinetu. Zostawiłem tam drinka. Muszę nasmarować sobie mózg.

Weszła za nim do swojego wyłożonego boazerią sanktuarium.

Elliot wziął kieliszek z niskiego stolika przed kanapą i przysiadł na skraju biurka.

– Kto? Kto może ci to robić?

– Nie mam pojęcia.

– Na pewno o kimś pomyślałaś.

– Żałuję, ale nie.

– To musi być ktoś, kto przynajmniej cię nie lubi, a może nawet nienawidzi. Ktoś, kto chce, żebyś cierpiała. Obwinia cię o śmierć Danny'ego... i najwyraźniej śmierć twojego syna była dla tego kogoś osobistą stratą, więc nie może chodzić o nieznanego.

Tinę zaniepokoiła jego analiza, ponieważ była zgodna z jej tokiem rozumowania i prowadziła do tego samego ślepego zaułka, do którego ona dotarła już wcześniej. Zaczęła krążyć między biurkiem a zasłoniętymi oknami.

– Dziś po południu doszłam do wniosku, że to musi być ktoś obcy. Nie przychodzi mi do głowy nikt, kto byłby zdolny do czegoś takiego, nawet gdyby wystarczająco mocno mnie nienawidził. Nie znam też nikogo, poza Michaelem, kto obwiniałby mnie o śmierć Danny'ego.

Elliot uniosł brwi.

– Michael to twój były mąż?

- Tak.
- Obwinia cię o śmierć syna?
- Mówi, że nie powinnam była mu pozwolić jechać z Jaborskim. Ale to nie jego sprawka.
- Dla mnie wygląda na idealnego kandydata.
- Nie.
- Jesteś pewna?
- Całkowicie. To ktoś inny.
- Elliot upił trochę koniaku.
- Pewnie będziesz potrzebowała profesjonalnej pomocy, żeby go złapać.
- Masz na myśli policję?
- Sądzę, że policja na niewiele się przyda. Prawdopodobnie uznają, że to zbyt błaha sprawa, by tracić na nią czas. W końcu nikt ci nie groził.
- Za tym wszystkim kryje się groźba.
- Owszem, zgadzam się. Można się wystraszyć. Ale gliniarze są bardzo dosłowni i domniemane groźby nie robią na nich wrażenia. Poza tym, żeby pilnować twojego domu, musieliby wysłać więcej ludzi, niż są w stanie jednorazowo zaangażować, nie licząc takich spraw jak zabójstwa, porwania czy przestępstwa narkotykowe.
- Tina przestała krążyć po gabinecie.
- Więc co miałaś na myśli, kiedy powiedziałaś, że będę potrzebowała profesjonalnej pomocy, żeby złapać tego drania?
- Mówiłem o prywatnych detektywach.
- Czy to nie nazbyt dramatyczne?
- Uśmiechnął się kwaśno.
- Cóż, osoba, która cię nęka, działa wyjątkowo dramatycznie.
- Westchnęła, wypila łyk koniaku i przysiadła na skraju kanapy.
- Sama nie wiem... Może zatrudnię prywatnego detektywa, a on nie złapie nikogo poza mną.
- Nie rozumiem.
- Musiała wypić kolejny łyk alkoholu, zanim zdołała powiedzieć, co jej chodziło po głowie. Elliot miał rację, gdy twierdził, że trunek prawie na nią nie podziała. Czuła się bardziej odprężona niż dziesięć minut wcześniej, ale nie była ani odrobinę podchmielona.
- Przyszło mi do głowy, że... może to ja napisałam te słowa na tablicy. Może to ja zdemolowałam pokój Danny'ego.
- Dalej nie rozumiem.

– Mogłam to zrobić przez sen.

– To absurd, Tino.

– Czyżby? Jeszcze we wrześniu myślałam, że powoli radzę sobie ze śmiercią Danny’ego. Zaczęłam dobrze sypiać. Kiedy byłam sama, nie myślałam o nim cały czas, tak jak wcześniej. Sądziłam, że najgorsze już za mną. Ale miesiąc temu znów zaczęłam o nim śnić. W ciągu pierwszego tygodnia zdarzyło się to dwukrotnie. W drugim tygodniu już cztery razy. A od dwóch tygodni Danny śni mi się każdej nocy. Te sny są coraz straszniejsze. Zmieniły się w prawdziwe koszmary.

Elliot usiadł obok niej na kanapie.

– Opowiedz mi o nich.

– Śni mi się, że Danny żyje i jest gdzieś uwięziony, w jakimś głębokim dole, wąwozie albo studni, w każdym razie pod ziemią. Woła mnie i błaga, żebym go ocaliła, ale nie potrafię. Nigdy nie udaje mi się do niego dotrzeć. Potem ziemia zaczyna go zasypywać i budzę się z krzykiem, złana potem. I zawsze... mam silne przeczucie, że Danny tak naprawdę nie umarł. To nigdy nie trwa długo, ale zaraz po obudzeniu jestem pewna, że on żyje. Przekonałam swoją świadomość, że mój syn umarł, ale kiedy śpię, do głosu dochodzi podświadomość, która wcale nie jest przekonana, że odszedł.

– Więc uważasz, że... lunatykujesz? Przez sen zapisujesz na tablicy słowa, które przeczą śmierci Danny’ego?

– Nie wierzysz, że to możliwe?

– Nie. Chociaż... być może. Pewnie tak – odezwał się po chwili Elliot. – Nie jestem psychologiem. Ale tego nie kupuję. Przyznaję, że jeszcze zbyt dobrze cię nie znam, ale wydaje mi się, że nie zareagowałabyś w taki sposób. Nie boisz się wyzwania. Gdybyś naprawdę nie potrafiła pogodzić się ze śmiercią syna, nie spychałabyś tego problemu do podświadomości. Nauczyłabyś się jakoś sobie z nim radzić.

Tina się uśmiechnęła.

– Masz o mnie bardzo wysokie mniemanie.

– Owszem. Poza tym, gdybyś to ty pisała po tablicy i wywróciła do góry nogami jego pokój, musiałabyś też przyjść tutaj nocą i zaprogramować hotelowy komputer, żeby wypluwał te wiadomości. Naprawdę sądzisz, że tak bardzo straciłaś kontakt z rzeczywistością, że zrobiłaś to i niczego nie pamiętasz? Uważasz, że masz rozdwojenie jaźni i jedna Tina nie wie, co robi druga?

Opadła bezwładnie na kanapę.

– Nie.

– To dobrze.

– Więc co nam pozostaje? – spytała.

– Nie rozpaczaj. Robimy postępy.

– Naprawdę?

– Jasne. Eliminujemy różne możliwości. Właśnie skreślił cię z listy podejrzanych. A także Michaela. Jestem też pewien, że to nie może być ktoś nieznajomy, co wyklucza większość ludzi na świecie.

– A ja jestem równie przekonana, że to nie jest żaden mój przyjaciel ani krewny. I wiesz, co mi w związku z tym pozostaje?

– Co?

Nachyliła się, postawiła kieliszek na stole i przez chwilę siedziała z twarzą skrytą w dłoniach.

– Tino?

Uniosła głowę.

– Zastanawiam się, jak najlepiej wyrazić to, co myślę. To szalony pomysł. Nedorzeczny. Pewnie nawet chory.

– Nie uznaj cię za wariatkę – zapewnił Elliot. – O co chodzi? Powiedz mi.

Zawahała się, próbując najpierw usłyszeć w myślach, jak to zabrzmiałoby. Zastanawiała się, czy wierzy w to wystarczająco mocno, by mu powiedzieć. Szansa, że to, co zrodziło się w jej głowie, jest prawdą, była minimalna.

W końcu zaryzykowała.

– Myślę, że... może Danny rzeczywiście żyje.

Elliot przechylił głowę na bok i przyjrzał się Tinie badawczo czarnymi oczami.

– Żyje?

– Nie widziałam jego ciała.

– Nie widziałaś? Dlaczego?

– Koroner i kierownik zakładu pogrzebowego powiedzieli, że jest w strasznym stanie, bardzo okaleczone. Uznali, że ani ja, ani Michael nie powinniśmy go oglądać. Żadne z nas nie miało na to ochoty, nawet gdyby zwłoki były w idealnym stanie, więc dostosowaliśmy się do tych zaleceń. Pogrzeb odbył się przy zamkniętej trumnie.

– Jak władze zidentyfikowały ciało?

– Poprosili nas o zdjęcia Danny'ego. Ale chyba przede wszystkim skorzystali z danych dentystycznych.

– Takie dane są prawie tak godne zaufania jak odciski palców.

– Prawie. Ale może mój syn nie zginął w tym wypadku. Może przeżył. Może ktoś wie, gdzie on jest. Może ten ktoś próbuje mi powiedzieć, że Danny żyje. Może

te dziwne wydarzenia nie są groźbą. Może ktoś po prostu wysłał mi wskazówki, żebym otworzyła oczy na prawdę.

– Za dużo tych „może” – zauważył Elliot.

– Niekoniecznie.

Położył dłoń na jej ramieniu i lekko je uściśnął.

– Tino, sama wiesz, że ta teoria nie ma sensu. Twój syn nie żyje.

– Widzisz? Jednak sądzisz, że zwariowałam.

– Nie. Sądzę, że jesteś roztrzęsiona, i to zrozumiałe.

– Nawet nie weźmiesz pod uwagę możliwości, że on żyje?

– Jakim cudem?

– Nie wiem.

– Jak mógłby przeżyć wypadek, który opisałaś? – spytał Elliot.

– Nie wiem.

– No i gdzie miałyby się znajdować przez cały ten czas, jeśli nie... w grobie?

– Tego też nie wiem.

– Gdyby żył, ktoś by ci o tym powiedział – cierpliwie przekonywał ją Elliot. – Nie byłaby to tajemnica, prawda?

– Być może.

Zdając sobie sprawę, że jej odpowiedź go rozczarowała, spuściła wzrok na swoje dłonie, które splótła tak mocno, że pobierały knykcie.

Elliot wziął ją za ręce i delikatnie odwrócił ją twarzą do siebie.

Jego piękne, pełne życia oczy były wypełnione troską.

– Tino, wiesz, że co do tego nie ma najmniejszych wątpliwości. Zdajesz sobie z tego sprawę. Gdyby Danny żył, a ktoś próbował cię o tym powiadomić, nie uciekałby się do tych wszystkich dramatycznych wskazówek. Mam rację?

– Prawdopodobnie tak.

– Danny odszedł.

Milczała.

– Jeśli w mówisz sobie, że żyje, czeka cię kolejny cios – dodał.

Popatrzyła mu prosto w oczy. W końcu westchnęła i pokiwała głową.

– Masz rację.

– Danny odszedł.

– Tak – powiedziała cicho.

– Naprawdę jesteś o tym przekonana?

– Tak.

– To dobrze.

Tina wstała z kanapy, podeszła do okna i rozchyliła zasłony. Nagle zapragnęła zobaczyć Strip. Po tej rozmowie o śmierci musiała popatrzeć na ruch, działanie, życie, a chociaż w jaskrawym świetle słońca bulwar czasami wyglądał niechlujnie, o każdej porze dnia i nocy tętnił życiem.

Nad miastem zapadł zimowy mrok. Miliony świateł na ogromnych szyldach migotały falami olśniewających kolorów. Setki samochodów niespiesznie przemierzały zatłoczoną ulicę, taksówki zatrzymywały się i ruszały, niestrudzenie szukając choćby najmniejszej luki w sznurze pojazdów. Tłumy płynęły chodnikami, przemieszczając się od kasyna do kasyna, od baru do baru, od przedstawienia do przedstawienia.

Tina odwróciła się w stronę Elliota.

– Wiesz, co chcę zrobić?

– Co?

– Otworzyć grób.

– Zlecić ekshumację ciała Danny’ego?

– Tak. Nigdy go nie widziałam. Właśnie dlatego tak trudno mi zaakceptować, że odszedł. Dlatego mam koszmary. Gdybym zobaczyła ciało, wiedziałabym na pewno. Nie mogłabym fantazjować, że on wciąż żyje.

– Ale proces rozkładu...

– Nie dbam o to – przerwała mu.

Elliot zmarszczył czoło, nieprzekonany, czy ekshumacja to mądry pomysł.

– Ciało znajduje się w hermetycznie zamkniętej trumnie, ale na pewno jest w o wiele gorszym stanie niż przed rokiem, kiedy radzono ci go nie oglądać.

– Muszę go zobaczyć.

– Czeka cię straszliwy...

Znowu weszła mu w słowo.

– ...szok. Właśnie o to chodzi. O potężną terapię wstrząsową, która wreszcie pozbawi mnie złudzeń. Jeśli zobaczę... szczątki Danny’ego, nie będę mogła dłużej wątpić. Koszmary ustaną.

– Być może tak. A być może staną się jeszcze gorsze.

Pokręciła głową.

– Nic nie może być gorsze od snów, które teraz mnie nawiedzają.

– Oczywiście ekshumacja nie odpowie na najważniejsze pytanie – rzekł Elliot. – Nie pomoże ci odkryć, kto cię nęka.

– Może tak – odparła Tina. – Kimkolwiek jest ten drań i cokolwiek nim kieruje, jest wyraźnie niezrównoważony. To jakiś psychol. Kto wie, co może go skłonić do

wyjścia z cienia? Jeśli się dowie o planowanej ekshumacji, może zareaguje zdecydowanie i ujawni się. Trudno to wykluczyć.

– Może masz rację.

– Tak czy inaczej, nawet jeśli otwarcie grobu nie pomoże mi odkryć, kto stoi za tymi chorymi żartami... czy cokolwiek to jest... przynajmniej zapewni mi odrobinę spokoju. Mój stan psychiczny się poprawi i będę mogła skuteczniej zająć się tym draniem. Widzę same zalety mojej decyzji. – Odeszła od okna i usiadła na kanapie obok Elliota. – Będę potrzebowała prawnika, prawda?

– Żeby doprowadzić do ekshumacji? Tak.

– Będziesz mnie reprezentował?

Nie wahał się ani chwili.

– Jasne.

– Czy to będzie trudne?

– Nie ma żadnej pilnej prawnej potrzeby, by dokonać ekshumacji. Przyczyna śmierci nie ulega wątpliwości, nie toczy się żadne postępowanie sądowe. Gdyby było inaczej, załatwilibyśmy sprawę bardzo szybko. Ale mimo wszystko nie powinno być kłopotów. Jeśli przekonująco opowiem o wątpliwościach cierpiącej matki, sąd powinien wykazać się współczuciem.

– Robiłeś już kiedyś coś takiego?

– Owszem. Pięć lat temu. Ośmioletnia dziewczynka niespodziewanie zmarła z powodu wrodzonej choroby nerek. Obie nerki odmówiły posłuszeństwa praktycznie z dnia na dzień. Jednego dnia była normalnym, wesołym dzieckiem, następnego jakby zachorowała na lekką grypę, a trzeciego zmarła. Jej matka była zdruzgotana i nie chciała oglądać ciała, chociaż córka nie miała żadnych obrażeń, w odróżnieniu od Danny'ego. Kobieta nie miała nawet sił uczestniczyć w pogrzebie. Dwa tygodnie po tym, jak pochowano małą, matka zaczęła się czuć winna, że jej godnie nie pożegnała.

Tina przypomniała sobie własne przejścia.

– Rozumiem. Wiem, jak to jest.

– Poczucie winy w końcu rozwinęło się w poważne problemy emocjonalne. Matka nie widziała ciała w zakładzie pogrzebowym, więc nie potrafiła uwierzyć, że dziewczynka naprawdę nie żyje. Niezdolność do przyjęcia prawdy była u niej znacznie dalej posunięta niż u ciebie. Niemal bez przerwy miała napady histerii, była coraz bardziej załamana. Załatwiłem otwarcie grobu. W trakcie przygotowywania wniosku o ekshumację odkryłem, że reakcja mojej klientki była typowa. Wygląda na to, że kiedy umiera dziecko, jedną z najgorszych rzeczy, jakie

może zrobić rodzic, jest odmowa obejrzenia ciała w trumnie. Trzeba spędzić trochę czasu ze zmarłym, żeby pogodzić się z myślą, że to ciało już nie ożyje.

– Czy ekshumacja pomogła twojej klientce?

– O tak, bardzo.

– No widzisz.

– Ale nie zapominaj, że ciało jej córki nie było okaleczone – zwrócił jej uwagę Elliot.

Tina ponuro pokiwała głową.

– Poza tym otworzyliśmy grób zaledwie dwa miesiące po pogrzebie, a nie rok później – dodał. – Ciało wciąż było w niezłym stanie. Ale w przypadku Danny’ego... tak nie będzie.

– Jestem tego świadoma. Naprawdę nie mam na to ochoty, ale jestem przekonana, że muszę to zrobić.

– A więc dobrze. Zajmę się tym.

– Jak dużo czasu potrzebujesz? – spytała.

– Czy twój mąż się sprzeciwi?

Przypomniała sobie nienawiść na twarzy Michaela, gdy rozstawali się kilka godzin wcześniej.

– Zapewne tak.

Elliot odniósł puste kieliszki do barku w kącie pomieszczenia i zapalił światło nad zlewozmywakiem.

– Skoro twój mąż może sprawiać problemy, będziemy działać szybko i dyskretnie. Jeśli rozegramy to sprytnie, o niczym się nie dowie, dopóki nie będzie po ekshumacji. Jutro jest Nowy Rok, więc do piątku niczego nie załatwimy.

– W piątek pewnie też nie, skoro mamy czterodniowy weekend.

Elliot znalazł pod zlewem butelkę płynu do mycia naczyń i szmatkę.

– W normalnych okolicznościach zalecałbym zaczekać do poniedziałku. Ale tak się składa, że znam bardzo rozsądnego sędziego. Harolda Kennebecka. Razem służyliśmy w wywiadzie wojskowym. Był moim przełożonym. Jeśli...

– W wywiadzie wojskowym? Byłeś szpiegiem?

– To nie było nic tak efektownego. Żadnych prochowców. Żadnego skradania się ciemnymi uliczkami.

– A karate i kapsułki z cyjankiem? – spytała.

– Owszem, sporo nas szkolili w sztukach walki. Wciąż ćwiczę dwa razy w tygodniu, bo to świetny sposób na zachowanie formy. Ale tak naprawdę to nie wyglądało jak w filmach. Nie miałem samochodu z karabinami maszynowymi

w reflektorach jak James Bond. Przeważnie chodziło o nudne gromadzenie informacji.

– A jednak mam poczucie, że było to znacznie bardziej... interesujące, niż twierdzisz.

– Nie. Analiza dokumentów, żmudna interpretacja satelitarnych zdjęć wywiadowczych, tego typu rzeczy. Nudne jak diabli. Tak czy inaczej, sędzia Kennebeck i ja znamy się od dawna. Szanujemy się nawzajem i jestem pewien, że zrobi coś dla mnie, jeśli będzie mógł. Zobaczę się z nim jutro po południu podczas przyjęcia noworocznego. Omówię z nim tę sytuację. Może zdecyduje się na chwilę wślizgnąć do sądu w piątek, zapoznać z moim wnioskiem o ekshumację i go rozpatrzyć. Wystarczy mu kilka minut. Wtedy będziemy mogli otworzyć grób w sobotę.

Tina podeszła do barku i usiadła na jednym z trzech stołków, naprzeciwko Elliota.

– Im szybciej, tym lepiej. Skoro już się na to zdecydowałam, chcę czym prędzej mieć to za sobą.

– To zrozumiałe. Jeszcze jedno przemawia za zrobieniem tego w ten weekend. Jeśli zadziałamy szybko, twój były zapewne o niczym się nie dowie. A nawet jeśli czegoś się domyśli, będzie musiał znaleźć innego sędziego, który zgodzi się zawiesić albo unieważnić nakaz ekshumacji.

– Myślisz, że mu się to uda?

– Nie, właśnie o to mi chodzi. W świąteczne dni pracuje niewielu sędziów i zazwyczaj są zajęci postępowaniami w sprawie pijanych kierowców lub napaści pod wpływem alkoholu. Twój były raczej nie znajdzie żadnego sędziego przed poniedziałkiem, a wtedy będzie już za późno.

– Spryciarz.

– To moje drugie imię. – Skończył myć pierwszy kieliszek, opłukał go ciepłą wodą i odstawił na suszarkę.

– Elliot Spryciarz Stryker – powiedziała Tina.

Uśmiechnął się.

– Do usług.

– Cieszę się, że jesteś moim prawnikiem.

– Najpierw sprawdźmy, czy uda mi się to załatwić.

– Uda ci się. Nie boisz się wyzwania.

– Masz o mnie bardzo wysokie mniemanie – powtórzył jej wcześniejsze słowa.

Uśmiechnęła się.

– Tak, mam.

Zapomniała, że jeszcze przed chwilą rozmawiali o śmierci, strachu, szaleństwie i bólu. Wcześniej zamierzali spędzić przyjemny sylwestrowy wieczór i właśnie zaczęli wprowadzać się w odpowiedni nastrój.

Elliot opłukał drugi kieliszek i postawił go na suszarce.

– Dobrze sobie z tym radzisz – zauważyła Tina.

– Ale nie myję okien.

– Podoba mi się, kiedy mężczyzna zajmuje się domem.

– W takim razie powinnaś mnie zobaczyć w kuchni.

– Gotujesz?

– Jak marzenie.

– Co jest twoją specjalnością?

– Wszystko, za co się zabiorę.

– Na pewno nie są to skromne potrawy.

– Każdy wybitny kucharz musi być egomaniakiem w kwestii swojej sztuki kulinarnej. Musi być całkowicie pewien własnego talentu, jeżeli ma skutecznie działać w kuchni.

– A jeśli coś dla mnie ugotujesz, a mnie nie będzie smakowało?

– Wtedy sam zjem obie porcje.

– A co ze mną?

– Obejdiesz się smakiem.

Po tylu miesiącach smutku cudownie było spędzać wieczór z atrakcyjnym i zabawnym mężczyzną.

Elliot odstawił płyn do mycia naczyń i odłożył wilgotną szmatkę. Wytarł dłonie ręcznikiem.

– Może damy sobie spokój z wyjściem do restauracji? Sam coś dla ciebie ugotuję.

– Tak na poczekaniu?

– Nie potrzebuję dużo czasu, żeby zaplanować posiłek. Jestem geniuszem. Poza tym możesz mi pomóc, zajmując się najbardziej uciążliwymi czynnościami, na przykład skrobaniem warzyw i siekaniem cebuli.

– Powinnam pójść do domu i trochę się odświeżyć.

– Dla mnie jesteś wystarczająco świeża.

– Mój samochód...

– Możesz pojechać za mną do mojego domu.

Zgasili światło i wyszli z gabinetu, zamykając za sobą drzwi.

Kiedy przemierzali recepcję w drodze do holu, Tina nerwowo zerknęła na komputer Angeli. Bała się, że ten znów sam się uruchomi.

Ale kiedy wychodzili razem z biura, gasząc po drodze wszystkie światła, sprzęt wciąż był wyłączony.

ELLIOT STRYKER MIESZKAŁ W przyjemnym dla oka nowoczesnym, dużym domu obok pola golfowego w Las Vegas Country Club. Pokoje były przytulne i zachęcające, utrzymane w barwach ziemi, wyposażone w meble od J. Roberta Scotta, kilka antyków i kolorowe dywany od Edwarda Fieldsa. Elliot posiadał bogatą kolekcję obrazów takich artystów jak Eyvind Earle, Jason Williamson, Larry W. Dyke, Charlotte Armstrong czy Carl J. Smith, którzy mieszkali na zachodzie Stanów Zjednoczonych i zazwyczaj malowali sceny inspirowane dawną i współczesną historią Zachodu.

Oprowadzał Tinę po domu, wyraźnie ciekaw jej reakcji, a ona nie dała mu długo czekać.

– Piękny – powiedziała. – Oszalamiający. Kto był dekoratorem wnętrz?

– Patrzysz na niego.

– Naprawdę?

– Gdy byłem biedny, marzyłem o dniu, gdy będę miał wspaniały dom pełen pięknych przedmiotów, zaaranżowanych przez najlepszego dekoratora wnętrz. Ale kiedy już się wzbogaciłem, nie chciałem, żeby ktoś obcy urządzał mi mieszkanie. Postanowiłem nie pozbawiać się tej przyjemności. Razem z Nancy, moją zmarłą żoną, sami urządziliśmy nasz pierwszy dom. Ten projekt stał się jej powołaniem, a ja poświęcałem mu niemal tyle czasu co karierze prawniczej. Wspólnie odwiedzaliśmy sklepy z meblami, od Las Vegas, przez Los Angeles, po San Francisco, a także antykwariaty, galerie, pchle targi i najdroższe sklepy w kraju. Świetnie się bawiliśmy. A kiedy Nancy zmarła... uznałem, że nie będę w stanie poradzić sobie z jej stratą, jeśli zostanę w miejscu, które na każdym kroku mi ją przypomina. Przez pięć albo sześć miesięcy byłem emocjonalnym wrakiem, ponieważ każdy przedmiot w domu przywoływał bolesne wspomnienia. W końcu zabrałem kilka najcenniejszych pamiątek, sprzedałem dom, kupiłem ten i zacząłem go urządzać od zera.

– Nie wiedziałam, że straciłeś żonę – odrzekła Tina. – Sądziłam, że się rozwiedliście.

– Zmarła trzy lata temu.

– Co się stało?
– Rak.
– Tak mi przykro, Elliot.
– Przynajmniej krótko trwało. Rak trzustki, wyjątkowo zjadliwy. Odeszła dwa miesiące po diagnozie.
– Długo byliście małżeństwem?
– Dwanaście lat.
Położyła dłoń na jego ramieniu.
– Dwanaście lat może pozostawić potężną dziurę w sercu.
Zdał sobie sprawę, że mają ze sobą jeszcze więcej wspólnego, niż podejrzewał.
– Racja. Ty miałaś Danny’ego przez prawie dwanaście lat.
– U mnie upłynął dopiero rok. Ty jesteś sam od trzech lat. Może mi powiesz...
– Słucham?
– Czy to się kiedyś kończy?
– Cierpienie?
– Tak.
– Jak dotąd nie. Może tak się stanie po czterech latach. Albo po pięciu. Albo po dziesięciu. Ból nie jest tak dotkliwy jak kiedyś i nie trwa bez przerwy. Ale wciąż są chwile, kiedy...

Pokazał jej resztę domu, ponieważ chciała obejrzeć całość. Nieprzypadkowo zajmowała się tworzeniem stylowych spektakli scenicznych: miała dobry gust i bystre oko, potrafiła natychmiast odróżnić rzeczy ładne od prawdziwie pięknych, zręczne rzemiosło od sztuki. Elliot z przyjemnością rozmawiał z nią o antykach i obrazach; godzina minęła im w mgnieniu oka.

Zwiedzanie zakończyło się w olbrzymiej kuchni z miedzianym sufitem, podłogą wyłożoną ceramicznymi płytkami i wyposażeniem, jakiego nie powstydzilaby się restauracja. Tina obejrzała chłodnię, grill o powierzchni metra kwadratowego, blachę do pieczenia, dwie kuchenki gazowe, kuchenkę mikrofalową oraz całą gamę sprzętu ułatwiającego pracę.

– Wydałeś na to fortunę. Domyślam się, że zawodowo nie zajmujesz się tylko sprawami rozwodowymi.

Elliot wyszczerzył zęby.

– Jestem jednym z założycieli i wspólników kancelarii Stryker, West, Dwyer, Coffey i Nichols. Jesteśmy jedną z największych firm w mieście. To nie tylko moja zasługa. Mieliśmy sporo szczęścia. Znaleźliśmy się we właściwym miejscu i we właściwym czasie. Owen West i ja otworzyliśmy kancelarię w tanim pomieszczeniu użytkowym dwanaście lat temu, w momencie gdy to miasto było

u progu największego rozkwitu w historii. Pracowaliśmy dla ludzi, którym nikt inny nie chciał pomóc, przedsiębiorców, którzy mieli mnóstwo dobrych pomysłów, ale brakowało im gotówki na założenie firmy. Niektórzy z nich wykazali się niezwykłym nosem do interesów, a błyskawiczny rozwój kasyn i branży nieruchomości sprawił, że poszybowaliśmy na sam szczyt, trzymając się nogawek naszych klientów.

– Ciekawe – przyznała Tina.

– Naprawdę?

– Tak jak i ty.

– Poważnie?

– Z taką skromnością opowiadasz o zbudowaniu niesamowitej kancelarii, ale w kwestii gotowania jesteś egomaniakiem.

Roześmiał się.

– Ponieważ jestem lepszym kucharzem niż prawnikiem. Może zrobisz nam drinki, a ja zrzucę ten garnitur. Wrócę za pięć minut i pokażę ci, jak pracuje kulinarny geniusz.

– Jeśli coś pójdzie nie tak, zawsze możemy wskoczyć do auta i pojechać do McDonalda na hamburgera.

– Profanka.

– Ciężko przebić ich hamburgery.

– Postaram się, żebyś wypluła te słowa.

– Tak, a jak wypluję, to co ugotujesz?

– Zjesz wszystko do ostatniego okruszka, obliziesz palce i będziesz błagała o dokładkę.

Jej uśmiech był tak uroczy, że Elliot mógłby tak stać przez cały wieczór i wpatrywać się w kuszący wykrój jej ust.

* * *

ZADZIWIĄŁO GO TO, JAK Tina na niego działa. Nie pamiętał, kiedy ostatnio był tak niezdarny w kuchni. Upuszczał łyżki. Przewracał puszki i butelki z przyprawami. Nie dopilnował garnka stojącego na ogniu i zawartość wykipiała. Pomylił się przy mieszaniu sosu do sałatki i musiał zacząć od nowa. Oszalała go, a on był tym zachwycony.

– Elliot, na pewno nie uderzył ci do głowy koniak, który wypiełeś w moim gabinecie?

– Nic z tych rzeczy.

– A może drink, który teraz sączysz?
– Nie. Taki mam styl gotowania.
– Rozlewanie wszystkiego to twój styl?
– Dzięki temu widać, że ktoś tej kuchni używa.
– Na pewno nie chcesz pojechać do McDonalda?
– Czy ich kuchnia wygląda tak jak moja?
– Mają nie tylko dobre hamburgery...
– Wyglądają na używane...
– ...ale również fantastyczne frytki.
– No dobrze, czasem coś rozlewam – przyznał. – Genialny kucharz nie musi być ostrożny.

– A czy musi mieć dobrą pamięć?
– Co?
– Ta gorczyca, którą chcesz wsypać do sosu sałatkowego.
– Co z nią?
– Już jej dodałeś minutę temu.
– Naprawdę? Dzięki. Nie chciałbym mieszać tego cholerstwa trzeci raz.
Gardłowy śmiech Tiny trochę przypominał mu śmiech Nancy.
Chociaż pod wieloma względami się od niej różniła, czuł się przy niej równie swobodnie – była bystra, zabawna i czuła.
Znał ją jeszcze za krótko, by stwierdzić to z całą pewnością, ale zaczynał wierzyć, że los wykazał się nietypową dla siebie szczerością i dał mu drugą szansę na znalezienie szczęścia.

* * *

KIEDY SKOŃCZYLI DESER, ELLIOT nalał im po drugiej filiżance kawy.

– Wciąż chcesz jechać na burgera do McDonalda? – spytał.
Sałatka z pieczarek, fettuccine Alfredo i zabajone były doskonałe.
– Naprawdę umiesz gotować.
– Dlaczego miałbym kłamać?
– Chyba rzeczywiście będę musiała wypluć swoje słowa.
– Już to zrobiłaś.
– Nawet nie zauważyłam.

Kiedy żartowali w kuchni, Tina zaczęła myśleć, że mogą pójść do łóżka. Po kolacji była już tego pewna. Elliot nie naciskał. Ona zresztą też nie. Oboje dawali się prowadzić naturalnym siłom. Jakby płynęli z prądem. Jakby poddawali się

przybierającej na sile burzy z piorunami. Zdawali sobie sprawę, że się nawzajem potrzebują, fizycznie i emocjonalnie, a to, co się między nimi stanie, będzie dobre.

Wszystko toczyło się szybko, ale właściwie; było nieuniknione.

Kiedy wieczór się zaczynał, podskórne seksualne napięcie wyprowadzało Tinę z równowagi. Przez ostatnie czternaście lat, od dziewiętnastych urodzin, nie spała z nikim poza Michaeliem. Od niemal dwóch lat w ogóle się nie kochała. Nagle przyszło jej do głowy, że robiła coś szalonego i głupiego, przez dwa lata żyjąc jak zakonnica. Oczywiście przez pierwszy rok wciąż była żoną Michaela i czuła się zobowiązana do wierności, mimo że separacja, a potem rozwód były już w toku, a on nie czuł się skrępowany podobnymi moralnymi ograniczeniami. Później, kiedy pracowała nad rewią i musiała sobie poradzić ze śmiercią Danny'ego, nie była w nastroju na miłość. Teraz czuła się jak niedoświadczony podlotek. Zastanawiała się, czy będzie wiedziała, co robić. Obawiała się, że w łóżku okaże się nieudolna, niezdarna, śmieszna i głupia. Powtarzała sobie, że seks jest jak jazda na rowerze – nie sposób się go oduczyć – jednak to frywolne porównanie nie dodawało jej pewności siebie.

Ale wspólnie z Elliotem właśnie odprawili standardowe rytuały uwodzenia i przeszli pośrednie etapy budowania bliskości. I choć zrobili to w ekspresowym tempie, czuła, że stąpa po znajomym terenie. To niesamowite, że czuła się tak swobodnie. Może seks rzeczywiście jest jak jazda na rowerze.

Po kolacji przenieśli się do salonu, gdzie Elliot napalił w czarnym granitowym kominku. Chociaż za dnia na pustyni często bywało równie ciepło jak wiosną w innych częściach kraju, noce zawsze były chłodne, a nawet przejmująco zimne. Mroźny wiatr jęczał za oknami i uparcie wył pod krokwiami, więc ogień ją ucieszył.

Zrzuciła buty.

Usiedli obok siebie na kanapie przed kominkiem i patrzyli na płomienie i strzelające pomarańczowe iskry. Słuchali muzyki i rozmawiali, rozmawiali, rozmawiali. Tina miała wrażenie, że spędzili na rozmowie cały wieczór; mówili niecierpliwie, jakby oboje mieli sobie do przekazania jakieś wstrząsająco ważne informacje, które nie mogą dłużej czekać. Im dłużej rozmawiali, tym więcej odkrywali rzeczy, które ich łączą. Spędzili przed kominkiem godzinę, potem kolejną i Tina odkryła, że lubi Elliota Strykera coraz bardziej, z każdą kolejną rzeczą, której się o nim dowiadywała.

Nie była pewna, kto zainicjował pierwszy pocałunek. Być może to on się do niej nachylił, a może ona skłoniła się ku niemu. W każdym razie, zanim zorientowała się, co się dzieje, ich usta na chwilę się złączyły. Potem jeszcze raz. I po raz trzeci.

A następnie Elliot zaczął delikatnie całować jej czoło, oczy, policzki, nos, kąciki ust, podbródek. Całował jej uszy, ponownie oczy, obsypał pocałunkami jej szyję, a kiedy wreszcie wrócił do ust, pocałował ją głębiej niż poprzednio, a ona się temu poddała. Wodził dłońmi po jej ciele, badając jego jędrność; ona także go dotykała – delikatnie ścisnęła jego ramiona, ręce i twarde mięśnie pleców. Nigdy nie czuła się tak wspaniale jak w tej chwili.

Przeszli z salonu do sypialni, czując się tak, jakby unosili się w powietrzu. Elliot zapalił lampkę na szafce nocnej i odgarnął przykrycie łóżka.

Przez tę krótką chwilę, gdy od niej odszedł, bała się, że czar prysł. Ale kiedy wrócił, pocałowała go namiętnie i odkryła, że nic się nie zmieniło, więc jeszcze mocniej do niego przywarła.

Miała wrażenie, że już kiedyś tutaj byli i wielokrotnie tonęli w swoich objęciach.

– Prawie się nie znamy – powiedziała.

– Czujesz, że tak jest?

– Nie.

– Ja też nie.

– Tak dobrze cię znam.

– Jakby od zawsze.

– Chociaż to dopiero dwa dni.

– Za szybko? – spytał.

– A jak sądzisz?

– Dla mnie nie.

– Absolutnie nie – zgodziła się.

– Na pewno?

– Tak.

– Jesteś cudowna.

– Kochaj się ze mną.

Nie był bardzo potężnym mężczyzną, ale podniósł ją, jakby była dzieckiem.

Przylgnęła do niego. Dostrzegła w jego ciemnych oczach tęsknotę i pragnienie, silną żądzę, tylko po części seksualną, i wiedziała, że on też widzi w niej takie samo pragnienie miłości i akceptacji.

Zaniósł ją na łóżko i położył. Potem ją rozebrał, bez pośpiechu, ale z wyczekiwaniem, które rozpromieniało jego twarz.

Szybko zrzucił z siebie ubranie, dołączył do niej w łóżku i wziął ją w ramiona.

Badał jej ciało, powoli i uważnie, najpierw wzrokiem, potem czułymi dłońmi, a następnie ustami i językiem.

Tina uświadomiła sobie, że niesłusznie uznała celibat za nieodłączną część żałoby. Było wręcz odwrotnie. Zdrowy seks z mężczyzną, który się o nią troszczył, pomógłby jej szybciej wrócić do normalności, ponieważ seks jest przeciwieństwem śmierci, radosną celebracją życia, zaprzeczeniem grobu.

Bursztynowe światło oblewało jego mięśnie.

Nachylił się i pocałowali się.

Wsunęła dłoń między ich ciała, ścisnęła go i zaczęła masować.

Czuła się rozwiązła, bezwstydna, nienasycona.

Kiedy w nią wszedł, wodziła dłońmi po jego ciele, wzdłuż szczupłych boków.

– Jesteś taka słodka – powiedział.

Zapoczątkował odwieczny miłosny rytym. Na długi czas zapomnieli o istnieniu śmierci, badając smakowite, jedwabiste powierzchnie miłości, i w tych świetlistych godzinach wydawało im się, że będą żyli wiecznie.

CZWARTEK, 1 STYCZNIA

TINA SPĘDZIŁA NOC U Elliota, a on uświadomił sobie, że właśnie sobie przypomniał, jak przyjemnie jest dzielić łóżko z kimś, na kim mu zależy. W ciągu ostatnich dwóch lat sypiał z kobietami, a kilka z nich zostawało na noc, ale żadna z jego kochanek nie sprawiała mu przyjemności samą swoją obecnością, tak jak Tina. Z nią seks był cudownym dodatkiem, prezentem, ale nie głównym powodem, dla którego chciał ją mieć obok siebie. Była doskonałą kochanką – gładką jak jedwab i pozbawioną zahamowań w poszukiwaniu własnej rozkoszy – ale zarazem delikatną i serdeczną. Niewyraźny zarys jej ciała pod kołdrą widoczny w ciemności był jak amulet chroniący przed samotnością.

W końcu zasnął, ale o czwartej nad ranem obudził go jej rozpaczliwy krzyk.

Siedziała wyprostowana, zaciskając dłonie na pościeli, wyrwana z koszmaru. Drżała i szeptem opowiadała o ubranym na czarno mężczyźnie, potwornej postaci z jej snu.

Elliot zapalił lampkę przy łóżku, żeby udowodnić jej, że są w pokoju sami.

Opowiadała mu o swoich snach, ale do tej pory nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo są przerażające. Uznał, że ekshumacja ciała Danny'ego dobrze jej zrobi, mimo że przeżyje szok, gdy otworzy się wieko trumny. Jeśli ujrzenie szczątków położy kres tym mrożącym krew w żyłach koszmarom, warto zdobyć się na takie ponure doświadczenie.

Zgasił lampkę i przekonał Tinę, żeby znów się położyła. Obejmował ją, dopóki nie przestała dygotać.

Ku jego zaskoczeniu, jej strach szybko zmienił się w pożądanie. Swobodnie odnaleźli rytm, który wcześniej dał im najwięcej przyjemności. Potem ponownie zapadli w sen.

* * *

PODCZAS ŚNIADANIA ZAPROPONOWAŁ, BY poszła z nim na popołudniowe przyjęcie, na którym miał dopaść sędziego Kennebecka i spytać go o ekshumację. Ale Tina chciała wrócić do domu i posprzątać pokój Danny'ego. Czuła, że jest już na to

gotowa, i tym razem zamierzała uporać się z tym zadaniem, zanim znów straci zimną krew.

– Zobaczymy się wieczorem, prawda? – spytał.

– Tak.

– Znów coś dla ciebie ugotuję.

Uśmiechnęła się lubieżnie.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Wstała z krzesła, nachyliła się nad stołem i pocałowała Elliota.

Jej zapach, żywy błękit oczu, dotyk delikatnej skóry, gdy dotknęła dłonią jego twarzy – to wszystko wzbudziło w nim fale czułości i tęsknoty.

Odprowadził ją do samochodu na podjeździe, a gdy już siedziała za kierownicą, nachylił się i ku jej zadowoleniu prawie przez kwadrans opowiadał jej o wszystkich daniach planowanej kolacji.

Kiedy wreszcie odjechała, patrzył na jej samochód, dopóki ten nie zniknął za rogiem, a potem od razu zrozumiał, dlaczego nie chciał się z nią rozstawać. Próbował opóźnić jej odjazd, ponieważ bał się, że już nigdy jej nie zobaczy.

Nie miał żadnego racjonalnego powodu, by snuć takie ponure myśli. Z pewnością nieznamy, który nękał Tinę, mógł mieć złe zamiary, lecz ona uważała, że nic jej nie grozi, a on był skłonny się z nią zgodzić. Podły prześladowca chciał jej sprawić psychiczne cierpienie, ale nie pragnął jej śmierci, ponieważ to popsułoby mu zabawę.

Lęk, który ogarnął Elliota po jej odjeździe, wydawał się wypływać z przesądów. Elliot był przekonany, że jej pojawienie się w jego życiu przyniosło mu zbyt dużo radości, za szybko, za wcześnie, za łatwo. Miał paskudne przeczucie, że los przygotowuje go do kolejnego upadku. Bał się, że Tina Evans zostanie mu odebrana, tak samo jak Nancy.

Bezskutecznie próbując odpędzić te posępne myśli, wrócił do domu.

Spędził półtorej godziny w bibliotece; kartkując książki prawnicze, wyszukiwał precedensów dotyczących „ekshumacji zwłok pomimo braku naglącej prawnej potrzeby, wyłącznie z przyczyn humanitarnych, ze względu na interes krewnych zmarłego”. Podejrzewał, że Harold Kennebeck nie będzie robił trudności, i nie sądził, by sędzia zażądał listy precedensów w tak prostej i błahej sprawie jak otwarcie grobu Danny’ego, chciał być jednak dobrze przygotowany. Podczas pracy w wywiadzie wojskowym Kennebeck zawsze był sprawiedliwym, ale wymagającym przełożonym.

O trzynastej Elliot pojechał swoim srebrnym sportowym mercedesem S600 coupe na noworoczne przyjęcie w Sunrise Mountain. Niebo było ciemnoniebieskie

i kryształowo czyste. Idealna pogoda na latanie, bezchmurny dzień, podczas którego unoszenie się wysoko nad ziemią daje poczucie czystości i wolności.

W niedzielę, kiedy już będzie po ekshumacji, być może polecą razem z Tiną na jeden dzień do Arizony albo Los Angeles.

Większość drogich dużych domów w Sunrise Mountain została wkomponowana w naturalny krajobraz – przy użyciu skał, barwnych kamieni i pomysłowo rozmieszczonych kaktusów zamiast trawy, krzewów i drzew – by podkreślić, że człowiek dopiero od niedawna zajmuje tę część pustyni i nie ma nad nią pełnej władzy. Wieczorem widok na Las Vegas niewątpliwie był oszałamiający, ale Elliot nie potrafił zrozumieć, z jakiego innego powodu można chcieć mieszkać tutaj, a nie w którejś z bardziej zielonych starszych dzielnic miasta. W gorące letnie dni te jałowe piaszczyste górskie zbocza sprawiały wrażenie opuszczonych i upłynie co najmniej dziesięć lat, zanim pokryją się bujną roślinnością. Na brązowych wzgórzach olbrzymie domy sterczały w niebo niczym ponure pomniki starożytnego martwego kultu. Mieszkańcy Sunrise Mountain od czasu do czasu mogli spotkać na patio, werandzie lub obok basenu skorpiona, tarantulę albo grzechotnika. W wietrzne dni pył był gęsty jak mgła i wciskał swoje brudne kocie łapy pod drzwi, w szpary w oknach i do otworów wentylacyjnych na strychach.

Przyjęcie odbywało się w dużym domu w stylu toskańskim, w połowie wysokości zbocza. Na trawniku na tyłach posiadłości, obok osiemnastometrowego basenu, rozstawiono namiot o trzech ścianach, który miał kształt wachlarza i otwierał się na dom. W głębi barwnej płóciennej konstrukcji grała osiemnastoosobowa orkiestra. Około dwustu gości tańczyło lub kręciło się za domem, a kolejna setka bawiła się w dwudziestu pokojach.

Elliot znał z widzenia wiele z tych osób. Połowę gości stanowili prawnicy i ich żony. Chociaż legaliści zapewne nie byliby tym zachwyceni, prokuratorzy, obrońcy z urzędu, doradcy podatkowi, adwokaci od spraw karnych i specjaliści od prawa handlowego upijali się tutaj razem z sędziami, naprzeciwko których stawali w sądzie niemal co tydzień. Las Vegas ma własne standardy i styl sądowniczy.

Po dwudziestu minutach uważnego rozglądania się wśród gości Elliot wypatrzył Harolda Kennebecka. Sędzia był wysokim, surowym mężczyzną o kręconych białych włosach. Serdecznie przywitał się z Elliotem i zaczęli rozmawiać o swoich wspólnych zainteresowaniach: gotowaniu, lataniu i spływach tratwami.

Elliot nie chciał prosić Kennebecka o przysługę w obecności kilkunastu prawników, a w domu nie było miejsca, w którym mogliby porozmawiać na osobności. Wyszli na zewnątrz i przespacerowali się ulicą; mijali samochody gości,

wśród których można było znaleźć wszystkie marki od rolls-royce'ów po range rovery.

Kennebeck z zaciekawieniem wysłuchał Elliota, który próbował wyczuć, jakie są szanse na otwarcie grobu Danny'ego. Nie powiedział sędziemu o psychopatycznym żartownisiu, ponieważ to mogłoby niepotrzebnie skomplikować sytuację; wciąż uważał, że kiedy śmierć chłopca zostanie już potwierdzona za sprawą ekshumacji, najszybszym i najpewniejszym sposobem poradzenia sobie z nękaniem będzie wynajęcie pierwszorzędnej firmy detektywistycznej, która namierzy sprawcę. Aby wyjaśnić sędziemu, dlaczego ekshumacja nagle stała się tak istotna, w przesadny sposób odmalował ból i zagubienie, jakie dręczyły Tinę na skutek tego, że nie widziała zwłok swojego dziecka.

Harry Kennebeck miał twarz pokerzysty – surową, pospolitą i ciemną – więc trudno było ocenić, czy współczuje Tinie. Kiedy szli zalaną słońcem ulicą, rozmyślał w milczeniu o słowach Elliota przez niemal minutę.

– A co z ojcem? – odezwał się w końcu.

– Miałem nadzieję, że nie spytasz.

– Aha – mruknął Kennebeck.

– Ojciec się sprzeciwi.

– Jesteś pewien?

– Tak.

– Z powodów religijnych?

– Nie. Wkrótce przed śmiercią chłopca rozwiedli się w nieprzyjemnych okolicznościach. Michael Evans nienawidzi byłej żony.

– Więc będzie się sprzeciwiał ekshumacji wyłącznie po to, by ją zranić?

– Właśnie. Bez żadnego innego uzasadnionego powodu.

– Muszę jednak wziąć pod uwagę zdanie ojca.

– Jeżeli nie ma przeciwwskazań natury religijnej, prawo wymaga zgody tylko jednego z rodziców – powiedział Elliot.

– Mimo wszystko mam obowiązek chronić interes wszystkich stron.

– Jeśli ojciec będzie miał okazję złożyć protest, zapewne czeka nas żmudna sądowa batalia. Sąd straci mnóstwo cennego czasu.

– Nie chciałbym tego – przyznał Kennebeck z namysłem. – Kalendarz posiedzeń i tak jest już przeładowany. Mamy za mało sędziów i pieniędzy. System pęka w szwach.

– A kiedy opadnie bitewny pył, moja klientka i tak otrzyma zgodę na ekshumację – dodał Elliot.

– Prawdopodobnie tak.

– Na pewno. Jej mąż jest tylko złośliwym obstrukcjonistą. Próbując zranić byłą żonę, zmarnuje sądowi kilka dni, a ostateczny efekt będzie taki sam, jakby nie miał szansy na złożenie protestu.

– Aha – mruknął Kennebeck, lekko marszcząc czoło.

Zatrzymali się przy kolejnej przecznicy. Kennebeck zamknął oczy i zwrócił się twarzą do ciepłego zimowego słońca.

– Proponujesz mi drogę na skróty – odezwał się w końcu.

– Wcale nie. Po prostu wydaj nakaz ekshumacji na wniosek matki. Prawo na to zezwala.

– Podejrzewam, że chcesz to załatwić od ręki.

– Jutro rano, jeśli to możliwe.

– I grób zostanie otwarty jutro po południu.

– Najpóźniej w sobotę.

– Zanim ojciec zdoła uzyskać sądowy zakaz – ciągnął Kennebeck.

– Jeśli wszystko pójdzie gładko, ojciec być może nawet nie dowie się o ekshumacji.

– No tak.

– Wszyscy na tym zyskają. Sąd oszczędzi mnóstwo czasu i pracy. Moja klientka uniknie niepotrzebnego cierpienia. A jej mąż nie wyda kupy pieniędzy na prawników, bezskutecznie próbując nas powstrzymać.

– Aha.

Nie odzywając się, ruszyli w stronę domu, gdzie przyjęcie z każdą chwilą stawało się coraz głośniejsze.

W połowie ulicy Kennebeck w końcu przerwał milczenie.

– Będę musiał chwilę się nad tym zastanowić.

– Jak długo?

– Spędzisz tutaj całe popołudnie?

– Wątpię. W towarzystwie tylu prawników czuję się jak w pracy.

– Wracasz do domu? – spytał Kennebeck.

– Tak.

Sędzia odgarnął kosmyk białych włosów z czoła.

– No to zadzwonię do ciebie wieczorem.

– Możesz mi przynajmniej powiedzieć, co wstępnie o tym myślisz?

– Myślę, że wiele przemawia na twoją korzyść.

– Wiesz, że mam rację, Harry.

Kennebeck się uśmiechnął.

– Wysłuchałem twoich argumentów i na razie na tym poprzestańmy. Zadzwoń wieczorem, kiedy to przemyślę.

Sędzia przynajmniej nie odmówił, ale Elliot liczył na szybszą i bardziej satysfakcjonującą odpowiedź. W końcu nie prosił o dużą przysługę. Poza tym znali się od dawna. Wiedział, że Kennebeck jest ostrożny, ale zazwyczaj nie aż tak. Jego wahanie w takiej prostej sprawie wydało się Elliotowi dziwne, nic jednak nie powiedział. Nie miał innego wyjścia jak czekać na telefon.

Kiedy zbliżyli się do domu, zaczęli rozmawiać o zaletach makaronu podanego z lekkim sosem z oliwy, czosnku i łagodnej bazylii.

* * *

ELLIOT SPĘDZIŁ NA PRZYJĘCIU zaledwie dwie godziny. Zbyt wielu prawników, a za mało zwykłych ludzi, by impreza mogła go zaciekawić. Gdziekolwiek się zwrócił, słyszał rozmowy o deliktach, nakazach, wyciągach, pozwach, pozwach grupowych, wnioskach o odroczenie, apelacjach, ugodach i najnowszych ulgach podatkowych. Rozmowy przypominały te, które toczył w pracy, przez osiem do dziesięciu godzin dziennie, pięć dni w tygodniu, więc nie chciał spędzać wolnego dnia na paplaniu o tych samych rzeczach.

O szesnastej był już w domu i zabrał się do pracy w kuchni. Tina miała przyjechać o osiemnastej. Musiał zająć się kilkoma sprawami przed jej przybyciem, żeby potem nie marnowali czasu na domowe obowiązki, tak jak poprzedniego wieczoru. Stał przy zlewie, obrał i posiekał niewielką cebulę, oczyścił sześć łodyg selera i obrał kilka cienkich marchewek. Właśnie otworzył butelkę octu balsamicznego i odmierzył pół szklanki, gdy usłyszał za sobą jakiś ruch.

Kiedy się obrócił, zobaczył nieznanego mężczyznę, który wszedł do kuchni z jadalni. Facet miał nieco ponad metr siedemdziesiąt wzrostu, wąską twarz i elegancko przystrzyżoną blond brodę. Był w granatowym garniturze, białej koszuli i niebieskim krawacie; w ręce trzymał lekarską torbę. Był wyraźnie zdenerwowany.

– Co, u diabła? – odezwał się Elliot.

Po chwili za pierwszym mężczyzną pojawił się drugi, znacznie potężniejszy. Był wysoki, szorstki, o dużych twardych dłoniach z wyraźnie zarysowanymi knykami – jakby uciekł z laboratorium, w którym krzyżowano ludzi z niedźwiedziami. Miał na sobie świeżo wyprasowane spodnie, sztywną niebieską koszulę, wzorzysty krawat oraz szarą sportową marynarkę i wyglądał jak

zawodowy zabójca, który wbrew własnej woli musiał elegancko się ubrać na chrzciny wnuka swojego mafijnego bossa. Ale wcale nie sprawiał wrażenia nerwowego.

– Co to ma być? – spytał Elliot.

Mężczyźni przystanęli przy lodówce, kilka metrów od Elliota. Ten drobniejszy przestępował z nogi na nogę, a olbrzym się uśmiechał.

– Jak tu weszliście?

– Pistolet do zamków – wyjaśnił ten wyższy, kiwając głową i uśmiechając się uprzejmie. – Bob ma najlepsze narzędzia. – Wskazał swojego towarzysza. – To ułatwia sprawę.

– O co chodzi, do diabła?

– Spokojnie – rzucił dryblas.

– Nie trzymam w domu większej gotówki.

– Ależ nie. Nie chodzi o pieniądze – rzucił wielkolud.

Bob pokręcił głową i zmarszczył czoło, jakby oburzyła go myśl, że mógł zostać uznany za pospolitego złodzieja.

– Tylko spokojnie – powtórzył dryblas.

– Z kimś mnie pomyliliście – zapewnił ich Elliot.

– Na pewno nie.

– Właśnie – potwierdził Bob. – Nie ma takiej możliwości.

Ta rozmowa była równie dezorientująca jak pogawędki Alicji ze zwariowanymi mieszkańcami Krainy Czarów.

Elliot odstawił butelkę octu i wziął do ręki nóż.

– Wypierdalajcie stąd.

– Niech się pan uspokoi, panie Stryker – odezwał się olbrzym.

– Otóż to – poparł go Bob. – Tylko spokojnie.

Elliot zbliżył się do nich o krok.

Wyższy z mężczyzn wyjął pistolet z tłumikiem z kabury ukrytej pod szarą sportową marynarką.

– Bez nerwów. Weź na wstrzymanie.

Elliot cofnął się do zlewozmywaka.

– Tak lepiej – skwitował to dryblas.

– Znacznie lepiej – zgodził się z nim Bob.

– Odłóż ten nóż, a wszyscy będziemy zadowoleni.

– Nie ma potrzeby psuć nastroju – dodał Bob.

– Właśnie, miły nastrój to podstawa.

Za chwilę przybędzie Szalony Kapelusznik.

– Odlóż nóż – polecił dryblas. – I to już.

Elliot go posłuchał.

– A teraz go odepchnij, tak żebyś nie mógł go dosięgnąć.

Teraz też wykonał polecenie.

– Kim jesteście?

– Jeśli będziesz współpracował, nic ci się nie stanie – zapewnił go dryblas.

– Do roboty, Vince – odezwał się Bob.

– Skorzystamy z tego kącika śniadaniowego – zarządził jego towarzysz.

Bob podszedł do okrągłego klonowego stołu. Postawił na nim czarną lekarską torbę, otworzył ją i wyciągnął niewielki magnetofon. Wyjął z torby także inne przedmioty: elastyczną gumową rurkę, aparat do mierzenia ciśnienia krwi, dwie buteleczki jakiegoś bursztynowego płynu oraz paczkę jednorazowych strzykawek.

Elliot w myślach analizował sprawy, którymi obecnie zajmowała się jego kancelaria, szukając jakiegoś powiązania z tymi dwoma typami, ale nic nie przychodziło mu do głowy.

Dryblas machnął pistoletem.

– Usiądź przy stoliku.

– Dopiero kiedy powiecie mi, o co chodzi.

– To ja tutaj wydaję polecenia.

– Ale ja nie zamierzam ich wykonywać.

– Wpakuję ci kulkę, jeśli się nie ruszysz.

– Nie, nie zrobisz tego – odparł Elliot, żałując, że nie czuje się tak pewny siebie, jak na to wskazywał ton jego głosu. – Macie inne plany, a zastrzelenie mnie by je zrujnowało.

– Rusz dupę do stolika.

– Dopiero kiedy się wytłumaczycie.

Vince obdarzył go wściekłym spojrzeniem.

Elliot popatrzył mu w oczy i nie odwrócił wzroku.

– Bądź rozsądny – odezwał się Vince po chwili. – Musimy tylko zadać ci kilka pytań.

Elliot za wszelką cenę chciał uniknąć okazywania strachu, bo zdawał sobie sprawę, że nawet najmniejsza oznaka lęku zostałaby uznana za dowód słabości.

– Macie cholernie dziwne podejście jak na ankieterów.

– Rusz się.

– Po co te strzykawki?

– Rusz się.

– Po co wam one?

Vince westchnął.

– Musimy być pewni, że powiesz prawdę.

– Całą prawdę – dodał Bob.

– Narkotyki? – spytał Elliot.

– Są skuteczne i godne zaufania – przyznał Bob.

– A kiedy skończycie, mój mózg będzie przypominał galaretkę z winogron.

– Ależ nie – rzucił Bob. – Te leki nie wyrządzają trwałych szkód, ani fizycznych, ani psychicznych.

– Co to za pytania? – dociekał Elliot.

– Zaczynam tracić do ciebie cierpliwość – prychnął Vince.

– I wzajemnie.

– Rusz się.

Elliot nawet nie drgnął. Nie patrzył na lufę pistoletu. Chciał, aby myśleli, że nie boi się broni, ale wewnątrz drżał jak kamerton.

– Sukinsynu, rusz się wreszcie!

– Jakie pytania chcecie mi zadać?

Olbrzym się skrzywił.

– Na Boga, Vince, powiedz mu – odezwał się Bob. – Przecież i tak je usłyszysz, kiedy wreszcie usiądzie. Miejmy to już z głowy i spadajmy.

Vince podrapał się dłonią jak łopata po podbródku przypominającym bryłę betonu, a potem sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął kilka złożonych kartek.

Pistolet się zakołysał, ale nie na tyle, żeby dać Elliotowi szansę.

– Mam ci zadać wszystkie pytania z tej listy – oznajmił Vince, potrząsając kartkami. – Jest długa, w sumie trzydzieści albo czterdzieści pytań, ale to nie zajmie dużo czasu, jeśli będziesz grzecznie siedział i współpracował.

– Czego dotyczą te pytania? – nie ustępował Elliot.

– Christiny Evans.

To było ostatnie, czego Elliot się spodziewał. Był całkowicie zbity z tropu.

– Tiny Evans? Ale o co chodzi?

– Musimy się dowiedzieć, dlaczego chce otworzyć grób swojego syna.

Elliot wpatrywał się w niego z niedowierzaniem.

– Skąd o tym wiecie?

– Nieważne – odparł Vince.

– Właśnie – dodał Bob. – Nieważne skąd, ważne, że wiemy.

– To wy jesteście tymi draniami, którzy nękają Tinę?

– Co takiego?

- To wy wysyłacie jej te wiadomości?
- Jakie wiadomości? – spytał Bob.
- To wy zdemolowaliście pokój chłopca?
- O czym ty mówisz? – zdziwił się Vince. – Nic o tym nie wiemy.
- Ktoś wysłała do niej wiadomości dotyczące jej dzieciaka? – spytał Bob.

Byli szczerze zaskoczeni tą informacją i Elliot nabrał pewności, że to nie oni próbowali wystraszyć Tinę. Poza tym, chociaż obaj robili wrażenie lekko szurniętych, nie wyglądali na oszustów albo psychopatów, których bawi straszenie bezbronnych kobiet. Wyglądali i zachowywali się jak członkowie jakiejś organizacji, chociaż ten większy był na tyle nieokrzesany, że mógł uchodzić za pospolitego bandziora. Broń z tłumikiem, pistolet do zamków, serum prawdy – ich sposób działania świadczył o tym, że należeli do dobrze zorganizowanej grupy dysponującej znacznymi środkami.

– Co to za wiadomości? Te, które ona dostaje? – spytał Vince, uważnie go obserwując.

– To kolejne pytanie, na które nie otrzymacie odpowiedzi – oświadczył Elliot.

– Owszem, otrzymamy – zapewnił go Vince lodowatym tonem.

– Otrzymamy wszystkie odpowiedzi – dorzucił Bob.

– A teraz, panie prawniku, podejdziesz do tamtego stołu i posadzisz tyłek na krześle – polecił Vince. – A może mam cię zmotywować? – Ponownie machnął pistoletem.

– Kennebeck! – zawołał Elliot, oszołomiony nagłym olśnieniem. – Musiał wam powiedzieć o ekshumacji, tylko w ten sposób mogliście tak szybko się o tym dowiedzieć.

Mężczyźni wymienili spojrzenia. Nie byli zachwyceni, słysząc nazwisko sędziego.

– Kto? – spytał Vince, ale zdradziło go to, jak popatrzył na swojego kompana.

– To dlatego grał na zwłokę – ciągnął Elliot. – Chciał dać wam czas, żebyście mnie dopadli. Ale dlaczego Kenebecka obchodzi, czy grób chłopca zostanie otwarty? Dlaczego was to obchodzi? Kim wy jesteście, do diabła?

Przypominający niedźwiedzia zbieg z wyspy doktora Moreau już nie był tylko zniecierpliwiony, teraz był wściekły.

– Posłuchaj, głupi chuju, nie będę dłużej się z tobą cackał. Nie odpowiem na żadne z twoich pytań, ale wpakuję ci kulę w jaja, jeśli nie usiądziesz przy tamtym stole.

Elliot udał, że nie usłyszał tej groźby. Wciąż bał się pistoletu, lecz myślał o czymś, co przerażało go jeszcze bardziej. Lodowaty dreszcz przebiegł mu po

plecach, gdy zrozumiał, na co wskazuje obecność tych ludzi w kontekście wypadku syna Tyny.

– Było coś dziwnego w śmierci Danny’ego... w śmierci tych wszystkich skautów. Prawda różni się od wersji, którą wszystkim sprzedano. Wypadek busa... to kłamstwo, prawda?

Mężczyźni milczeli.

– Prawda jest znacznie gorsza – ciągnął Elliot. – Tak straszna, że niektórzy potężni ludzie chcą ją ukryć. Kennebeck... nigdy nie przestał być agentem. Dla której agencji pracujecie? Na pewno nie dla FBI. Tam obecnie przyjmują tylko absolwentów najlepszych uczelni, wysublimowanych i wykształconych. To samo dotyczy CIA. Jesteście zbyt wulgarni. Na pewno nie wywiad wojskowy; brakuje wam wojskowej dyscypliny. Niech zgadnę. Pracujecie dla jakiejś organizacji, o której istnieniu obywatele jeszcze nie wiedzą. Tajnej i brudnej.

Twarz Vince’a pociemniała jak bryła mielonki na rozgrzanym ruszcie.

– Cholera, powiedziałem, że od tej chwili to ty będziesz odpowiadał na pytania.

– Spokojnie – rzucił Elliot. – Grałem w waszą grę. Służyłem w wywiadzie wojskowym. Nie jestem osobą z zewnątrz. Wiem, jak to działa, znam wasze zasady i zwyczaje. Nie musicie zgrywać takich twardzieli. Otwórzcie się. Opuśćcie mi trochę, a ja też wam odpuszczę.

Wyczuwając zbliżający się wybuch Vince’a i zdając sobie sprawę, że nie pomoże im on w wykonaniu zadania, Bob szybko zareagował.

– Posłuchaj, Stryker, nie możemy odpowiedzieć na większość twoich pytań, ponieważ nie znamy odpowiedzi. Owszem, pracujemy dla organizacji rządowej. Rzeczywiście nigdy o niej nie słyszałeś i zapewne nie usłyszysz. Ale nie wiemy, dlaczego Danny Evans jest taki ważny. Nie zdradzono nam nawet połowy szczegółów. Zresztą nie chcemy ich znać. Chyba nas rozumiesz: im mniej człowiek wie, tym mniej będą mieli na niego haków. Chryste, nie jesteśmy nikim ważnym, tylko wynajętymi pomocnikami. Mówią nam tylko tyle, ile musimy wiedzieć. Więc może trochę wyluzujesz, co? Po prostu siadaj przy stole, daj sobie zrobić zastrzyk, udziel kilku odpowiedzi i wszyscy będziemy mogli wrócić do normalnego życia. Nie będziemy tak stali bez końca.

– Jeśli pracujecie dla rządowej agencji wywiadowczej, to wynoście się i wróćcie z nakazem przeszukania i wezwaniem do sądu – wypalił Elliot.

– Dobrze wiesz, że to niemożliwe – odparł ostro Vince.

– Agencja, dla której pracujemy, oficjalnie nie istnieje – przypomniał Bob. – Jak nieistniejąca agencja może wystąpić o wezwanie do sądu? Bądź poważny, Stryker.

– Jeśli poddam się działaniu narkotyku, to co się ze mną stanie, gdy już uzyskacie odpowiedzi? – spytał Elliot.

– Nic – odrzekł Vince.

– Zupełnie nic – potwierdził Bob.

– Skąd mogę mieć pewność?

Widząc, że Elliot zamierza ustąpić, dryblas lekko się rozluźnił, chociaż jego klockowata twarz wciąż była zaczerwieniona ze złości.

– Już ci mówiłem. Kiedy dostaniemy to, na czym nam zależy, pójdziemy sobie. Chcemy się tylko dowiedzieć, dlaczego ta Evans dąży do otwarcia grobu. Musimy sprawdzić, czy ktoś jej nakablował. Jeśli tak, przybijemy mu dupę do drzwi stodoły. Ale nie mamy nic przeciwko tobie osobiście. Kiedy poznamy prawdę, odejdziemy.

– I pozwolicie mi iść na policję? – spytał Elliot.

– Nie boimy się glin – rzucił Vince arogancko. – Przecież nawet nie wiesz, kim jesteśmy i gdzie mieliby nas szukać. Niczego nie odkryją. Nie ma szans. A gdyby nawet trafili na nasz trop, możemy ich zmusić, żeby dali sobie spokój. To kwestia bezpieczeństwa narodowego, kolego, cholernie ważna sprawa. Rząd może naginać zasady, jeśli chce. W końcu sam je ustala.

– Na studiach prawniczych uczyli mnie, że system działa trochę inaczej – powiedział Elliot.

– No cóż, wtedy żyłeś w wieży z kości słoniowej. – Bob nerwowo poprawiał krawat.

– Zgadza się – poparł go partner. – A to jest prawdziwe życie. Więc siadaj grzecznie przy stole.

– Proszę, panie Stryker – dodał Bob.

– Nie.

Kiedy zdobędą odpowiedzi, zabiją go. Gdyby chcieli darować mu życie, nie używaliby przy nim swoich prawdziwych imion. Poza tym nie traciliby tyle czasu na namawianie go do współpracy; bez wahania użyliby siły. Chcieli zagwarantować sobie jego dobrowolną współpracę, ponieważ woleli nie zostawiać śladów na jego ciele. Jego śmierć miała wyglądać na wypadek albo samobójstwo. To był oczywisty scenariusz. Zapewne samobójstwo. Kiedy wciąż będzie pod wpływem narkotyku, nakłonią go do napisania listu pożegnalnego i złożenia wyraźnego podpisu. Potem zaniósą go do garażu, posadzą w jego małym mercedesie, mocno zapną pas i uruchomią silnik. Będzie zbyt odurzony, żeby uciec, a tlenek węgla załatwi resztę. Jutro albo pojutrze ktoś go znajdzie, z sinozielono-szarą twarzą, wywieszonym ciemnym językiem i wytrzeszczonymi

oczami, zupełnie jakby wypatrywał czegoś za przednią szybą podczas przejażdżki do piekła. Jeśli na jego ciele nie będzie żadnych śladów wskazujących na inną przyczynę śmierci, policja nie będzie drążyć.

– Nie – powtórzył, tym razem głośniej. – Jeśli chcecie, sukinsyny, żebym usiadł przy stole, będziecie musieli mnie tam zawlec.

TINA SPRAWNIE POSPRZĄTAŁA BAŁAGAN W pokoju Danny'ego i spakowała jego rzeczy. Zamierzała przekazać je na cele dobroczynne.

Kilka razy była na granicy płaczu, gdy widok któregoś z przedmiotów wyzwał falę wspomnień. Ale zacisnęła zęby i nie wyszła z pokoju, dopóki nie uporała się z zadaniem.

Pozostało jej tylko posegregowanie zawartości trzech kartonowych pudeł na dnie głębokiej szafy. Próbowwała podnieść jedno z nich, ale okazało się za ciężkie. Przeciągnęła je do sypialni i postawiła na wykładzinie w świetle czerwonawożłotego popołudniowego słońca, które sączyło się przez korony drzew i zakurzone okna.

Kiedy otworzyła pudło, zobaczyła w środku część kolekcji komiksów i powieści graficznych Danny'ego. W większości były to horrory.

Nigdy nie rozumiała jego skłonności do opowieści grozy. Filmy o potworach. Komiksowe horrory. Powieści o wampirach. Straszne historie wszelkiego rodzaju i w rozmaitych formach. Początkowo jego rosnąca fascynacja makabrą wydawała jej się niezdrowa, ale nigdy nie zabraniała mu realizowania tych pasji. Większość jego znajomych również interesowała się duchami i upiorami; poza tym to nie było jego jedyne hobby, więc postanowiła się tym nie przejmować.

W pudle znajdowały się dwie sterty komiksów, a numery leżące na wierzchu miały obrzydliwe kolorowe okładki. Na pierwszej czarny powóz zaprzężony w cztery czarne konie o złowieszczo świecących oczach pędził nocną drogą pod księżycem bliskim pełni; bezgłowy mężczyzna trzymał lejce, popędzając rozszalałe konie. Z poszarpanej szyi woźnicy tryskała jaskrawa krew, a galaretowate skrzepy znaczyły jego białą koszulę z kryzą. Odcięta głowa leżała na siedzeniu obok i uśmiechała się szatańsko, wciąż pełna podłego życia, choć brutalnie oddzielono ją od ciała.

Tina skrzywiła się. Jeśli Danny czytał takie rzeczy przed pójściem do łóżka, to jakim cudem tak dobrze sypiał? Zawsze spał jak kamień i nie męczyły go żadne koszmary.

Wyciągnęła z szafy drugie pudło. Było równie ciężkie jak pierwsze i podejrzewała, że w nim także znajdują się komiksy, ale dla pewności je otworzyła.

Westchnęła zaszokowana.

ON patrzył na nią z wnętrza pudła. Z okładki jednej z graficznych powieści. ON. Mężczyzna w czerni. Ta sama twarz. Czaszka pokryta wysuszonym ciałem. Wyraźnie zarysowane oczodoły i złowieszcze, nieludzko karmazynowe oczy patrzące z nienawiścią. Kłębówisko robaków wiło się na policzku, w kącie oka. Popsute żółte zęby szczyrzyły się w uśmiechu. W każdym odrażającym szczególe wyglądał identycznie jak istota, która nawiedzała ją w koszmarach sennych.

Jak to możliwe, że zeszłej nocy śniła o tym ohydny stworze, a teraz go tutaj znalazła?

Odsunęła się od pudła.

Płonące, szkarłatne oczy potwornej postaci na rysunku jakby za nią podążały.

Pewnie zobaczyła tę wyrazistą ilustrację, kiedy Danny przyniósł czasopismo do domu. To wspomnienie zapisało się w jej podświadomości i tam się jątrzyło, aż w końcu przeniknęło do jej snów.

Nie było innego logicznego wytłumaczenia.

Ale wiedziała, że to nieprawda.

Nigdy wcześniej nie widziała tego rysunku. Kiedy Danny zaczął zbierać komiksowe horrory, kupując je za kieszonkowe, początkowo uważnie je przeglądała, oceniając, czy się dla niego nadają. Ale kiedy już pozwoliła mu je czytać, nigdy więcej nawet nie zerknęła na jego zakupy.

Mimo wszystko przyśnił jej się mężczyzna w czerni.

A oto i on. Uśmiecha się do niej.

Zaciekawiona, jaką opowieść ilustruje ten obraz, Tina ponownie podeszła do pudła i wyjęła tom. Był grubszy niż zwykle komiksy i wydrukowany na kredowym papierze.

Kiedy jej palce dotknęły błyszczącej okładki, zabrzmiał dźwięk dzwonka.

Wzdrygnęła się i wstrzymała oddech.

Dzwonek ponownie się odezwał, a ona uświadomiła sobie, że ktoś stoi za drzwiami wejściowymi.

Z mocno bijącym sercem wyszła do holu.

Przez wizjer w drzwiach zobaczyła młodego, gładko ogolonego mężczyznę w niebieskiej czapce baseballowej z nieznanym jej logo. Uśmiechał się, czekając, aż ktoś go wpuści.

Nie otworzyła drzwi.

– Słucham?
– Jestem technikiem z firmy gazowniczej. Musimy sprawdzić przyłącza gazu w pani domu.

Tina zmarszczyła czoło.

– W Nowy Rok?

– To pilna sprawa. Szukamy możliwego wycieku gazu w tej okolicy.

Zawahała się, a potem otworzyła drzwi, ale nie zdjęła grubego łańcucha. Przyjrzała się mężczyźnie przez wąską szparę.

– Wycieku gazu?

Uśmiechnął się uspokajająco.

– Zapewne nie ma żadnego niebezpieczeństwa. W gazociągu spadło ciśnienie, więc staramy się znaleźć przyczynę. Nie ma powodu, by ewakuować ludzi i wzbudzać panikę. Ale staramy się sprawdzić każdy dom. Ma pani kuchenkę gazową?

– Nie, elektryczną.

– A ogrzewanie?

– Owszem, mam piec gazowy.

– No tak, jak chyba wszystkie domy w tej okolicy. Lepiej rzucę na niego okiem, sprawdzę mechanizm, dopływ gazu i tak dalej.

Przyjrzała mu się uważnie. Miał na sobie uniform firmy gazowniczej i dźwigał duży zestaw narzędzi oznaczony firmowym logo.

– Mogłabym zobaczyć jakiś dokument?

– Jasne. – Z kieszeni koszuli wyjął zaalaminowaną kartę z pieczęcią firmy, swoim zdjęciem, nazwiskiem i danymi.

Tina poczuła się głupio, jak strachliwa staruszka.

– Przepraszam. Nie chodzi o to, że wygląda pan groźnie, ale po prostu...

– Nie ma sprawy. Nie musi pani przeproszać. Dobrze pani zrobiła, prosząc o dowód tożsamości. W tych czasach tylko szaleni otwierają drzwi, nie wiedząc, kto jest po drugiej stronie.

Odpięła łańcuch bezpieczeństwa, otworzyła drzwi i cofnęła się o krok.

– Proszę.

– Gdzie jest piec? W garażu?

Niewiele domów w Las Vegas miało piwnice.

– Tak, w garażu.

– Jeśli pani woli, mogę wejść od zewnątrz.

– Nie ma potrzeby. Zapraszam.

Przekroczył próg.

Tina zamknęła drzwi na zasuwkę.

– Ładny dom.

– Dziękuję.

– Przytulny. Ma pani wyczucie kolorów. Wszystko w odcieniach ziemi. Trochę jak w naszym domu. Moja żona też doskonale zna się na kolorach.

– Takie barwy mnie uspokajają – przyznała Tina.

– Prawda? Są takie ładne i naturalne.

– Garaż jest tam – powiedziała, wyciągając rękę.

Minęli kuchnię, krótkim korytarzem dotarli do pralni i w końcu do garażu.

Tina zapaliła światło. Rozproszyła ciemności, ale kąty pomieszczenia wciąż kryły się w cieniu.

W garażu unosiła się lekka woń pleśni, ale nie wyczuła gazu.

– Wygląda na to, że tutaj nic złego się nie wydarzyło – odezwała się.

– Chyba ma pani rację. Ale nigdy za wiele pewności. Być może coś pękło pod ziemią. Gaz może wyciekać i gromadzić się pod betonową płytą, a w takim wypadku nie wykryje go pani od razu, ale będzie pani siedziała na tykającej bombie.

– Cóż za sympatyczna myśl.

– Życie od razu staje się ciekawsze.

– Dobrze, że pan nie pracuje jako rzecznik prasowy swojej firmy.

Roześmiał się.

– Bez obaw. Myśli pani, że gdybym naprawdę uważał, że coś takiego mogło się wydarzyć, to stałbym tutaj w takim dobrym humorze?

– Pewnie nie.

– Może pani być spokojna. Naprawdę. To tylko rutynowy przegląd.

Podszedł do pieca, postawił na posadzce ciężki zestaw narzędzi i przykucnął. Otworzył metalowe drzwiczki, odsłaniając instalację. Migotał tam jasny krąg płomieni, który skąpał jego twarz w niesamowitym niebieskim blasku.

– I co? – spytała Tina.

Podniósł wzrok.

– To potrwa jakieś piętnaście do dwudziestu minut.

– Aha. Myślałam, że to prosta sprawa.

– W takich sytuacjach trzeba działać skrupulatnie.

– Ależ oczywiście.

– Jeśli ma pani coś do roboty, to proszę się nie krępować. Nie będę niczego potrzebował.

Tina przypomniała sobie powieść graficzną z mężczyzną w czerni na okładce. Ciekawiła ją opowieść, z której pochodziła ta istota, ponieważ miała dziwne przeczucie, że w jakiś sposób będzie się wiązała ze śmiercią Danny'ego. Nie wiedziała, skąd ta dziwaczna myśl przyszła jej do głowy, ale nie potrafiła się jej pozbyć.

– No cóż, właśnie sprzątałam jeden z pokoi na tyłach. Jeśli na pewno...

– Na pewno. Niech pani nie odrywa się od pracy.

Zostawiła go w ciemnym garażu z twarzą zalaną migoczącym niebieskim blaskiem i oczami, w których jarzyły się odbicia płomieni.

KIEDY ELLIOT ODMÓWIŁ PODEJŚCIA do stołu, Bob, drobniejszy z dwóch mężczyzn, zawahał się, a potem niechętnie zbliżył się do niego o krok.

– Zaczekaj – odezwał się Vince.

Bob zatrzymał się, najwyraźniej zadowolony, że to jego potężny kompan zajmie się Elliotem.

– Nie wchodź mi w drogę – doradził mu Vince. Schował kartki z pytaniami do kieszeni płaszcza. – Ja się zajmę tym draniem.

Gdy Bob oddalił się w stronę stołu, Elliot skupił uwagę na jego partnerze osiłka.

Vince trzymał pistolet w prawej dłoni, a lewą zacisnął w pięść.

– Naprawdę sądzisz, że masz ze mną szanse, człowieczku? Moja pięść jest tak duża jak twoja głowa. Wiesz, co poczujesz, kiedy cię uderzy?

Elliot domyślał się, co poczuje, i pocił się pod pachami oraz na plecach, ale nawet nie drgnął i nie zareagował na prowokację.

– Poczujesz się, jakby staranował cię pociąg towarowy – ciągnął Vince. – Więc przestań być uparty jak osioł.

Bardzo się starali uniknąć przemocy, co potwierdzało podejrzenia Elliota, że zależało im na tym, by na jego ciele nie można było znaleźć żadnych śladów wykluczających samobójstwo.

Niedźwiedź udający człowieka poczłapał w jego stronę.

– Zmienisz zdanie i będziesz współpracował?

Elliot nie ustąpił.

– Wystarczy jeden solidny cios w brzuch, a wyplujesz flaki – pogroził Vince.

Kolejny krok.

– A kiedy już to zrobisz, złapię cię za jaja i zaciągnę do stołu.

Jeszcze jeden krok.

Olbrzym się zatrzymał.

Dzieliła ich zaledwie długość ręki.

Elliot zerknął na Boba, który wciąż stał przy stole z paczką strzykawek w dłoni.

– Ostatnia szansa, żeby załatwić to po dobroci – ostrzegł Vince.

Elliot błyskawicznie chwycił naczynie, do którego kilka minut wcześniej wlał odmierzoną porcję octu, i chlusnął Vince'owi w twarz. Olbrzym wrzasnął z zaskoczenia i bólu, chwilowo oślepiony. Elliot upuścił naczynie i złapał pistolet, ale Vince instynktownie nacisnął spust; pocisk minął twarz Elliota i zbił szybę za zlewozmywakiem. Elliot uchylił się przed zadaniem na oślep sierpowym i zbliżył się do Vince'a, nie puszczając broni, której tamten nie zamierzał oddać. Zamachnął się i trafił olbrzymia łokciem w gardło. Kiedy ten odchylił głowę do tyłu, Elliot uderzył go krawędzią dłoni w odsłonięte jabłko Adama. Potem zdzielił przeciwnika kolaniem w krocze i wyrwał pistolet ze zwiotczącej niedźwiedziej łapy. Gdy Vince zgiął się wpół i zaczął się krztusić, Elliot uderzył go ręką broni w bok głowy. Huknęło, jakby kamień trafił w kamień.

Elliot się cofnął.

Vince padł na kolana, a potem runął na twarz. Został w tej pozycji, jakby całował płytki podłogowe.

Cała potyczka trwała mniej niż dziesięć sekund.

Olbrzym był zbyt pewny siebie, przekonany, że kilkunastocentymetrowa przewaga wzrostu i dodatkowe trzydzieści kilogramów mięśni czynią go niezwyciężonym. Mylił się.

Elliot obrócił się w stronę jego partnera, celując ze skonfiskowanego pistoletu.

Bob już był w jadalni i biegł w stronę frontowej części domu. Najwyraźniej nie miał broni i zrobiło na nim wrażenie to, z jaką łatwością został unieszkodliwiony jego kolega.

Elliot pobiegł za nim, ale spowolniły go krzesła, które uciekający mężczyzna przewrócił w jadalni. W salonie na podłodze leżały kolejne meble i książki. Droga do holu przypominała tor przeszkód.

Kiedy dotarł do drzwi i wypadł z domu, Bob był już po drugiej stronie ulicy i wsiadał do nieoznakowanego chevroleta sedana. Elliot zdążył tylko zobaczyć, jak samochód rusza z piskiem opon i rykiem silnika.

Nie zdołał zobaczyć numeru rejestracyjnego. Zresztą tablice i tak były zamazane błotem.

Pośpiesznie wrócił do domu.

Mężczyzna w kuchni wciąż był nieprzytomny i nie miał szans się ocknąć przez kolejne dziesięć, a może nawet piętnaście minut. Elliot sprawdził jego puls i podniósł jedną z powiek. Vince przeżyje, chociaż może wymagać hospitalizacji i przez wiele dni nie będzie mógł przełykać bez bólu.

Elliot przeszukał kieszenie bandziora. Znalazł trochę drobniaków, grzebień, portfel i plik papierów z pytaniami, na które on miał odpowiedzieć.

Złożył kartki i schował je do kieszeni spodni.

W portfelu były dziewięćdziesiąt dwa dolary; nie znalazł kart kredytowych, prawa jazdy ani żadnych innych dokumentów. Facet z pewnością nie pracował dla FBI. Agenci Biura zawsze nosili przy sobie odpowiednie papiery. Nie pracował także dla CIA, ponieważ ich agenci również używali dokumentów tożsamości, czasami wystawianych na fałszywe nazwiska. Brak jakichkolwiek papierów był bardziej niepokojący niż fałszywki, ponieważ całkowita anonimowość na kilometr śmierdziała tajną policją.

Tajna policja. Taka możliwość przerażała Elliota. Nie w starych dobrych Stanach Zjednoczonych Ameryki. Niemożliwe. W Chinach, Rosji, Iranie lub Iraku – owszem. W jakiejś południowoamerykańskiej republice bananowej – jasne. W połowie krajów na świecie działała tajna policja, współczesne Gestapo, a obywatele bali się, że ktoś zapuka do ich drzwi w środku nocy. Jednak nie w Ameryce, do cholery!

Ale nawet jeśli rząd powołał tajną policję, to dlaczego usiłowała ona zatuszować prawdę dotyczącą śmierci Danny'ego? Co próbowali ukryć w sprawie tragedii w Sierra Nevada? Co naprawdę wydarzyło się w górach?

Tina.

Nagle uświadomił sobie, że jej także grozi niebezpieczeństwo. Jeśli ci ludzie byli gotowi go zabić, by powstrzymać ekshumację, to zapewne planowali także uśmiercić Tinę. Prawdę mówiąc, to ona musiała być ich głównym celem.

Pobiegł do telefonu w kuchni, chwycił słuchawkę i uświadomił sobie, że nie zna jej numeru. Szybko przekartkował książkę telefoniczną, lecz nie znalazł w niej Christiny Evans.

Nie uda mu się wyciągnąć zastrzeżonego numeru od pracownika centrali, a zanim zadzwoni na policję i zdoła wszystko wytłumaczyć, może być za późno, żeby pomóc Tinie.

Przez chwilę stał nieruchomo, sparaliżowany straszliwym niezdecydowaniem i wizją utraty Tyny. Myślał o linii jej ust, kiedy się uśmiechała, bystrych oczach, głębokich i niebieskich jak górski strumień. Ucisk w piersi odbierał mu oddech.

Nagle przypomniał sobie jej adres. Podała mu go dwa dni wcześniej, podczas przyjęcia po premierze *Magyck!* Mieszkała niedaleko. Mógł być u niej za pięć minut.

Wciąż ścisnął w dłoni pistolet z tłumikiem i postanowił go zatrzymać.

Wybiegł do samochodu stojącego na podjeździe.

TINA ZOSTAWIŁA TECHNIKA z firmy gazowniczej w garażu i wróciła do pokoju Danny'ego. Wyjęła powieść graficzną z pudła i usiadła na skraju łóżka w czerwonym świetle słońca, które wpadało przez okno niczym deszcz miedziaków.

W tomie znajdowało się kilkanaście ilustrowanych opowiadań grozy. To, którego dotyczyła ilustracja na okładce, miało szesnaście stron. Literami, które wyglądały, jakby uformowano je z gnijącego całunu, rysownik zapisał tytuł na górze pierwszej strony, ponad szczegółową ilustracją przedstawiającą ponure cmentarzysko zalewane deszczem. Tina wpatrywała się w te słowa z szokiem i niedowierzaniem.

CHŁOPIEC, KTÓRY NIE UMARŁ

Przypomniała sobie słowa na tablicy i wydruku komputerowym: NIE UMARŁ, NIE UMARŁ, NIE UMARŁ...

Trzęsły jej się ręce. Nie potrafiła prosto utrzymać pisma.

Akcja opowiadania toczyła się w połowie dziewiętnastego wieku, kiedy lekarze często mieli problem z dokładnym wyznaczeniem granicy między życiem a śmiercią. Była to historia chłopca, Kevina, który spadł z dachu i mocno uderzył się w głowę, przez co zapadł w śpiączkę. Ówczesny sprzęt medyczny nie pozwalał na wykrycie u niego śladów życia. Lekarze orzekli zgon, a pogrążeni w żałobie rodzice złożyli syna do grobu. W tamtych czasach nie balsamowano zwłok, dlatego chłopca pochowano żywcem. Wkrótce po pogrzebie rodzice Kevina wyjechali z miasta, by spędzić miesiąc w swoim letnim domu na wsi, gdzie mogli odpocząć od swoich obowiązków zawodowych oraz towarzyskich i w ten sposób przeżyć okres żałoby. Ale pierwszej nocy na wsi matka miała wizję, w której pogrzebany Kevin ją wzywał. Wizja była tak wyrazista i niepokojąca, że oboje z mężem jeszcze tej samej nocy wrócili do miasta i rankiem otworzyli grób. Niestety, Pan Śmierć uznał, że Kevin należy do niego, ponieważ pogrzeb się odbył i grób został zamknięty. Koniecznie chciał przeszkodzić rodzicom w dotarciu na cmentarz na

czas. Większość opowiadania dotyczyła jego prób przzerwania desperackiej nocnej podróży matki i ojca. Atakowały ich wszelkiej maści żywe trupy, wampiry, upiory, zombie i duchy, ale rodzice zwyciężyli. O świcie stanęli nad grobem, kazali go otworzyć i znaleźli syna żywego, obudzonego ze śpiączki. Na ostatniej ilustracji rodzice i chłopiec razem wychodzili z cmentarza, a Pan Śmierć ich obserwował i mówił: *To tylko chwilowe zwycięstwo. Wcześniej czy później będziesz mój. Pewnego dnia wrócisz. A ja będę na ciebie czekał.*

Tinie zaschło w ustach, opadła z sił.

To był tylko głupi komiks, absurdalna opowieść grozy. Ale... istniały dziwne podobieństwa między tą obrzydliwą historią a jej paskudnym życiem.

Odłożyła pismo okładką do dołu, żeby nie patrzeć na robaczywe, czerwone oczy Śmierci.

Chłopiec, który nie umarł.

Dziwne.

Śniło jej się, że Danny jest grzebany żywcem. W jej śnie pojawiła się ohydna postać ze starego numeru komiksu ze zbiorów syna. Główna opowieść z tego wydania była historią chłopca mniej więcej w wieku Danny'ego, którego omyłkowo uznano za zmarłego, pogrzebano żywcem, a następnie ekshumowano.

Przypadek?

Jasne, tak samo jak to, że po nocy wstaje dzień.

Tina miała szalone wrażenie, że koszmarnie sny nie pochodziły z jej wnętrza, ale z zewnątrz, jakby jakaś siła przesyłała je do jej umysłu, żeby...

Żeby co?

Żeby powiedzieć jej, że Danny został pogrzebany żywcem?

Niemożliwe. Nie mógł zostać pogrzebany żywcem. Był poobijany, poparzony, wychłodzony, straszliwie okaleczony na skutek wypadku, ponad wszelką wątpliwość martwy. Tak powiedzieli policjanci i pracownicy zakładu pogrzebowego. Poza tym to nie był dziewiętnasty wiek; teraz lekarze potrafią wykryć nawet najłżejsze bicie serca, najpłytszy oddech, najsłabszą aktywność mózgu.

Danny z całą pewnością był martwy, kiedy go pochowali.

A nawet gdyby – wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu – jej syn rzeczywiście był wtedy żywy, to dlaczego ta wizja ze świata duchów miałaby się pojawić dopiero po roku?

Ta ostatnia myśl ją oszołomiła. Świat duchów? Wizje? Jasnowidzenie? Nie wierzyła w rzeczy nadprzyrodzone. A przynajmniej zawsze tak jej się wydawało. Ale teraz poważnie brała pod uwagę, że jej sny mogą pochodzić z innego świata.

Przecież to nonsens. Całkowite bzdury. Źródłem wszystkich snów są doświadczenia przechowywane w psychice; sny nie są eterycznymi telegramami od duchów, bogów czy demonów. Zaniepokoiła ją ta niespodziewana łatwowierność, ponieważ wskazywała na to, że wbrew jej nadziejom decyzja o ekshumacji ciała Danny'ego wcale nie wpłynęła stabilizująco na jej emocje.

Wstała z łóżka, podeszła do okna i wyrzała na spokojną ulicę, palmy i drzewka oliwne.

Musiała się skupić na niepodważalnych faktach. Wykluczyć bzdurne teorie o tym, że sny zesłała jakaś zewnętrzna siła. Te sny były wyłącznie dziełem jej umysłu.

A ta opowieść grozy?

Dostrzegała tylko jedno racjonalne wytłumaczenie. Na pewno zobaczyła groteskową postać na okładce, kiedy Danny po raz pierwszy przyniósł książkę do domu.

Tylko że tak nie było.

A nawet gdyby wcześniej widziała tę kolorową ilustrację, to była pewna, że nie czytała opowiadania *Chłopiec, który nie umarł*. Przeglądała tylko dwa pierwsze numery, które kupił Danny, gdy próbowała ocenić, czy takie treści mogą mieć na niego szkodliwy wpływ. Sądząc po dacie na okładce, numer zawierający opowiadanie *Chłopiec, który nie umarł* nie był jednym z pierwszych w zbiorach syna. Wydano go dwa lata temu, długo po tym, jak uznała, że horrory są nieszkodliwe.

Wróciła do punktu wyjścia.

Jej sen był wzorowany na obrazach z ilustrowanej opowieści grozy. To wydawało się niepodważalne.

Tylko że ona po raz pierwszy przeczytała tę opowieść kilka minut temu. To także był fakt.

Zła na siebie i sfrustrowana tym, że nie potrafi rozwiązać tej zagadki, odwróciła się od okna. Podeszła do łóżka, żeby ponownie przejrzeć pismo, które tam zostawiła.

Wzdrygnęła się, kiedy pracownik firmy gazowniczej zawołał do niej z frontowej części domu.

Zastała go przy drzwiach wejściowych.

– Skończyłem – oznajmił. – Chciałem tylko dać pani znać, że wychodzę, żeby mogła pani zamknąć za mną drzwi.

– Wszystko w porządku?

– O tak. Jasne. Wszystko jest na swoim miejscu. Jeśli w tej okolicy doszło do wycieku gazu, to na pewno nie u pani.

Podziękowała mu, a on odpowiedział, że tylko wykonuje swoją pracę. Oboje życzyli sobie miłego dnia i Tina zamknęła za nim drzwi.

Wróciła do pokoju Danny'ego i wzięła do ręki barwne czasopismo. Mężczyzna w czerni patrzył na nią łapczywie z okładki.

Usiadła na skraju łóżka i jeszcze raz przeczytała opowiadanie, licząc, że dostrzeże w nim coś ważnego, co przegapiła poprzednio.

Trzy albo cztery minuty później odezwał się dzwonek do drzwi – raz, dwa, trzy, cztery razy, natarczywie.

Zabrała pismo ze sobą i poszła otworzyć. W ciągu dziesięciu sekund, które zajęło jej dotarcie do drzwi, dzwonek odezwał się jeszcze trzykrotnie.

– Co się tak niecierpliwisz? – mruknęła pod nosem.

Ku swojemu zaskoczeniu zobaczyła przez wizjer Elliota stojącego na progu.

Kiedy otworzyła drzwi, wparował do środka na lekko ugiętych nogach, rozejrzał się w lewo i prawo, zerknął w stronę salonu i jadalni, a potem odezwał się nagłym głosem:

– Nic ci nie jest? Wszystko w porządku?

– Tak, wszystko dobrze. Co się stało?

– Jesteś sama?

– Teraz już nie, skoro przyszedłeś.

Zamknął drzwi na zasuwkę.

– Spakuj walizkę.

– Co takiego?

– Obawiam się, że nie jesteś tutaj bezpieczna.

– Elliot... czy to pistolet?

– Tak. Właśnie...

– Prawdziwy pistolet?

– Tak. Odebrałem go facetowi, który próbował mnie zabić.

Była bardziej skłonna uwierzyć w to, że żartuje, niż w to, że naprawdę coś mu groziło.

– Jakiemu facetowi? Kiedy?

– Kilka minut temu. W moim domu.

– Ale...

– Posłuchaj, Tino, chcieli mnie zabić, ponieważ pomagam ci w ekshumacji Danny'ego.

Popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

– O czym ty mówisz?
– O morderstwie. Spisku. O czymś bardzo dziwnym. Zapewne ciebie też zamierzają zabić.

– Przecież to...

– ...szalone – przyznał. – Wiem. Ale prawdziwe.

– Elliot...

– Możesz się szybko spakować?

Początkowo podejrzewała, że chce jej zrobić kawał i udaje, żeby ją rozbawić, więc zamierzała mu powiedzieć, że wcale nie uważa tego za śmieszne. Ale kiedy popatrzyła w jego ciemne, pełne uczucia oczy, zrozumiała, że mówił całkowicie szczerze.

– Mój Boże, Elliot... Ktoś naprawdę próbował cię zabić?

– Opowiem ci o tym później.

– Jesteś ranny?

– Nie, nie. Ale powinniśmy się ukryć, dopóki nie zrozumiemy, co się dzieje.

– Dzwoniłeś na policję?

– Nie jestem pewien, czy to dobry pomysł.

– Dlaczego?

– Możliwe, że oni są w to jakoś zamieszani.

– Zamieszani? Policja?

– Gdzie trzymasz walizki?

Zakręciło jej się w głowie.

– Dokąd jedziemy?

– Jeszcze nie wiem.

– Ale...

– Dalej, pośpiesz się. Spakujmy twoje rzeczy i wnośmy się stąd, zanim pojawi się więcej tych kolesi.

– Trzymam walizki w szafie w sypialni.

Położył dłoń na jej plecach i delikatnie, ale stanowczo wypchnął ją z holu.

Ruszyła do sypialni, oszołomiona i coraz bardziej wystraszona.

Elliot szedł tuż za nią.

– Czy ktoś był tu dziś po południu?

– Tylko ja.

– Nikt nie węszył? Nie dobijał się do drzwi?

– Nie.

– Nie mam pojęcia, dlaczego najpierw przyszli po mnie.

– Był tylko facet od gazu – rzuciła Tina, pośpiesznie idąc krótkim korytarzem do sypialni.

– Kto?

– Technik z firmy gazowniczej.

Kiedy weszli do sypialni, Elliot położył dłoń na jej ramieniu i obrócił ją twarzą do siebie.

– Pracownik firmy gazowniczej?

– Tak, ale nie martw się, sprawdziłam jego dokumenty.

Zmarszczył czoło.

– Przecież jest święto.

– To była sytuacja awaryjna.

– Co się stało?

– Zauważyli zmniejszenie ciśnienia w gazociągu. Podejrzewają, że w tej okolicy mogło dojść do wycieku.

Elliot jeszcze bardziej spochmurniał.

– Ale dlaczego ten facet przyszedł akurat do ciebie?

– Chciał sprawdzić piec, upewnić się, że jest szczelny.

– Wpuściłaś go?

– Jasne. Miał firmowy identyfikator ze zdjęciem. Sprawdził piec i wszystko było w porządku.

– Kiedy to było?

– Wszedł kilka minut temu.

– Ile czasu tutaj spędził?

– Piętnaście, dwadzieścia minut.

– Tak długo sprawdzał piec?

– Chciał to zrobić dokładnie. Powiedział...

– Byłaś przy nim przez cały czas?

– Nie, sprzątałam w pokoju Danny'ego.

– Gdzie jest ten piec?

– W garażu.

– Pokaż.

– A co z walizką?

– Być może nie będzie na to czasu – odparł.

Był blady. Na jego czole pojawiły się kropelki potu.

Tina poczuła, że krew odpływa jej z twarzy.

– Mój Boże, chyba nie sądzisz...

– Piec!

– Tędy.

Wciąż niosąc czasopismo, przebiegła przez dom, mijając kuchnię, i wpadła do pralni. Po drugiej stronie tego wąskiego pomieszczenia znajdowały się drzwi. Kiedy sięgnęła do klamki, poczuła woń gazu w garażu.

– Nie otwieraj drzwi! – ostrzegł Elliot.

Gwałtownie cofnęła rękę, jakby zobaczyła tarantulę.

– Mechanizm zamka może wywołać iskrę – wyjaśnił Elliot. – Wynośmy się stąd. Do drzwi frontowych. No chodź. Szybko!

Pospiesznie wrócili tą samą drogą, którą przyszli.

Tina minęła zieloną półtorametrową szeflerę; pielęgnowała ten kwiat od chwili, gdy był cztery razy mniejszy. Ogarnęła ją szalona chęć, by nie zważając na grożący im wybuch, przystanąć i zabrać go ze sobą. Ale wtedy w jej umyśle pojawiła się wizja karmazynowych oczu i żółtej skóry – paskudnie uśmiechniętego oblicza Śmierci – i ruszyła dalej.

Mocniej zacisnęła lewą dłoń na książce. Nie chciała jej zgubić.

Kiedy dotarli do holu, Elliot szybkim ruchem otworzył drzwi, wypchnął Tinę i oboje wypadli na złociste popołudniowe słońce.

– Na ulicę! – zawołał.

Zobaczyła w myślach mrozący krew w żyłach obraz: dom rozerwany na strzępy przez potężny wybuch, kawałki drewna, szkła i metalu mknące ku niej ze świstem, setki ostrych pocisków przebijających jej ciało od stóp do głów.

Brukowana dróżka przecinająca trawnik przypominała ścieżki ze snów, które ciągną się w nieskończoność, niezależnie od tego, jak szybko próbuje się nimi biec, ale w końcu dotarli do końca i wypadli na ulicę. Mercedes Elliota stał zaparkowany przy krawężniku po drugiej stronie. Kiedy dzieliły ich od niego zaledwie dwa metry, nagle pchnął ją do przodu podmuch wywołany eksplozją. Zatoczyła się i wpadła na bok sportowego auta, boleśnie uderzając się w kolano.

Obróciła się przerażona i zawołała Elliota. Nic mu się nie stało, był tuż za nią; zachwiał się pod wpływem fali uderzeniowej, lecz był cały i zdrowy.

Najpierw wyleciał w powietrze garaż; potężne drzwi wypadły z zawiasów i roztrzaskały się na kawałki na podjeździe, a dach zmienił się w konfetti dachówek i płonących szczątków. Kiedy Tina wodziła wzrokiem między Elliotem a pożarem, jeszcze zanim wszystkie dachówki zdążyły opaść na ziemię, domem wstrząsnął drugi wybuch i obłok ognia z rykiem ogarnął cały budynek, wybijając te kilka szyb, które jakimś cudem przetrwały pierwszą eksplozję.

Tina patrzyła oszołomiona na płomienie, które buchały z okien i podpalały suche liście pobliskiej palmy.

Elliot odepchnął ją od mercedesa, żeby otworzyć drzwi po stronie pasażera.

– Wsiadaj. Szybko!

– Ale mój dom się pali!

– Już go nie uratujesz.

– Musimy poczekać na straż pożarną.

– Im dłużej będziemy tutaj stać, tym łatwiejszy cel stanowimy.

Chwycił ją za rękę i odciągnął od płonącego domu, którego widok działał na nią jak kołyszający się zegarek hipnotyzera.

– Na litość boską, Tino, wsiadaj do samochodu i wynośmy się stąd, zanim zaczniesz się strzelanina.

Wystraszona, oszołomiona tym, jak szybko zaczął się rozpadać jej świat, zrobiła to, o co ją prosił.

Kiedy wsiadła do mercedesa, Elliot zamknął jej drzwi, przebiegł na drugą stronę i zajął miejsce za kierownicą.

– Jesteś cała? – spytał.

Pokiwała głową z otępiałą miną.

– Przynajmniej żyjemy – rzucił.

Położył pistolet na kolanach, lufą do dołu, żeby nie celował w Tinę. Kluczyki tkwiły w stacyjce. Gdy uruchamiał silnik, trzęsły mu się ręce.

Tina wyglądała przez boczną szybę, z niedowierzaniem patrząc na płomienie, które właśnie przenosiły się z rozwalonego garażu na dach domu, liżąc go łapczywie – długie rozjarzone języki ognia, krwistoczerwone w ostatnim pomarańczowym świetle późnego popołudnia.

ODDALAJĄC SIĘ OD PŁONĄCEGO domu, Elliot dawał się prowadzić instynktowi, który teraz był równie wyczulony, jak w czasach jego wojskowej kariery. Stąpał po cienkiej granicy między zwierzęcą czujnością a szalem.

Zerknął w lusterko wsteczne i zobaczył czarną furgonetkę ruszającą spod krawężnika pół przecznicy za nimi.

– Jadą za nami – rzucił.

Tina wciąż patrzyła na swój dom. Teraz obróciła się i wyjrzała przez tylną szybę sportowego auta.

– To na pewno ten drań, który majstrował przy moim piecu.

– Pewnie tak.

– Gdybym dopadła tego sukinsyna, wydrapałabym mu oczy.

Jej wściekłość zaskoczyła i ucieszyła Elliota. Oszołomiona niespodziewaną agresją, utratą domu i otarciem się o śmierć, Tina dotychczas była jak w transie, ale teraz się z niego wyrwała. Jej wytrwałość dodała mu otuchy.

– Zapnij pas – poprosił. – Będziemy szybko jechać.

Obróciła się twarzą do kierunku jazdy i zapięła pas.

– Spróbujesz ich zgubić?

– Nie spróbuję, zrobię to.

W tej mieszkalnej dzielnicy obowiązywało ograniczenie prędkości do czterdziestu kilometrów na godzinę. Elliot wdusił pedał gazu i niski, smukły dwuosobowy mercedes wyrwał do przodu.

Furgonetka szybko została w tyle, dzieliło ich już półtorej przecznicy. Po chwili ona również zaczęła przyspieszać.

– Nie dogoni nas – uspokoił Tinę Elliot. – Może najwyżej próbować nas nie zgubić.

Wzdłuż całej ulicy ludzie wychodzili z domów, wypatrując źródła wybuchu. Oglądali się na pędzącego mercedesa.

Dwie przecznice dalej Elliot zahamował ostro, żeby pokonać zakręt. Opony zapiszczwały i samochód wpadł w poślizg, ale znakomite zawieszenie i układ kierowniczy utrzymały wóz na jezdni.

– Chyba nie zaczną do nas strzelać? – odezwała się Tina.

– Cholera wie. Chcieli, żeby twoja śmierć wyglądała na skutek przypadkowego wybuchu gazu. Dla mnie chyba zaplanowali sfingowane samobójstwo. Ale teraz, kiedy już ich przejrzelśmy, mogą wpaść w panikę i będzie ich stać na wszystko. Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że nie mogą nam pozwolić tak po prostu odejść.

– Ale kto...

– Powiem ci, co wiem, ale później.

– Co oni mają wspólnego z Dannym?

– Później – powtórzył zniecierpliwionym tonem.

– To jakieś szaleństwo.

– Mnie to mówisz?

Pokonał kolejny zakręt, a potem jeszcze jeden, próbując na dłużej zniknąć ludziom w furgonetce z oczu, by nie wiedzieli, którą ulicą pojechał, i zrezygnowali z pościgu. Skręcając na czwartym skrzyżowaniu za późno zauważył znak „ślepa ulica”. Po obu stronach wąskiej uliczki ciągnął się rząd może dziesięciu wykończonych stiukiem skromnych domów.

– Cholera!

– Lepiej się cofnijmy – rzuciła Tina.

– Wpadniemy prosto na nich.

– Masz pistolet.

– Pewnie jest ich kilku i też są uzbrojeni.

Przy piątym domu po lewej zauważył otwarty pusty garaż.

– Musimy zniknąć im z oczu – powiedział.

Wjechał do garażu z taką pewnością, jakby był u siebie. Zgasił silnik, wysiadł z samochodu i podbiegł do bramy. Przez chwilę się z nią mocował, a potem zauważył, że jest zamykana automatycznie.

– Cofnij się – odezwała się Tina za jego plecami.

Wysiadła z samochodu i zdołała znaleźć guzik na ścianie garażu.

Wyjrzał na ulicę. Nie widział furgonetki.

Drzwi opuściły się z dudnieniem, ukrywając ich przed wzrokiem każdego, kto znajdował się na zewnątrz.

– Było blisko – powiedział Elliot, podchodząc do Tiny.

Chwyciła jego dłonie. Miała zimne ręce, ale mocny uścisk.

– Kto to jest, do diabła? – spytała.

– Spotkałem się z Haroldem Kennebeckiem, sędzią, o którym ci wspominałem.

On...

Drzwi łączące garaż z domem otworzyły się bez ostrzeżenia, z ostrym, suchym piskiem nienaoliwionych zawiasów.

Potężny barczysty mężczyzna w wymiętych bawełnianych spodniach i białym podkoszulku zapalił światło i popatrzył na nich z zaciekawieniem. Miał umięśnione ręce; obwód każdej z nich niemal dorównywał obwodowi uda Elliota. Nie było koszul z kołnierzykiem, które mógłby swobodnie zapiąć pod grubą, muskularną szyją. Robił imponujące wrażenie, mimo piwnego brzucha, który wisiał mu nad paskiem.

Najpierw Vince, a teraz ten okaz. To chyba dzień olbrzymów.

– Coście za jedni? – spytał kolos łagodnym głosem, który nie pasował do jego wyglądu.

Elliot miał paskudne przeczucie, że facet zaraz wciśnie guzik, który przed chwilą znalazła Tina, i drzwi garażu otworzą się akurat wtedy, gdy ulicą będzie przejeżdżała czarna furgonetka. Postanowił zyskać na czasie.

– O, cześć. Mam na imię Elliot, a to jest Tina.

– Tom – odrzekł olbrzym. – Tom Polumby.

Tom Polumby najwyraźniej nie był zmartwiony ich obecnością w swoim garażu, jedynie lekko zaskoczony. Mężczyznę jego postury niełatwo przestraszyć; był jak Godzilla stojąca w obliczu żalosnych żołnierzy z bazookami, otaczających skazane na zagładę Tokio.

– Fajna bryka – odezwał się z uznaniem w głosie. Popatrzył pożądliwie na S600.

Elliot prawie się roześmiał. *Fajna bryka!* Wjechali goście do garażu, zaparkowali, zamknęli za sobą drzwi, jakby byli u siebie, a jedyne, co on ma na ten temat do powiedzenia, to *Fajna bryka*.

– Bardzo ładne maleństwo – dodał Tom, kiwając głową i oblizując usta.

Najwyraźniej nie mieściło mu się w głowie, że włamywacze, psychopatyczni mordercy i inne typy spod ciemnej gwiazdy też mogą sobie kupić mercedesa, jeśli tylko mają pieniądze. Wyglądało na to, że w jego opinii każdy, kto jeździ mercem, musi być w porządku.

Elliot zastanawiał się, jak ten facet by zareagował, gdyby wparowali mu do garażu starym poobijanym chevroletem.

Tom wreszcie oderwał zaciekawiony wzrok od samochodu.

– Co tutaj robicie? – W jego głosie nie było podejrzliwości ani agresji.

– Byliśmy umówieni – odrzekł Elliot.

– Co takiego? Ja się z nikim nie umawiałem.

– Przyjechaliśmy... w sprawie łodzi – odparł Elliot, chociaż nie miał pojęcia, jak dalej poprowadzić tę rozmowę. Był gotów powiedzieć cokolwiek, byle tylko gość

nie otworzył drzwi garażu i ich nie wyrzucił.

Tom zamrugał.

– Jakiej łodzi?

– Sześciometrowej.

– Nie mam sześciometrowej łodzi.

– Chodzi o tę z silnikiem Evinrude.

– Niczego takiego tutaj nie ma.

– Na pewno się pan myli – nie ustępował Elliot.

– Chyba przyjechaliście w niewłaściwe miejsce. – Tom wszedł do garażu i sięgnął do guzika otwierającego drzwi.

– Panie Polumby, niech pan zaczeka – odezwała się Tina. – To naprawdę jakaś pomyłka. Na pewno przyjechaliśmy we właściwe miejsce.

Ręka Toma zatrzymała się przed guzikiem.

– Umówiliśmy się z kimś innym, nie z panem – ciągnęła Tina. – I ta osoba pewnie nie wspomniała panu o łodzi.

Elliot zamrugał, zaskoczony jej naturalnym talentem do kłamania.

– A z kim mieliście się spotkać? – spytał Tom, marszcząc czoło.

Sama się sobie dziwiąc, Tina bez wahania odrzekła:

– Z Solem Fitzpatrickiem.

– Tutaj nie mieszka nikt o takim nazwisku.

– Ale podał nam właśnie ten adres. Powiedział, że drzwi garażu będą otwarte i mamy wjechać do środka.

Elliot miał ochotę ją uściskać.

– Właśnie. Sol poprosił, żebyśmy nie parkowali na podjeździe, aby miał gdzie postawić łódź, kiedy ją przywiezie.

Tom podrapał się w głowę i pociągnął się za ucho.

– Fitzpatrick?

– Tak.

– Nigdy o kimś takim nie słyszałem – odparł. – Dlaczego ma przywieźć tę łódź tutaj?

– Kupujemy ją od niego – wyjaśniła Tina.

Tom pokręcił głową.

– Chodzi mi o to, dlaczego właśnie tutaj?

– Hm... z tego, co zrozumiałem, właśnie tutaj mieszka – odpowiedział Elliot.

– Ale tak nie jest – zaprotestował Tom. – Ja tutaj mieszkam. Ja, moja żona i nasza córeczka. Teraz nie ma ich w domu. Na pewno nigdy nie mieszkał tu nikt o nazwisku Fitzpatrick.

– Więc dlaczego powiedział, że to jego adres? – spytała Tina, unosząc brwi.
– Paniusiu, nie mam zielonego pojęcia – odpowiedział Tom. – Chyba że...
Zapłaciliście mu już za tę łódź?

– No...

– Albo daliście zaliczkę? – dopytywał Tom.

– Daliśmy mu dwa tysiące dolarów – odparł Elliot.

– To zaliczka zwrotna – dodała Tina.

– Właśnie, żeby nie sprzedawał łodzi, dopóki jej nie obejrzymy i nie podejmiemy decyzji.

Tom się uśmiechnął.

– Obawiam się, że ta zaliczka może się jednak okazać bezzwrotna.

– Chyba pan nie sądzi, że pan Fitzpatrick mógł nas oszukać! – powiedziała Tina z udawanym zdziwieniem.

Toma najwyraźniej ucieszyło to, że ludzie, których stać na mercedesa, wcale nie są tacy sprytni.

– Jeśli daliście mu dwa kafle, a on podał wam ten adres i mówił, że tutaj mieszka, to śmiem wątpić, czy ten cały Sol Fitzpatrick w ogóle ma jakąś łódź.

– Cholera – jęknął Elliot.

– Zostaliśmy oszukani? – spytała Tina, odgrywając szok i grając na czas.

Wielkolud szeroko się uśmiechał.

– Jeśli chcecie, możecie tak na to patrzeć. Albo możecie to uznać za cenę lekcję, której udzielił wam pan Fitzpatrick.

– Oszukani – szepnęła Tina, kręcąc głową.

– To tak pewne jak to, że jutro wszędzie słońce – rzucił Tom.

Tina odwróciła się do Elliota.

– Co o tym sądzisz?

Zerknął na drzwi garażu, a potem na zegarek.

– Chyba już możemy bezpiecznie wyjść.

– Bezpiecznie? – zdziwił się Tom.

Tina minęła Toma Polumby'ego i wcisnęła guzik otwierający drzwi garażu. Uśmiechnęła się do oszołomionego gospodarza, po czym podeszła do drzwi po stronie pasażera, a Elliot otworzył drzwi kierowcy.

Polumby ze zdziwioną miną wodził wzrokiem między nimi.

– Bezpiecznie?

– Mam nadzieję, że tak, Tom – odrzekł Elliot. – Dzięki za pomoc. – Wsiadł do auta i wyjechał tyłem z garażu.

Rozbawienie tym, jak sobie poradzili z Polumbym, natychmiast wyparowało, gdy ostrożnie wycofywał samochód z ich schronienia. Elliot siedział sztywno za kierownicą, zaciskając zęby; zastanawiał się, czy wystrzelony pocisk za chwilę nie przebije przedniej szyby i nie trafi go w twarz.

Nie przywykł do takiego napięcia. Fizycznie wciąż był tak twardy jak w swoich najlepszych czasach, ale wyraźnie zmiękł psychicznie, odkąd zakończył służbę w wywiadzie wojskowym. Minęło wiele lat od wypełnionych lękiem nocy w Zatoce Perskiej i niezliczonych miastach rozsianych po Bliskim Wschodzie i Azji. Wtedy miał wytrzymałość młodzieńca i nie czuł respektu wobec śmierci. Z przyjemnością bawił się w myśliwego, a nawet znajdował przyjemność w byciu zwierzyną, ponieważ wtedy mógł pokazać, że potrafi przechytrzyć łowcę, który jest na jego tropie. Od tamtej pory wiele się zmieniło. Zmiękł. Został cywilizowanym wziętym prawnikiem. Żył jak pączek w maśle. Nie spodziewał się, że jeszcze kiedyś wróci do gry. I oto, ku jego zaskoczeniu, znów ktoś go tropił, a on nie wiedział, jak długo zdoła przeżyć.

Tina rozejrzała się wokoło, gdy zjechali z podjazdu na ulicę.

– Nie widać czarnej furgonetki – powiedziała.

– Na razie.

Na północy, w odległości kilku przecznic, brzydki słup dymu unosił się w ciemniejące niebo nad zgliszczami domu Tiny. Kłębił się, czarny jak noc; tylko na gorze barwiły go ostatnie różowe promienie zachodzącego słońca.

Przemierzając kolejne uliczki mieszkalnej dzielnicy, stale oddalając się od dymu i kierując się ku głównej drodze, na każdym skrzyżowaniu Elliot spodziewał się ujrzeć czarną furgonetkę.

Tina najwyraźniej z większym optymizmem postrzegała ich szanse ucieczki. Za każdym razem, gdy na nią zerkał, pochylała się do przodu, lustrując wzrokiem ulice, w które wjeżdżali, albo odwrócona, wyglądała przez tylną szybę. Miała ściągniętą twarz i przygryzała dolną wargę.

Kiedy dotarli do Charleston Boulevard – po drodze pokonawszy Maryland Parkway, Sahara Avenue i Las Vegas Boulevard – powoli zaczęli się odprężyć. Byli już daleko od domu Tiny. Nieważne, kto ich szukał, nieważne, jak potężna organizacja wzięła ich na cel, to miasto było zbyt duże, żeby za każdym rogiem mogło czaić się niebezpieczeństwo. Liczące ponad milion mieszkańców, odwiedzane przez ponad dwadzieścia milionów turystów rocznie i otoczone rozległą pustynią Las Vegas zapewniało tysiące kryjówek, w których dwoje uciekinierów mogło bezpiecznie się zatrzymać, by złapać oddech i zaplanować dalsze działanie.

Przynajmniej na to liczył Elliot.

– Dokąd teraz? – spytała Tina, kiedy skręcił na zachód w Charleston Boulevard.

– Pojedźmy tą drogą przez kilka kilometrów i porozmawiajmy. Mamy wiele do omówienia. Musimy obmyślić plan.

– Jaki plan?

– Jak przeżyć.

ELLIOT PROWADZIŁ, OPOWIADAJĄC TINIE o tym, co się stało w jego domu: o wizycie dwóch zbirów i ich zainteresowaniu ekshumacją ciała Danny'ego, o tym, że się przyznali, że pracują dla jakiejś agencji rządowej, o strzykawkach...

– Może powinniśmy pojechać do ciebie – zaproponowała Tina. – Jeśli ten Vince wciąż tam jest, naszprycujemy go narkotykami, które przynieśli. Być może nie ma pojęcia, dlaczego jego szefowie interesują się ekshumacją, ale przynajmniej będzie wiedział, kim oni są. Poznamy nazwiska. Z pewnością wiele możemy się od niego dowiedzieć.

Zatrzymali się na czerwonym świetle. Elliot ujął jej rękę. Kontakt fizyczny z Tiną dodawał mu sił.

– Jasne, że chciałbym go przepyttać, ale nie możemy tego zrobić. Prawdopodobnie już go tam nie ma. Odzyskał przytomność i się zmył. I nawet jeśli nie uświadom go tak głęboko, jak myślałem, z pewnością ktoś po niego przyszedł i zabrał go, gdy jechałem do ciebie. Pojechanie do mojego domu byłoby jak wdepnięcie w gniazdo żmij. Na pewno go obserwują.

Światła zmieniły się na zielone i Elliot niechętnie puścił jej dłoń.

– Ci ludzie mogą nas dopaść tylko w jeden sposób – podjął. – Wtedy, gdy sami oddamy się w ich ręce. Bez względu na to, kim są, na pewno nie są wszechwiedzący. Możemy się przed nimi ukrywać przez długi czas, jeśli będzie trzeba. A jeżeli nas nie znajdą, nie będą mogli nas zabić.

Jechali dalej na zachód Charleston Boulevard.

– Mówiłeś, że nie możemy pójść z tym na policję – przypomniała mu Tina.

– Zgadza się.

– Dlaczego?

– Być może gliny biorą w tym udział, przynajmniej w takim stopniu, w jakim szefowie Vince'a mogą wywierać nacisk na policję. Poza tym mamy do czynienia z agencją rządową, a te z reguły ze sobą współpracują.

– To jakaś paranoja.

– Wielki Brat patrzy. Jeśli mają w kieszeni sędziego, to dlaczego nie kilku gliniarzy?

– Przecież mówiłeś, że szanujesz Kennebecka. Powiedziałeś, że jest dobrym sędzią.

– Bo jest. Doskonale zna prawo i jest sprawiedliwy.

– Więc dlaczego współpracuje z tymi zabójcami? Dlaczego sprzeniewierza się powadze swojego urzędu?

– Agentem nigdy nie przestaje się być – odparł Elliot. – To maksimum tych służb, nie moja, ale w wielu wypadkach się sprawdza. Niektórzy z nich potrafią być lojalni tylko wobec swoich organizacji. Kennebeck pracował w różnych agencjach wywiadowczych. Żył w tym świecie przez trzydzieści lat. Gdy dziesięć lat temu jako pięćdziesięcioletni przeszedł na emeryturę, był w sile wieku i potrzebował czegoś, co zajmie mu czas. Miał dyplom z prawa, ale nie uśmiechała mu się codzienna praktyka w kancelarii. Dlatego zgłosił swoją kandydaturę na urząd sędziego i tak się złożyło, że wygrał. Uważam, że podchodzi poważnie do swojej pracy. Jednak agentem wywiadu był znacznie dłużej niż sędzią, a natura ciągnie wilka do lasu. Może zresztą tak naprawdę wcale nie przeszedł na emeryturę. Może wciąż jest na liście płac jakiejś agencji wywiadowczej. Może tylko udawał, że odchodzi, i objął stanowisko sędziego w Vegas, żeby jego szefowie mieli tu wtyczkę.

– Czy to możliwe? To znaczy, czy mogli przewidzieć wynik wyborów?

– Może je ustawili.

– Nie mówisz tego poważnie, prawda?

– Pamiętasz, jak jakieś dziesięć lat temu teksański członek komisji wyborczej ujawnił, że pierwsze lokalne wybory, w których startował późniejszy prezydent Lyndon Johnson, były ustawione? Facet powiedział, że chciał po latach oczyścić sumienie. Równie dobrze mógł nic nie mówić, bo i tak prawie nikim to nie wstrząsnęło. Każdy wie, że takie przekręty od czasu do czasu się zdarzają. A w małych lokalnych wyborach jak te, w których zwyciężył Kennenbeck, gdy masz za sobą poparcie rządowe i kupę szmalu, wykręcenie takiego numeru byłoby łatwizną.

– Tylko dlaczego woleli mieć go w sądzie w Vegas, a nie na przykład w Waszyngtonie, Nowym Jorku albo w jakimś innym ważniejszym mieście?

– Och, Vegas jest bardzo ważnym miastem – odparł z naciskiem Elliot. – Jeśli chcesz wyprać brudne pieniądze, tu znacznie łatwiej to zrobić. Jeśli chcesz kupić fałszywy paszport, podrobione prawo jazdy albo jakiś inny lipny dokument, masz do wyboru kilku najlepszych fałszerzy na świecie, ponieważ mieszkają właśnie tutaj. Jeśli szukasz zabójcy do wynajęcia, handlarza nielegalną bronią albo najemnika, który może zmontować siły ekspedycyjne do operacji gdzieś za

granicą, możesz ich znaleźć w Vegas. Prawo Nevady jest znacznie mniej restrykcyjne niż w innych stanach. Podatki są niskie. Nie ma czegoś takiego jak stanowy podatek dochodowy. Przepisy dotyczące banków, agencji nieruchomości i innych przedsiębiorstw, z wyjątkiem kasyn, są mniej uciążliwe niż gdzie indziej, co jest korzystne dla każdego, ale szczególnie atrakcyjne dla ludzi chcących wydać albo zainwestować brudne pieniądze. Nevada gwarantuje większe swobody osobiste niż reszta kraju, co zresztą moim zdaniem nie jest złe. Ale tam, gdzie masz dużo swobód, wykorzystuje się liberalny system prawny. Dlatego też są w Vegas ważne biura terenowe wszystkich amerykańskich agencji wywiadowczych.

– Więc naprawdę Wielki Brat patrzy.
– Niestety, trzeba się z tym liczyć.
– Ale jeśli nawet mocodawcy Kennebecka mają wpływy w tutejszej policji, to czy gliniarze pozwoliliby nas zabić? Czy naprawdę posunęliby się tak daleko?
– Pewnie nie mogliby nam zapewnić dostatecznej ochrony, żeby temu zapobiec.
– Jaka agencja rządowa do tego stopnia obchodzi prawo? I jest gotowa zabijać niewinnych cywilów, którzy weszli jej w drogę?

– Wciąż staram się to rozwikłać. I przyznam, że mam stracha.

Zatrzymali się na kolejnych światłach.

– Więc co radzisz? – zapytała Tina. – Mamy sami się tym zająć?

– Przynajmniej na razie.

– Przecież to beznadziejna sprawa! Niby jak mamy to zrobić?

– Wcale nie jest beznadziejna.

– Dwoje zwyczajnych ludzi przeciwko organizacji zabójców?

Elliot spojrział w lusterko wsteczne, co robił mniej więcej raz na minutę, odkąd skręcili w Charleston Boulevard. Nikt ich nie śledził, ale wołał się upewniać.

– Nie jest beznadziejnie – powtórzył. – Po prostu potrzebujemy czasu, żeby wszystko przemyśleć i opracować plan działania. Może znajdziemy jakąś pomoc.

– Na przykład czyją?

Światła zmieniły się na zielone.

– Na przykład gazety. – Przyśpieszył na skrzyżowaniu, znów spoglądając w lusterko. – Mamy dowody, że dzieje się coś niezwykłego: pistolet z tłumikiem, który zabrałem Vince'owi, wybuch w twoim domu... Jestem pewien, że znajdziemy dziennikarza, który nam uwierzy i napisze artykuł o tym, że banda anonimowych osobników chce nas powstrzymać przed otwarciem grobu Danny'ego i że za tragedią w Sierra Nevada może się kryć naprawdę coś dziwnego. Wtedy mnóstwo ludzi zażąda ekshumowania ciał wszystkich chłopców. Podniosą się żądania, żeby przeprowadzić autopsje, wszcząć dochodzenie. Szefowie Kennebecka nie zechcą

dopuścić do tego, żebyśmy zasiali ziarno wątpliwości co do oficjalnej wersji tamtego zdarzenia. Ale kiedy to nastąpi, gdy rodzice innych skautów wraz z całym miastem zaczną głośno domagać się śledztwa, wyeliminowanie nas już nic nie da kumplom Kennebecka. Sytuacja nie jest beznadziejna, Tino, a składanie broni jest do ciebie niepodobne.

Westchnęła.

– Nie zamierzam się poddać.

– To dobrze.

– Nie spocznię, dopóki się nie dowiem, co spotkało Danny’ego.

– Tak już lepiej. Teraz mówisz bardziej jak Christina Evans, którą znam.

Zmierzch przechodził w noc. Elliot włączył światła.

– Po prostu... – zaczęła Tina – przez cały rok próbowałam pogodzić się z tym, że Danny zginął w tym głupim cholernym wypadku. I akurat wtedy, kiedy zaczęłam myśleć, że jakoś dam sobie radę i zostawię tę tragedię za sobą, odżyła we mnie nadzieja, że może Danny wcale nie zginął. I nagle wszystko znów stanęło pod znakiem zapytania.

– Znajdziemy wyjaśnienie.

– Na pewno?

– Tak. Dotrzemy do sedna sprawy.

Elliot zerknął w lusterko.

Nic podejrzanego.

Czuł, że Tina mu się przypatruje.

– Wiesz co? – odezwała się po dłuższej chwili.

– Co?

– Myślę... myślę, że w pewien sposób to naprawdę cię bawi.

– Co mnie bawi?

– Polowanie.

– O nie. Nie bawi mnie rozbrajanie ludzi o połowę większych niż ja.

– Nie wątpię. Ale nie to powiedziałam.

– I mogę ci zagwarantować, że to nie z mojego wyboru miłe, spokojne, ciche życie, które wiodłem, zostało wywrócone do góry nogami. Wolałem być zadowolonym, praworządnym, znudzonym obywatelem niż uciekinierem.

– Nie twierdzę, że właśnie to byś wybrał, gdyby to zależało od ciebie. Ale skoro tak się stało, skoro to wszystko spadło ci na głowę, wcale nie jesteś z tego powodu nieszczęśliwy. W głębi duszy takie wyzwanie sprawia ci przyjemność.

– Bzdura.

– Odezwał się jakiś zwierzęcy instynkt... zyskałeś nowy rodzaj energii, jakiego nie miałeś jeszcze dziś rano.

– Jedyna zmiana polega na tym, że rano się nie bałem, a teraz mam cholernego pietra.

– Strach jest częścią tego przeobrażenia – powiedziała. – Niebezpieczeństwo trafiło we właściwą strunę.

Uśmiechnął się.

– Stare dobre dni wywiadu i kontrwywiadu? Przykro mi, ale nie, wcale za nimi nie tęsknię. Nie jestem urodzonym człowiekiem czynu, wojownikiem. Jestem po prostu sobą, taki sam jak zawsze.

– Tak czy inaczej, cieszę się, że mam cię u boku.

– A ja wolę mieć cię na sobie – zażartował i puścił do niej oko.

– Zawsze miałeś takie kosmate myśli?

– Nie. Musiałem je wyhodować.

– Żarty w samym środku katastrofy...

– Śmiech jest balsamem na rany, najlepszą obroną przed rozpaczą, jedynym lekarstwem na melancholię.

– Kto to powiedział? – zapytała. – Szekspir?

– Zdaje się, że Groucho Marx.

Tina pochyliła się i podniosła coś, co leżało na podłodze między jej stopami.

– No i jeszcze to cholerstwo.

– Co tam masz?

– Zabrałam to z pokoju Danny'ego – odparła.

Podczas gorączkowej ucieczki z jej domu, który chwilę później eksplozja gazu zrównała z ziemią, Elliot nie zauważył, że Tina coś trzymała. Teraz zaryzykował szybki rzut okiem, odrywając uwagę od drogi, ale w samochodzie było za ciemno i niewiele zobaczył.

– Nie widzę, co to.

– Komiksowy horror – odparła. – Znalazłam go, kiedy porządkowałam pokój Danny'ego. Był w pudełku z mnóstwem innych komiksów.

– No i?

– Pamiętasz, jak ci mówiłam o tych koszmarnych snach?

– Tak, pewnie.

– Potwór z moich snów jest na okładce tego komiksu. To on. Kropka w kropkę.

– W takim razie musiałaś już widzieć ten komiks i po prostu...

– Nie. Sama próbowałam w ten sposób to sobie tłumaczyć, ale wiem, że nigdy wcześniej go nie widziałam, do dzisiaj. Jestem tego pewna. Przejrzałam kolekcję

Danny'ego. Nigdy nie sprawdzałam, co kupował w kiosku. Nigdy go nie kontrolowałam.

– Może... – zaczął.

– Zaczekaj – przerwała mu. – Jeszcze ci nie powiedziałam najgorszego.

Natężenie ruchu malało, gdy oddalali się od centrum miasta, zmierzając ku czarnym górcom rysującym się na tle fioletowego zachodniego nieboskłonu.

Streściła opowiadanie *Chłopiec, który nie umarł*.

Podobieństwa między fabułą opowiadania grozy a ich wysiłkami, które miały na celu doprowadzenie do ekshumacji zwłok Danny'ego, zmroziły mu krew w żyłach.

– I teraz – ciągnęła Tina – tak jak w tej historyjce Pan Śmierć próbował powstrzymać rodziców, tak ktoś próbuje mi uniemożliwić otworzenie grobu syna.

Byli już daleko od miasta. Po obu stronach drogi czaiła się wygłodniała ciemność. Teren wznosił się ku odległej o niespełna godzinę jazdy górce Charleston, gdzie na zboczach bieleły pokryte śniegiem sosnowe lasy. Nagle Elliot zawrócił i ruszył ku światłom miasta, które rozpościerało się niczym rozjarzona ogromna narośl na czarnej pustynnej równinie.

– Są pewne podobieństwa – przyznał.

– Żebyś wiedział. I jest ich zbyt wiele.

– Jest również jedna wielka różnica. W komiksie chłopiec został pogrzebany żywcem.

– Ale to jedyna różnica między fabułą opowiadania a tym, przez co przechodzimy. Do tego masz w tytule słowa *nie umarł*. I bohater jest mniej więcej w wieku Danny'ego. To mnie po prostu przerasta.

Przez jakiś czas jechali w milczeniu.

Przerwał je Elliot.

– Masz rację. To nie może być zbieg okoliczności.

– W takim razie jak można to wyjaśnić?

– Nie wiem.

– Witaj w klubie.

Z mroku wyłonił się przydrożny bar i zjechali z drogi. Lampa przy wjeździe rzucała nieostre fioletowawe światło na jedną trzecią parkingu. Elliot okrążył restaurację i zaparkował mercedesa w najgłębsze cienie pomiędzy toyotą celicą i małym samochodem kempingowym, tak by nie było ich widać z ulicy.

– Zgłodniałaś? – zapytał.

– Konam z głodu. Ale może najpierw przejrzymy tę listę pytań, na które miałeś odpowiedzieć tym draniom.

– Zrobimy to w środku – odparł. – Światło będzie lepsze. Zdaje się, że nie ma tu zbyt dużego ruchu. Będziemy mogli spokojnie porozmawiać bez obawy, że ktoś nas podsłucha. I zabierz ten komiks. Chcę zerknąć na to opowiadanie.

Gdy wysiadł z samochodu, jego uwagę przyciągnęło okno samochodu kempingowego, obok którego zaparkowali. Zmrużył powieki, zaglądając przez szybę do idealnie czarnego wnętrza. Opadło go niepokojące wrażenie, że ktoś się tam ukrywa i śledzi jego ruchy.

Nie wpadaj w paranoję, przestrzegł sam siebie.

Kiedy się odwrócił, jego wzrok padł na kałuże gęstego cienia przy koszu na śmieci pod ścianą restauracji i znów ogarnęło go uczucie, że jest obserwowany.

Powiedział w drodze, że szefowie Kennebecka nie są wszechwiedzący. Powinien sam o tym pamiętać. On i Tina najwyraźniej mieli przeciwko sobie potężną, nieliczącą się z prawem, niebezpieczną organizację, której piekielnie zależało na zachowaniu w tajemnicy prawdy o tragedii w Sierra Nevada. Ale w agencjach rządowych pracują zwyczajni mężczyźni i kobiety, którzy w przeciwieństwie do Boga nie są wszechwidzący.

A jednak...

Idąc przez parking, nie mógł się pozbyć wrażenia, że ktoś albo coś ich obserwuje. Niekoniecznie człowiek. Po prostu coś – coś bardzo dziwnego i niesamowitego. Coś, co jednocześnie było czymś więcej i czymś mniej niż człowiek. Była to osobliwa myśl, zupełnie inna niż wszystkie inne, jakie zwykle legły mu się w głowie, co ani trochę mu się nie podobało.

Tina zatrzymała się, gdy dotarli do kręgu fioletowego światła pod lampą. Obejrzała się na samochód i jej twarz zastygła w dziwnym grymasie.

– Co się stało? – zapytał Elliot.

– Nie wiem...

– Widzisz coś?

– Nie.

Oboje spoglądali w cienie.

– Czujesz? – zapytała w końcu.

– Co?

– Miałam... Przeszły mnie ciarki.

Nie odezwał się.

– Czujesz to samo, prawda? – zapytała.

– Tak – odparł.

– Jakbyśmy nie byli sami.

– To wariactwo, jednak faktycznie czuję na sobie czyjś wzrok.

Tina zadrżała.

– Ale przecież nikogo tu nie ma.

– Nie. Nie sądzę, żeby ktoś tu był.

Wpatrywali się w atramentową czerń nocy, szukając wzrokiem jakiegoś ruchu.

– Może oboje pękamy z powodu napięcia? – odezwała się Tina.

– Tak, to tylko nerwy – zgodził się z nią, choć nie był do końca przekonany, czy można obwiniać tylko ich wyobraźnię.

Zerwał się łagodny chłodny wiatr, niosący ze sobą zapach suchych pustynnych roślin i piasku. Syczał w liściach pobliskiej palmy daktylowej.

– To uczucie jest takie silnie – powiedziała Tina. – I wiesz, co mi przypomina? To samo, co czułam w biurze Angeli, kiedy komputer włączył się sam z siebie. Czuję nie tylko to, że ktoś mnie obserwuje, ale coś więcej... obecność... jakby coś, czego nie widzę, stało tuż za moimi plecami. Czuję ciężar tego czegoś, dziwny napór powietrza, jakby coś się nade mną piętrzyło.

Elliot dobrze wiedział, o co jej chodzi, ale nie chciał o tym myśleć, ponieważ w żaden sposób nie potrafił tego ogarnąć rozumem. Wolał mieć do czynienia z suchymi faktami; właśnie dlatego był doskonałym prawnikiem, dlatego był taki dobry w rozplątywaniu nici dowodów i tkaniu z nich spójnej linii obrony.

– Oboje jesteśmy wyczerpani nerwowo – zasugerował.

– Takie wyjaśnienie nie zmienia moich odczuć.

– Chodźmy coś zjeść.

Stała jeszcze przez chwilę, patrząc w mrok, gdzie nie sięgało światło lampy.

– Tino...?

Podmuch wiatru poruszył biegaczem – suchą, oderwaną od podłoża rośliną – i potoczył go po asfalcie.

W ciemności nad ich głowami przemknął ptak. Elliot go nie widział, ale usłyszał łopot skrzydeł.

Tina odchrząknęła.

– Jest tak, jakby... jakby sama noc na nas patrzyła... noc, cienie, oczy ciemności.

Wiatr zmierzył włosy Elliota. Zagrzecotał poluzowaną pokrywę kosza na śmieci i zakołysał dużym neonem pomiędzy dwiema flagami.

W końcu weszli do restauracji, powstrzymując się od spoglądania przez ramię.

DŁUGĄ SALĘ W KSZTAŁCIE litery L wypełniały lśniące powierzchnie: chrom, szkło, plastik, żółty laminat i czerwony winyl. Szafa grająca odtwarzała piosenkę country w wykonaniu Gartha Brooksa i muzyka mieszała się w powietrzu z aromatem smażonych jaj, bekonu i kielbasek. Zgodnie z rytmem życia Vegas ktoś właśnie zaczynał dzień od pożywnego śniadania. Tinie ślinka nabiegła do ust, gdy tylko przestąpiła próg.

Jedenastu klientów skupiło się w dłuższej części knajpki, w pobliżu wejścia; pięciu siedziało na stołkach przy barze, sześciu w czerwonych boksach. Elliot i Tina zajęli miejsca jak najdalej od nich, w ostatnim boksie w krótszym skrzydle.

Ruda kelnerka, która do nich podeszła, Elvira, miała okrągłą twarz, dołeczki w policzkach i oczy połyskujące tak, jakby je ktoś nawoskował. Mówiła z silnym teksańskim akcentem, przeciągając samogłoski. Zamówili cheeseburgery, frytki, surówkę z kapusty i piwo Coors.

– Przejrzyjmy papiery, które zabrałeś tamtemu facetowi – zaproponowała Tina, gdy Elvira odeszła i zostali sami.

Elliot wyjął je z kieszeni, rozprostował i położył na stoliku. Były to trzy kartki, każda zawierała dziesięć, dwanaście pytań.

Pochylili się, siedząc naprzeciwko siebie, i czytali w milczeniu.

1. Jak długo znasz Christinę Evans?
2. Dlaczego Christina Evans zwróciła się do ciebie, a nie do innego prawnika w sprawie ekshumacji zwłok syna?
3. Z jakiego powodu wątpi w oficjalną wersję okoliczności śmierci syna?
4. Czy ma jakieś dowody, że oficjalna wersja nie jest prawdziwa?
5. Jeśli ma dowody, to jakie?
6. Skąd ma te dowody?
7. Czy kiedykolwiek słyszałeś o projekcie Pandora?
8. Czy dostaliście, ty albo Christina Evans, jakieś materiały nawiązujące do wojskowego ośrodka badawczego w Sierra Nevada?

Elliot oderwał wzrok od kartki.

- Słyszałaś o projekcie Pandora?
- Nie.
- A o tajnych laboratoriach w Sierra Nevada?
- Jasne. Pani Neddler mi o nich mówiła.
- Pani Neddler?
- Moja sprzątaczką.
- Żarty się siebie trzymają.
- I to w takim momencie.
- Balsam dla cierpiących, lekarstwo na melancholię.
- Groucho Marx – powiedziała.
- Najwyraźniej uważają, że ktoś z projektu Pandora zaczął sypać.
- Czy w takim razie to ten ktoś był w pokoju Danny’ego? Czy ktoś z projektu Pandora pisał na tablicy... a później bawił się komputerem w biurze w hotelu?
- Możliwe – powiedział Elliot.
- Ale w to nie wierzysz.
- Hm... jeśli kogoś gryzło sumienie, dlaczego nie zwrócił się do ciebie bezpośrednio?
- Może się bał. Najpewniej nie bez powodu.
- Możliwe – powtórzył. – Ale przeczuwam, że wyjaśnienie jest bardziej skomplikowane.

Szybko przejrzeni pozostałe pytania, ale żadne nie wniosło niczego odkrywczego. Większość z nich dotyczyła tego, co Tina wie o wypadku w górach, co powiedziała Elliotowi i Michaelowi, z iloma osobami o tym rozmawiała. Nie znaleźli żadnych intrygujących informacji na temat projektu Pandora, żadnych wskazówek ani tropów.

Elvira przyniosła dwie pokryte szronem szklanki i lodowate butelki coorsa.

Z szafy grającej leciała rzewna piosenka Alana Jacksona.

Elliot napił się piwa i przewertował komiks Danny’ego.

– Niesamowite – rzucił, gdy przebiegł wzrokiem opowiadanie *Chłopiec, który nie umarł*.

– Uznałbyś to za jeszcze bardziej niesamowite, gdybyś sam śnił te koszmary – powiedziała Tina. – Więc co teraz robimy?

– Na pogrzebie trumna Danny’ego była zamknięta. Czy tak samo było w przypadku pozostałych trzynastu skautów?

– Mniej więcej połowa ciał nie została wystawiona – odparła.

– To znaczy, że rodzice nie widzieli swoich dzieci?

– Nie, widzieli. Wszystkich poproszono o zidentyfikowanie zwłok, ale niektóre były w tak strasznym stanie, że zakład pogrzebowy nie mógł ich przygotować do wystawienia w trumnie. Tylko mnie i Michaelowi usilnie odradzano oglądanie syna. Tłumaczyli, że jako jedyny był... aż tak potwornie zmasakrowany.

Nawet teraz po ponad roku na samą myśl o ostatnich chwilach syna na ziemi – o jego przerażeniu i potwornym bólu, nawet jeśli trwał tylko sekundę – smutek i rozpacz ścisnęły ją za gardło. Zamrugła, żeby przepędzić łzy, i wypila łyk piwa.

– Cholera – mruknął Elliot.

– Co?

– Myślałem, że możemy szybko zyskać sprzymierzeńców wśród innych rodziców. Gdyby nie widzieli ciał swoich dzieci, być może tak jak ciebie od roku nękałyby ich wątpliwości. Wtedy łatwiej byłoby ich namówić, żeby połączyli siły z nami i zażądali otwarcia grobów. Gdyby podniosły się liczne głosy, szefowie Vince'a nie mogliby ryzykować, uciszając nas wszystkich, a wtedy bylibyśmy bezpieczni. Skoro jednak inni rodzice mieli okazję zobaczyć zwłoki i żaden z nich nie ma powodów wątpić, to po prostu nauczyli się żyć z tą tragedią. Jeśli teraz do nich pójdziemy z dziką opowieścią o tajemniczym spisku, nie będą chcieli nas słuchać.

– Więc wciąż jesteśmy sami.

– Tak.

– Mówiłeś, że możemy pójść do prasy, spróbować wzbudzić zainteresowanie. Masz na myśli kogoś konkretnego?

– Znam kilku miejscowych z tej branży – odparł. – Ale może zwracanie się z tym do lokalnych mediów nie jest najmądrzejszym pomysłem. Możliwe, że właśnie tego spodziewają się po nas szefowie Vince'a. Jeśli czekają i obserwują, będziemy martwi, zanim zdążymy powiedzieć więcej niż dwa zdania. Sądzę, że lepiej to zrobić w innym mieście, z tym że najpierw chciałbym zdobyć więcej faktów.

– Nie mówiłeś, że mamy dość, żeby zainteresować jakiegoś dobrego dziennikarza? Pistolet, który zabrałeś temu mężczyźnie... mój dom wysadzony w powietrze...

– Możliwe, że to wystarczy, na pewno gazecie w Las Vegas. To miasto wciąż pamięta grupę Jaborskiego, wypadek w górach. To była lokalna tragedia. Jeśli jednak pójdziemy do prasy w Los Angeles, Nowym Jorku albo jakimś innym wielkim mieście, nikt się nie zainteresuje naszą opowieścią, jeśli nie dostrzeże w niej czegoś, co wyniesie ją z kategorii wiadomości lokalnych do rangi ogólnokrajowych. Być może już mamy dość informacji, żeby przekonać media o powadze sprawy. Nie jestem jednak pewien, chciałbym mieć stuprocentową

pewność, zanim spróbujemy ją nagłośnić. Byłoby idealnie, gdybym mógł przekazać mediom zapiętą na ostatni guzik teorię o tym, co rzeczywiście zdarzyło się w górach, coś sensacyjnego, co byłoby punktem zaczepienia.

– Na przykład?

Elliot pokręcił głową.

– Jeszcze nic nie wykombinowałem, ale według mnie najbardziej oczywiste jest to, że skauci i ich opiekunowie zobaczyli coś, czego nie powinni widzieć.

– Projekt Pandora?

Pociągnął łyk piwa i otarł palcem ślad pianki z górnej wargi.

– Ochrona tajemnicy wojskowej. Nie przychodzi mi na myśl nic innego, co mogłoby skłonić szefów Vince'a do zlecenia takich radykalnych działań. Żadna szanująca się agencja nie marnuje czasu na duperele.

– Ale tajemnice wojskowe... to wydaje się naciągane.

– Na wypadek, gdybyś nie wiedziała, od zakończenia zimnej wojny i redukcji wydatków na obronność w Kalifornii mamy w Nevadzie więcej wspieranych przez Pentagon wojskowych zakładów przemysłowych i obiektów militarnych niż w innych stanach. I nie mówię tylko o tych, o których wszyscy wiedzą, takich jak baza lotnicza Nellis czy poligon atomowy. Ten stan jest idealnym miejscem dla tajnych czy quasi-tajnych doskonale zabezpieczonych ośrodków badania nowych rodzajów broni. Mamy tu tysiące kilometrów kwadratowych niezamieszkanymi terenów. Pustynie. Wysokie góry. I większość z tych odludnych obszarów należy do rządu. Jeśli ulokujesz jakiś tajny obiekt w środku pustkowia, możesz z łatwością zapewnić mu ochronę.

Tina siedziała z przedramionami na stole, trzymając w obu dłoniach szklanekę piwa. Pochyliła się w stronę Elliota.

– Mówisz, że Jaborski, Lincoln i chłopcy natknęli się na tego rodzaju miejsce w Sierra Nevada.

– Całkiem możliwe.

– I że widzieli coś, czego nie powinni zobaczyć.

– Możliwe.

– I co? Myślisz... że dlatego zginęli?

– Taka teoria powinna wzbudzić zainteresowanie bystrego dziennikarza. – Elliot wzruszył ramionami.

– Po prostu nie mieści mi się w głowie, że rząd byłby gotów skazać na śmierć grupę dzieci tylko dlatego, że przypadkiem zobaczyły jakąś nową broń czy coś w tym stylu – powiedziała Tina.

– Nie mieści ci się w głowie? W takim razie pomyśl o Waco, o wszystkich tych zabitych dzieciakach. Ruby Ridge, czternastolatek, zginął od strzału w plecy, zabity przez FBI. Vince’a Fostera znaleziono martwego w waszyngtońskim parku. Oficjalnie uznano, że popełnił samobójstwo, chociaż większość dowodów wskazywała na zabójstwo. Każda władza deprawuje. Nawet w pierwotnie idealnym rządzie z czasem znajdzie się ktoś, kto chętnie skorzysta z pomocy bezwzględnych drapieżników do rozwiązania niewygodnych spraw. Żyjemy w dziwnych czasach, Tino.

Nasilający się nocny wiatr załomotał w duże okno, przy którym siedzieli. Za szybą, na Charleston Boulevard, pojazdy mozolnie przedzierały się przez wzburzoną rzekę pyłu i kawałków papieru.

Tinę zmroził wewnętrzny chłód.

– Jak wiele mogły zobaczyć dzieci? – zapytała. – Sam przed chwilą mówiłeś, że łatwo jest chronić bazę ulokowaną na pustkowiu. Chłopcy raczej nie byli w stanie podejść blisko do ściśle strzeżonego miejsca, a gdyby nawet, to mogło im tylko coś mignąć.

– Może to „coś” wystarczyło, żeby przesądzić o ich losie.

– Tylko że dzieci nie są najlepszymi obserwatorami – zaznaczyła. – Są podatne na sugestie, łatwo się dekoncentrują i często przesadzają. Jeśli chłopcy naprawdę coś zobaczyli, później każdy z nich mówiłby coś innego i żadna z opowieści nie pokrywałaby się z inną. Grupa dzieciaków nie stanowiłaby zagrożenia dla bezpieczeństwa tajnego obiektu.

– Pewnie masz rację, ale banda bezmózgich ochroniarzy mogła to widzieć zupełnie inaczej.

– W takim razie musieliby być rzeczywiście kretynami, żeby dojść do wniosku, że zabójstwo jest najbezpieczniejszym sposobem załatwienia sprawy. Zamordowanie tylu osób i sfingowanie wypadku jest o wiele bardziej ryzykowne niż pozwolenie, żeby dzieci wróciły do domu z niestworzonymi historyjkami o tym, co widziały w górach.

– Pamiętaj, że towarzyszyło im dwóch dorosłych. Ludzie może puściliby mimo ucha opowiastki chłopców, ale relacja Jaborskiego i Lincolna to zupełnie inna sprawa. Może stawka była tak wysoka, że ochrona obiektu zdecydowała, że ci dwaj muszą umrzeć. W takim układzie wyeliminowanie świadków dwóch pierwszych zabójstw stałoby się koniecznością.

– To... diaboliczne.

– Ale nie niemożliwe.

Tina spojrzała na wilgotny krążek, który jej szklanka zostawiła na stole. Zastanawiając się nad słowami Elliota, palcem dorysowała w kółku ponuro wykrzywione usta, nos oraz dwoje oczu i dodała dwa rogi, przemieniając plamę wilgoci w nieco demoniczną twarz. Szybko starła ją dłonią.

– Sama nie wiem... ukryte obiekty... tajemnice wojskowe... to po prostu wydaje się niewiarygodne.

– Nie dla mnie – rzucił Elliot. – Dla mnie brzmi to całkiem realnie, a nawet prawdopodobnie. Chociaż nie twierdzę, że tak właśnie było. To tylko teoria. Ale teoria z rodzaju tych, za którymi podąży każdy bystry, ambitny dziennikarz, jeśli zdołamy ją podeprzeć wystarczającą liczbą faktów.

– A co z sędzią Kennebeckiem?

– Co ma z nim być?

– On mógłby nam powiedzieć to, co chcemy wiedzieć.

– Wizyta u Kennebecka równałaby się samobójstwu – odparł Elliot. – Z pewnością czekają tam na nas kumple Vince’a.

– Nie mogliśmy się jakoś prześliznąć i dotrzeć do sędziego?

Pokręcił głową.

– Szczerze w to wątpię.

Tina westchnęła, ramiona jej opadły.

– Zresztą – podjął Elliot – Kennebeck prawdopodobnie nawet nie zna całej prawdy. Jest jak ci dwaj, którzy przyszli się ze mną zobaczyć. Pewnie powiedziano mu tylko to, co musi wiedzieć.

Elvira przyniosła zamówione cheeseburgery z soczystej połówki wołowej, chrupkie frytki i czerpką, ale nie kwaśną surówkę z kapusty.

Na mocy milczącego porozumienia Tina i Elliot w trakcie posiłku nie rozmawiali o swoich problemach. W zasadzie prawie w ogóle się nie odzywali. Słuchali muzyki country z szafy grającej i patrzyli przez okno na Charleston Boulevard, gdzie pustynna burza piaskowa przygaszała blask reflektorów i zmuszała samochody do zmniejszenia prędkości. Oboje myśleli o tym, o czym nie chcieli mówić: o byłych i obecnych zabójstwach.

Kiedy skończyli jeść, Tina odezwała się pierwsza.

– Mówiłeś, że powinniśmy zdobyć więcej dowodów, zanim zwrócimy się do mediów.

– Bo musimy.

– Ale jak je zdobędziemy? Skąd? Od kogo?

– Właśnie się nad tym zastanawiałem. Najlepsze byłoby otwarcie grobu. Gdyby jakiś naprawdę dobry lekarz sądowy zbadał ekshumowane ciało, prawie na

pewno zyskalibyśmy dowód, że przyczyna śmierci była zupełnie inna niż ta podana przez władze.

– Przecież sami nie otworzymy grobu. Nie możemy w środku nocy zakraść się na cmentarz, żeby wykopać tonę ziemi dwiema łopatami. Poza tym to prywatny cmentarz, otoczony wysokim murem, i na pewno mają tam kamery dla ochrony przed wandalami.

– I kumple Kennebecka niewątpliwie obserwują to miejsce. Skoro więc nie możemy zbadać ciała, musimy zrobić drugą w kolejności rzecz, czyli porozmawiać z człowiekiem, który je widział ostatni.

– Co? Z kim?

– Hm... przypuszczam, że z koronerem.

– Masz na myśli lekarza sądowego z Reno?

– Czy nie tam został wystawiony akt zgonu?

– Tak. Ciała przywieziono z gór do Reno.

– Wiesz... może jednak darujmy sobie koronera – powiedział Elliot. – Przecież to on podpisał raport, że śmierć nastąpiła wskutek wypadku. Musimy się liczyć z tym, że współpracował z bandą Kennebecka. Jedno jest pewne: ten gość nie stanie po naszej stronie. Nawiązywanie z nim kontaktu byłoby niebezpieczne. Może w którymś momencie z nim pogadamy, ale najpierw powinniśmy złożyć wizytę przedsiębiorcy pogrzebowemu, który zajmował się zwłokami. Może nam wiele powiedzieć. To miejscowy?

– Nie. Zakład pogrzebowy w Reno przygotował ciało i przysłał je tu na pogrzeb. Trumna była zapieczętowana i jej nie otworzyliśmy.

Elvira podeszła do ich stolika i zapytała, czy chcą jeszcze coś zamówić. Gdy powiedzieli, że nie, zostawiła rachunek, zabrała brudne talerze i odeszła.

– Pamiętasz nazwisko właściciela tego zakładu? – zapytał Elliot.

– Tak. Bellicosti. Luciano Bellicosti.

Elliot dopił piwo.

– W takim razie ruszamy do Reno.

– Nie możemy po prostu zadzwonić?

– W dzisiejszych czasach każdy telefon może być na podsłuchu. Co więcej, jeśli porozmawiamy z nim twarzą w twarz, będziemy mieli lepsze pojęcie, czy nie kłamie. Nie, nie można tego załatwić na odległość. Musimy tam pojechać.

Ręka jej zadrżała, gdy podniosła szklanke, żeby wysączyć resztki coorsa.

– Co się stało? – zapytał Elliot.

Tina nie była zupełnie pewna. Przepęłniał ją nowy strach, znacznie większy niż ten, który trawił ją od kilku godzin.

- Chyba... chyba po prostu boję się jechać do Reno.
- Sięgnął nad stołem i położył rękę na jej dłoniach.
- Będzie dobrze. Przyznaję, że sam mam stracha, jak tylko pomyślę o tych strasznych typach.
- Wiem, ale bardziej niż ich boję się... – zawahała się – prawdy o śmierci Danny'ego. I mam wrażenie, że poznamy ją w Reno.
- Sądziłem, że właśnie tego chcesz.
- Bo chcę, ale jednocześnie się boję. Bo prawda będzie straszna. Przerazająca.
- Może nie.
- Tak.
- Możemy albo działać, albo zrezygnować, lecz jeśli się wycofamy, wtedy nigdy jej nie poznamy.
- To jeszcze gorsze – przyznała Tina.
- Tak czy inaczej, musimy się dowiedzieć, co wydarzyło się w górach. Jeśli odkryjemy prawdę, będziemy mogli ją wykorzystać, żeby się ocalić. To nasza jedyna nadzieja na przetrwanie.
- No to kiedy ruszamy do Reno? – zapytała.
- Dzisiaj. Zaraz. Polecimy moją cesseną. To niezła maszyna.
- A nie sprawdzą tego?
- Mało prawdopodobne. Dopiero dzisiaj dowiedzieli się o moim związku z tobą, więc nie mieli czasu, żeby zdobyć o mnie jakieś inne informacje poza tymi podstawowymi. Jednak na wszelki wypadek zachowamy ostrożność, zbliżając się do lotniska.
- Jeśli polecimy awionetką, kiedy będziemy w Reno?
- Za kilka godzin. Sądzę, że rozsądnie będzie zatrzymać się tam przez parę dni, nawet po rozmowie z Bellicostim, dopóki nie wykombinujemy, jak się wykaraskać z oparów. Tamci będą nas szukać w Vegas, co powinno zapewnić nam trochę wytchnienia.
- Tyle że nie miałam szans się spakować – przypomniała mu Tina. – Potrzebuję ubrań na zmianę, szczoteczki do zębów i paru innych drobiazgów. Nie mamy ciepłych okryć, a o tej porze roku w Reno jest cholernie zimno.
- Przed startem kupimy wszystko, czego potrzebujemy.
- Nie mam przy sobie pieniędzy. Ani centa.
- Ja trochę mam – powiedział Elliot. – Kilkaset dolców. I portfel pełen kart kredytowych. Możemy objechać cały świat z samymi kartami. Oczywiście, jeśli ich użyjemy, będą nas mogli namierzyć, ale nie wcześniej niż za kilka dni.
- Jest Nowy Rok i...

– ...i to jest Las Vegas – dokończył Elliot. – Zawsze gdzieś jest otwarty sklep. Te w hotelach też będą czynne, zwłaszcza w tym okresie, kiedy mogą najwięcej zarobić. Na pewno znajdziemy jakieś kurtki i inne potrzebne rzeczy. – Zostawił kelnerce szczodry napiwek i wstał. – Chodź. Im prędzej wyjedziemy z miasta, tym bezpieczniej się poczuję.

Tina podeszła z nim do kasy w pobliżu wyjścia.

Siwowłosy kasjer o oczach powiększonych przez grube szkła okularów uśmiechnął się i zapytał, czy kolacja smakowała. Elliot zapewnił go, że tak, i mężczyzna zaczął powoli odliczać resztę zniekształconymi przez artretyzm palcami.

Z kuchni płynął bogaty aromat sosu chilli. Zielona papryka. Cebula. Jalapeño. Wyrazisty zapach roztopionych serów Cheddar i Monterey Jack.

Długie skrzydło restauracji już zapełnili klienci; ze czterdzieści osób jadło kolację albo czekało na obsługę. Dwoje młodych ludzi, pochylonych ku sobie nad blatem tak, że niemal stykali się czołami, szeptało konspiracyjnie. Wszyscy prowadzili ożywione rozmowy, często przerywane wybuchami śmiechu, zadowoleni, że mają przed sobą trzy dni świąt.

Nagle Tina poczuła ukłucie zazdrości. Chciała być jedną z tych beztroskich osób. Chciała delektować się zwyczajnym posiłkiem, zwyczajnym wieczorem, wieść rozkosznie zwyczajne życie i mieć wszelkie powody, żeby spodziewać się długiej, bezpiecznej, zwyczajnej przyszłości. Nikt tutaj nie musiał się obawiać zawodowych zabójców, dziwacznych spisków, ekshumacji, pistoletów z tłumikiem, ludzi udających pracowników gazowni. Nikt nie zdawał sobie sprawy, jakim jest szczęściarzem. Miała wrażenie, że od gości tej knajpki dzieli ją ogromna nieprzebyta przepaść, i zachodziła w głowę, czy kiedykolwiek poczuje się równie odprężona i wolna od trosk jak oni.

Ostry zimny podmuch zmroził jej plecy.

Odwróciła się, żeby zobaczyć, kto wszedł do restauracji.

Drzwi były zamknięte. Nikt nie wszedł.

A jednak powietrze pozostało zimne – inne.

Szafa grająca stojąca na lewo od drzwi odtwarzała popularną balladę country:

Och, skarbie, wciąż kocham cię.

Nasza miłość przetrwa, na pewno to wiem,

I możesz liczyć na jedno:

Nasz związek rozkwita, nie umarł...

Nie, nie umarł...

nie umarł...
nie umarł...
nie umarł...

Płyta się zacięła.

Tina z niedowierzaniem patrzyła na szafę grającą.

nie umarł...
nie umarł...
nie umarł...
nie umarł...

Elliot odwrócił się od kasjera i położył rękę na jej ramieniu.

– Co, do licha...?

Odjęło jej mowę. Nie mogła się ruszyć.

Temperatura powietrza gwałtownie spadała.

Tinę przebiegł dreszcz.

Inni klienci przestali rozmawiać i obracali głowy, żeby spojrzeć na zacinającą się maszynę.

nie umarł...
nie umarł...
nie umarł...
nie umarł...

Tina ujrzała w wyobraźni gnijącą twarz Pana Śmierci.

– Zatrzymaj to – poprosiła.

– Nie strzelajcie do pianisty! – krzyknął jakiś żartowniś.

– Kopnij to cholerstwo – poradził ktoś inny.

Elliot podszedł do szafy i delikatnie nią poruszył. Dwa słowa przestały się powtarzać. Piosenka popłynęła gładko, ale tylko przez jedną zwrotkę. Gdy tylko się odwrócił, znowu zaczęły się powtarzać upiornie wymowne słowa:

nie umarł...
nie umarł...
nie umarł...

Tina miała ochotę rzucić się na gości, chwycić każdego z nich za gardło, potrząsać nimi i grozić, dopóki się nie dowie, kto uszkodził płytę. Jednocześnie zdawała sobie sprawę, że nie jest to racjonalny pomysł, że wyjaśnienie, jakiegokolwiek było, nie jest takie proste. Nikt nie majstrował przy szafie. Pomyśleć, że ledwie przed chwilą zazdrościła tym ludziom zwyczajnego życia. Podejrzewanie, że ktoś z nich został wynajęty przez tajną organizację, która wcześniej wysadziła w powietrze jej dom, byłoby czystym absurdem. Nedorzecznością. Objawem paranoi. Byli zwykłymi ludźmi, którzy wpadli na kolację do przydrożnej knajpki.

nie umarł...

nie umarł...

nie umarł...

Elliot znów potrząsnął szafą, tym razem bez skutku.

Powietrze stawało się coraz zimniejsze. Tina usłyszała, że kilka osób to komentuje.

Elliot potrząsnął pudłem mocniej niż poprzednim razem, i jeszcze mocniej, ale piosenkarz country wciąż powtarzał złożoną z dwóch słów wiadomość, jakby niewidzialna ręka trzymała igłę.

Siwowłosy kasjer wyszedł zza kontuaru.

– Ja się tym zajmę – powiedział i zwrócił się do kelnerki: – Jenny, sprawdź termostat. Mieliśmy włączyć ogrzewanie, a nie klimatyzację.

Elliot ustąpił z drogi, robiąc miejsce dla starszego mężczyzny.

Chociaż nikt nie dotykał szafy grającej, powtarzające się słowa zabrzmiały znacznie głośniejsze i dudniły w zamkniętej przestrzeni, aż drżały szyby w oknach i naczynia grzechotały na stołach.

NIE UMARŁ...

NIE UMARŁ...

NIE UMARŁ...

Niektórzy się krzywili i zasłaniali uszy rękami.

– Z tyłu jest przycisk, który wyrzuca płytę! – ryknął kasjer, przekrzykując ogłuszający hałas.

Tina nie była w stanie zakryć uszu; jej ręce zwisały bezwładnie, sztywne i nieruchome, z zaciśniętymi pięściami. Brakowało jej woli i siły, żeby je podnieść.

Chciała krzyknąć, ale nie mogła wydać dźwięku.

Zimno, coraz zimniej.

Znowu poczuła znajomą, nieokreśloną obecność, jak wtedy w biurze Angeli, gdy komputer sam się włączył i na ekranie pojawiły się słowa. Miała to samo wrażenie, że jest obserwowana, jak niedawno na parkingu.

Kasjer przykucnął obok szafy grającej, sięgnął za nią i znalazł guzik. Nacisnął go kilka razy.

NIE UMARŁ...

NIE UMARŁ...

NIE UMARŁ...

– Trzeba wyciągnąć wtyczkę! – krzyknął.

Dwa słowa brzmiały jeszcze głośniej. Wybuchaly z głośników w kątach restauracji, przenikały do szpiku kości. Trudno było uwierzyć, że zwykłe głośniki mogą emitować dźwięk o tak potężnym natężeniu.

Elliot odsunął się od ściany, żeby kasjer mógł dosięgnąć przewodu.

W tej chwili Tina zrozumiała, że nie musi się obawiać tego czegoś, co stało za tą niesamowitą manifestacją. To coś nie chciało jej krzywdy. Wręcz przeciwnie. W przeblysku olśnienia wejrzała w sam środek tajemnicy. Jej ręce, dotychczas mocno zaciśnięte, zaczęły się rozluźniać. Napięcie opuściło mięśnie jej szyi i ramion. Serce przestało walić jak młot pneumatyczny, chociaż jeszcze nie odzyskało normalnego rytmu; teraz napędzała je nie groza, lecz raczej podniecenie. Gdyby chciała krzyknąć, mogłaby to zrobić, jednak już nie odczuwała takiej potrzeby.

Gdy siwowłose kasjer chwycił wtyczkę w sękaty palec i zaczął nią szarpać we wszystkie strony, próbując ją wyciągnąć z kontaktu, Tina niemal kazała mu przestać. Chciała zobaczyć, co się stanie, jeśli nikt nie będzie przeszkadzać temu czemuś, co przejęło kontrolę nad szafą grającą. Ale zanim zdążyła ubrać w słowa swoją dziwną prośbę, mężczyzna odłączył maszynę od prądu.

Po przeraźliwie głośnym monotonnym powtarzaniu złożonej z dwóch słów wiadomości cisza dosłownie dzwoniła w uszach.

Gdy upłynęła sekunda pełnej zaskoczenia ulgi, wszyscy w restauracji brawami nagrodzili starego kasjera.

– Hej, Al, nie dotykałam termostatu! – zawołała do niego zza lady kelnerka Jenny. – Ogrzewanie jest włączone, nastawione na dwadzieścia stopni. Lepiej rzuć na niego okiem.

- Musiałaś coś pokręcić – powiedział Al. – Już robi się ciepłej.
- Nawet go nie dotknęłam – powtórzyła z uporem Jenny.
- Stary jej nie uwierzył, w przeciwieństwie do Tiny.
- Elliot odwrócił się od szafy grającej.
- Dobrze się czujesz? – zapytał z troską.
- Tak. Boże, tak! Nie czułam się lepiej od długiego czasu.
- Uniósł brwi, zaskoczony jej uśmiechem.
- Wiem, co to jest. Elliot, dokładnie wiem! Chodź – rzuciła z podekscytowaniem.
- Idziemy.
- Zdawała sobie sprawę, że jej nagła zmiana nastroju zbiła go z tropu, ale tutaj nie chciała mu niczego wyjaśniać. Otworzyła drzwi i wyszła z restauracji.

WICHURA NIE USTAWAŁA, CHOĆ już nie szalała tak wściekle jak wtedy, gdy Elliot i Tina oglądali ją przez okno w restauracji. Silny wiatr atakował miasto od wschodu. Powietrze, pełne pyłu i zmiecionego z pustyni miążskiego piasku, uderzało w ich twarze i miało nieprzyjemny posmak.

Schylili głowy i pobiegli przez krąg światła jedynej lampy w głębsze cienie za budynkiem.

– Nic dziwnego, że nie mogliśmy tego rozwikłać! – powiedziała Tina, gdy już znaleźli się w ciemnym mercedesie i zamknęli drzwi.

– Nie rozumiem. Dlaczego jesteście...

– Patrzyliśmy na to z zupełnie...

– ...taka podekscytowana, skoro...

– ...złej strony. Nic dziwnego, że nie potrafiliśmy znaleźć rozwiązania.

– Tino, o czym ty mówisz? Na pewno widziałaś tam to samo co ja? Słyszałaś szafę grającą? Nie mam pojęcia, jak to cię mogło rozweselić. Mnie ścięło krew w żyłach. To było co najmniej dziwne.

– Słuchaj – zaczęła z podnieceniem w głosie – myśleliśmy, że ktoś mi przysłał wiadomości, że Danny żyje, żeby namieszać mi w głowie albo w zawołowany sposób dać znać, że umarł inaczej, niż mi powiedziano. Ale tych wiadomości nie zostawiał ani sadysta, ani ktoś, komu zależy na ujawnieniu całej prawdy o wypadku w górach. Nie przysłała ich ani obca osoba, ani Michael. Te wiadomości są dokładnie tym, na co wyglądają!

– A na co według ciebie wyglądają? – zapytał zdeorientowany.

– Są wołaniem o pomoc.

– Co?

– Pochodzą od Danny'ego!

Elliot patrzył na nią z konsternacją i współczuciem; w jego ciemnych oczach odbijało się dalekie światło.

– Mówisz, że Danny kontaktuje się z tobą zza grobu, żeby spowodować zamieszanie w knajpce? Tino, chyba nie myślisz, że jego duch nawiedził szafę grającą?

– Nie, nie, nie. Mówię, że Danny nie umarł.

– Chwileczkę. Zaczekaj.

– Mój Danny żyje! Jestem tego pewna.

– Już to przerabialiśmy i odrzuciliśmy taką możliwość – przypomniał jej.

– Myliliśmy się. Jaborski, Lincoln i wszyscy inni chłopcy mogli zginąć w górach, ale nie Danny. Wiem... czuję to. To jak... objawienie... niemal jak wizja. Może rzeczywiście w górach był wypadek, ale nie taki, jak nam powiedziano. Tam się zdarzyło coś zupełnie innego, coś bardzo dziwnego.

– Tyle już wiemy. Ale...

– Rząd musiał to ukryć i zlecił zatarcie śladów tej organizacji, dla której pracuje Kennebeck.

– Na razie za tobą nadażam – powiedział Elliot. – To logiczne. Ale jak doszłaś do tego, że Danny żyje? Tu niekoniecznie dostrzegam logikę.

– Mówię ci tylko to, co wiem, co czuję. Chwilę przed tym, zanim w końcu udało się wyłączyć szafę grającą, doznałam wrażenia niesamowitego spokoju, otuchy. To był nie tylko wewnętrzny spokój. Pochodził z zewnątrz. Napłynął jak fala... naprawdę nie potrafię tego wytłumaczyć. Wiem tylko to, co czułam. Danny próbował mnie uspokoić, chciał mnie powiadomić, że żyje. Nie mam co do tego wątpliwości. Przeżył wypadek, ale nie pozwolili mu wrócić do domu, żeby nie rozpowiedział, co naprawdę się wydarzyło, bo wtedy mogłoby wyjść na jaw istnienie jakiegoś tajnego ośrodka wojskowego.

– Chwytasz się wszystkiego, jak tonący brzytwy.

– Nie. Wcale nie.

– No to gdzie jest Danny?

– Gdzieś go przetrzymują. Nie wiem, dlaczego go nie zabili. Nie wiem, jak długo zamierzają trzymać go pod kluczem. Ale właśnie to robią. Właśnie to się dzieje. Nie mogę ci podać szczegółów, jednak w ogólnym zarysie tak właśnie wygląda sytuacja.

– Tino...

– Nie pozwoliła, żeby jej przerwał.

– Ta tajna policja, ci ludzie stojący za Kennebeckiem są przekonani, że ktoś biorący udział w projekcie Pandora ich zdradził i wyjawiał mi, co naprawdę spotkało Danny'ego. Oczywiście się mylą. To nikt od nich. To Danny. Jakoś... nie mam pojęcia jak... ale on się ze mną kontaktuje. – Z trudem znajdowała słowa, żeby opisać tę chwilę jasności, jakiej doznała w restauracji. – Przypuszczam, że w jakiś sposób Danny sięga do mnie umysłem. To on napisał tę wiadomość na tablicy. Zrobił to myślą.

- Jedyнным dowodem są twoje odczucia... ta wizja.
- Nie wizja...
- Mniejsza z tym. Tak czy inaczej, to żaden dowód.
- Dla mnie wystarczający – powiedziała. – I tobie też by wystarczył, gdybyś w restauracji doświadczył tego co ja, gdybyś poczuł to samo. Danny sięgnął ku mnie, kiedy byłam w pracy... znalazł mnie w biurze... posłużył się komputerem, żeby przekazać mi wiadomość. A teraz ta szafa grająca... Danny jest... Danny ma zdolności parapsychiczne. O to chodzi! Tak, ma taki dar. Ma jakąś moc i korzysta z niej, usiłując mnie powiadomić, że żyje. Prosi, żebym go odnalazła i uratowała. Co więcej, ci, którzy go przetrzymują, nie mają pojęcia, że on to robi! Szukają winnych przecieku wśród swoich, są pewni, że zdradził ktoś z projektu Pandora.
- Tino, to nadzwyczaj intrygująca teoria, ale...
- Może intrygująca, ale na pewno nie teoria. To prawda. To fakt. Czuję to w sercu. Możesz znaleźć w niej jakieś dziury? Możesz udowodnić, że się mylę?
- Po pierwsze – zaczął Elliot – czy przez lata wspólnego życia z Dannym pod jednym dachem, zanim pojechał w góry z Jaborskim, zauważyłaś, żeby wykazywał jakieś zdolności parapsychiczne?
- Zmarszczyła czoło.
- Nie.
- W takim razie skąd nagle się wzięły te zdumiewające moce?
- Czekaj. Tak, przypominam sobie pewne zdarzenia, które uznałam za dziwne.
- Na przykład?
- Na przykład, kiedy chciał się dowiedzieć, na czym tak naprawdę polega praca jego taty. Miał wtedy osiem, może dziewięć lat i ciekawiły go szczegóły fachu krupiera. Michael usiadł z nim przy kuchennym stole i rozdał karty do blackjacka. Danny ledwie rozumiał zasady i nigdy wcześniej nie grał w pokera. Zdecydowanie był za mały, żeby zapamiętać rozdane karty i na ich podstawie obliczyć prawdopodobieństwo, że dostanie tę, a nie inną, jak robią najlepsi gracze. A jednak wciąż wygrywał. Oczywiście nie używali żetonów. Michael wziął orzeszki ze słoika i Danny wygrał wszystkie, co do jednego.
- Twój były ustawił grę – powiedział Elliot. – Dał synowi wygrać.
- Z początku też tak myślałam. Ale Michael przysięgał, że tego nie zrobił. Sam wydawał się szczerze zdumiony dobrą passą Danny'ego. Poza tym Michael nie radzi sobie z talią na tyle dobrze, żeby układać karty w trakcie tasowania. I był jeszcze Elmer.
- Kto to jest Elmer?

– Nasz pies. Słodki kundelek. Pewnego dnia, jakieś dwa lata temu, piekłam w kuchni szarlotkę i Danny wpadł z krzykiem, że nie może znaleźć Elmera. Najwyraźniej psiak wymknął się przez furtkę, której nie domknęli ogrodnicy. Danny powiedział, że Elmer już nie wróci, bo przejechała go ciężarówka. Ja mu na to, żeby się nie martwił, bo pies wróci cały i zdrowy. Ale nie wrócił. Nigdy go nie znaleźliśmy.

– To, że go nie znaleźliście, wcale nie musi dowodzić, że wpadł pod ciężarówkę.

– Dla Danny’ego był to wystarczający dowód. Opłakiwał go tygodniami.

Elliot westchnął.

– Wygranie kilku rozdań w blackjacka to fart. A założenie, że zabłąkany pies zginie pod kołami, jest najzupełniej racjonalne. Gdybyśmy nawet uznali, że te zdarzenia rzeczywiście świadczą o zdolnościach parapsychicznych twojego syna, to chyba zdajesz sobie sprawę, że lata świetlne dzielą je od tego, co przypisujesz mu teraz.

– Tak, rozumiem. W jakiś sposób jego zdolności musiały ulec znacznemu wzmocnieniu. Może nastąpiło to z powodu sytuacji, w jakiej się znajduje. Strach i stres zrobiły swoje.

– Jeśli strach i stres zwiększyły jego zdolności, to dlaczego nie zaczął się z tobą kontaktować wiele miesięcy temu?

– Może trzeba roku życia w stresie i strachu, żeby rozwinąć ten talent. Nie wiem. – Ogarnęła ją nieuzasadniona złość. – Chryste, skąd mam znać odpowiedź?

– Uspokój się – poprosił. – Sama rzuciłaś mi wyzwanie, żebym szukał słabych punktów w twojej teorii. I właśnie to robię.

– Nie. Jeśli o mnie chodzi, nie znalazłeś ani jednego słabego punktu. Danny żyje, jest gdzieś przetrzymywany i próbuje sięgać do mnie umysłem. Skontaktować się telepatycznie. Nie, to nie telepatia. Potrafi przesuwać przedmioty samą myślą. Jest nazwa dla czegoś takiego?

– Telekineza – odparł Elliot.

– Tak! O to chodzi. Danny korzysta z telekinezy. Masz lepsze wyjaśnienie tego, co się stało w restauracji?

– Hm... nie.

– Chcesz mi powiedzieć, że płyta przypadkiem zacięła się na tych dwóch słowach?

– Nie – odparł Elliot. – To nie był przypadek. Coś takiego byłoby jeszcze mniej prawdopodobne, niż gdyby to zrobił Danny.

– Więc przyznajesz, że mam rację.

– Nie. Nie umiem wymyślić innego wytłumaczenia, ale nie jestem gotów przyjąć twojego. Nigdy nie wierzyłem w te paranormalne bzdety.

Przez jakiś czas siedzieli w milczeniu. Patrzyli na ciemny parking i druciane ogrodzenie otaczające skład dwustulitrowych beczek. Płachty, kłęby i wiry lekko fosforyzującego pyłu sunęły przez noc niczym duchy.

– Mam rację, Elliot – odezwała się w końcu Tina. – Wiem, że mam. Moja teoria wszystko tłumaczy. Nawet te straszne sny. To drugi sposób, w jaki Danny próbuje się ze mną skontaktować. Od kilku tygodni przesyła mi koszmary. Dlatego ostatnio moje sny tak bardzo się różnią od tych, które miałam wcześniej. Dlatego są takie wyraziste i żywe.

Elliot uznał ten argument za jeszcze bardziej szokujący niż wszystko inne, co usłyszał do tej pory.

– Chwileczkę. Teraz mówisz o jakiejś innej zdolności poza telekinezą.

– Jeśli Danny ma jeden talent, dlaczego nie mógłby mieć drugiego?

– Zaraz usłyszę, że jest Bogiem.

– Nie, ma tylko zdolność do telekinezy i wpływania na moje sny. To tłumaczy, dlaczego śnił mi się ten koszmarny Pan Śmierć z komiksu. Jeśli Danny przysyła mi wiadomości w snach, to naturalne, że używa znanych sobie obrazów, jak ten potwór z jego ulubionego horroru.

– Ale skoro potrafi przysyłać sny – zaczął Elliot – to dlaczego nie nada precyzyjnej, przejrzystej wiadomości mówiącej o tym, co się z nim dzieje, gdzie jest? Czy coś takiego nie zapewniłoby mu szybszej pomocy, której potrzebuje? Dlaczego jego przekazy są takie mętne i niejednoznaczne? Powinien przysłać zwięzły mentalny komunikat, paranormalny e-mail ze strefy mroku. Wtedy nie miałabyś problemu, żeby go zrozumieć.

– Daruj sobie ten sarkazm – burknęła.

– To nie sarkazm. Po prostu zadaję trudne pytania. Wskazuję kolejny słaby punkt w twojej teorii.

Tina nie dała się zniechęcić.

– To nie jest słaby punkt. Istnieje dobre wyjaśnienie. Najwidoczniej, jak już mówiłam, Danny nie jest telepatą w ścisłym znaczeniu tego słowa. Jest telekinetykiem, potrafiącym przesuwać przedmioty umysłem. I może też do pewnego stopnia wpływać na sny. Ale nie jest prawdziwym telepatą. Nie umie nadawać ściśle sprecyzowanych myśli. Nie wysła „zwięzłego mentalnego komunikatu”, ponieważ nie ma takiej mocy albo dostatecznej kontroli nad swoim darem. Dlatego próbuje do mnie dotrzeć w najlepszy znany sobie sposób.

– Czy ty w ogóle słyszysz, o czym mówimy?

- Tak, słyszę – odparła.
- Mówimy jak dwoje idealnych kandydatów do domu bez klamek.
- Nie. Wcale tak nie uważam.
- Ta rozmowa o zjawiskach paranormalnych... jest niekoniecznie racjonalna.
- W takim razie wytłumacz mi, co się stało w barze.
- Nie mogę. Cholera, po prostu nie mam pojęcia – powiedział Elliot niczym ksiądz, który przeżywa kryzys wiary. Jednak wiara, którą zaczynał kwestionować, wiązała się nie z religią, lecz z nauką.
- Przestań myśleć jak prawnik – poradziła mu. – Nie traktuj życia jak zbioru paragrafów.
- Właśnie tego zostałem nauczony.
- Zdaję sobie z tego sprawę – rzuciła ze współczuciem. – Ale przecież musisz wiedzieć, że świat jest pełen nielogiczności, które mimo to są prawdziwe. I to jest jedna z nich.

Wiatr uderzył w sportowe auto i zajęczał przy szybach, próbując się dostać do środka.

– Jeśli Danny ma ten niewiarygodny dar, to dlaczego przesyła wiadomości tylko do ciebie? – dociekał Elliot. – Dlaczego nie kontaktuje się chociażby z ojcem?

– Może jego więź z nim jest za słaba, żeby do niego dotrzeć. Przez ostatnich kilka lat naszego małżeństwa Michael romansował z wieloma kobietami. Większość czasu spędzał poza domem i Danny czuł się porzucony bardziej niż ja. Nigdy nie powiedziałam złego słowa na Michaela. Nawet próbowałam usprawiedliwiać jego niektóre wysoki, bo nie chciałam, żeby Danny go znienawidził. Ale i tak czuł się zraniony. Przypuszczam, że próba nawiązania kontaktu ze mną, nie z ojcem, jest dla niego czymś naturalnym.

Ściana pyłu miękko runęła na samochód.

- Nadal uważasz, że potrafisz obalić moją dziurawą teorię? – zapytała Tina.
 - Nie. Bardzo dobrze broniłaś swojej sprawy.
 - Dziękuję, Wysoki Sądzie.
 - Ale i tak nie wierzę, że masz rację. Znam kilka cholernie inteligentnych osób, które są zwolennikami postrzegania pozazmysłowego, ja jednak się do nich nie zaliczam. Nie mogę się zmusić do zaakceptowania tych bzdur. W każdym razie jeszcze nie. Zamierzam szukać mniej fantastycznego wytłumaczenia.
 - I jeśli je znajdziesz, rozważę je z wielką powagą – zapewniła go Tina.
- Położył rękę na jej ramieniu.
- Wyklócam się z tobą, Tino... ponieważ się o ciebie martwię.
 - Boisz się, że mi odbija?

– Nie, nie. To paranormalne wyjaśnienie niepokoju mnie głównie dlatego, że daje ci nadzieję, że Danny żyje. I to jest niebezpieczne. Odnoszę wrażenie, że narażasz się na poważne załamanie i mnóstwo bólu.

– Nie. Wcale nie. Ponieważ Danny naprawdę żyje.

– A jeśli nie?

– Żyje!

– Jeżeli znajdziesz dowody, że rzeczywiście nie żyje, będzie tak, jakbyś go straciła po raz drugi.

– Danny nie umarł – powiedziała uparcie. – Czuję to. Wiem, Elliot.

– A jeśli jest inaczej? – zapytał z takim samym uporem.

Zawahała się.

– Zdołam sobie z tym poradzić – oświadczyła z przekonaniem.

– Na pewno?

– Zdecydowanie tak.

W nikłym świetle, w którym najjaśniejsza rzecz była tylko bladofioletowym cieniem, Elliot w głębokim skupieniu spojrzał jej w oczy. Tina czuła się tak, jakby nie tylko na nią patrzył, ale też zaglądał w głąb jej duszy. W końcu pochylił się i pocałował kącik jej ust, później policzek i powieki.

– Nie chcę, żeby pękło ci serce – szepnął.

– Nie pęknie.

– Zrobię, co w mojej mocy, żeby do tego nie dopuścić.

– Wiem.

– Tylko że tak naprawdę niewiele mogę zrobić. Ta sprawa mnie przerasta. Na razie musimy po prostu płynąć z prądem.

Położyła dłoń na jego karku i przyciągnęła go bliżej. Smak ust Elliota i jego ciepło sprawiły, że poczuła się niesłychanie szczęśliwa.

Z westchnieniem odsunął się od niej i uruchomił silnik.

– Lepiej ruszajmy. Musimy zrobić zakupy. Zimowe kurtki. Dwie szczoteczki do zębów.

Tina wciąż była pełna otuchy i niezachwianej wiary, że Danny żyje, jednak gdy tylko wyjechali na Charleston Boulevard, znowu zmroził ją lęk. Już nie bała się konfrontacji ze straszną prawdą, która być może czekała na nich w Reno. Odkrycie, co spotkało Danny'ego, wciąż mogło się okazać przeraźliwe, druzgoczące, ale nie sądziła, że będzie równie trudne do zaakceptowania jak jego śmierć. Teraz bała się tylko możliwości, że znajdą Danny'ego i nie zdołają go uratować. W trakcie poszukiwań ktoś może ich zabić, ją i Elliota. Gdyby znaleźli Danny'ego i zginęli w trakcie próby ratunku, byłoby to złośliwym zrzędzeniem

losu. Z doświadczenia wiedziała, że los ma w zanadrzu mnóstwo paskudnych sztuczek, i dlatego paraliżował ją lęk.

WILLIS BRUCKSTER UWAŻNIE WPATRYWAŁ się w kupon keno, porównując skreślone liczby z tymi, które zaczynały się wyświetlać na zwisającej z sufitu kasyna elektronicznej tablicy. Udawał, że jest bardzo zainteresowany wynikami tej gry, chociaż w rzeczywistości wcale go nie obchodziły. Kupon w jego ręce był bezwartościowy; nie zaniósł go do okienka, nie postawił na niego ani centa. Używał go jako przykrywki.

Nie chciał przyciągać uwagi wszechobecnych ochroniarzy, a najłatwiejszy sposób na osiągnięcie celu polegał na udawaniu najbardziej nieszkodliwego gracza w ogromnej sali. Mając to na względzie, tego dnia włożył tani garnitur z poliestru, czarne mokasyny i białe skarpetki. Trzymał dwie książeczki kuponów ze zniżkami, którymi kasyna wabią amatorów gry na automatach, i miał zawieszony na szyi aparat fotograficzny. Poza tym wiedział, że keno nie jest grą atrakcyjną dla wytrawnych hazardzistów ani dla oszustów, czyli dwóch rodzajów osób, którymi najbardziej interesuje się ochrona. Willis Bruckster wyglądał tak nieciekawie i zwyczajnie, że nie byłby zaskoczony, gdyby ochroniarz spojrzął na niego i ziewnął.

Bruckster chciał się wykazać i miał zamiar bezbłędnie wykonać zadanie. Od tego zależała jego kariera – albo go awansują, albo zdegradują. Pajęczynie ogromnie zależało na wyeliminowaniu każdego, kto chciał doprowadzić do ekshumacji ciała Danny’ego Evansa, a agenci, którym zlecono rozprawić się z Elliotem Strykerem i Christiną Evans, zawiedli na całej linii. Ich nieudolność dała mu szansę na to, żeby zabłysnąć. Jeśli zlikwiduje cel tutaj, w zatłoczonym kasynie, będzie miał awans w kieszeni.

Stał przy schodach ruchomych, które prowadziły z kasyna hotelu Bally do znajdującego się niżej centrum handlowego. W czasie krótkich przerw zmęczeniu krupierzy odchodzili od stołów, żeby dać odpocząć zeszywniałym karkom, zdrętwiałym ramionom i obolałym palcom. Udawali się na dół, gdzie na prawo od schodów znajdował się przeznaczony dla nich pokój rekreacyjny połączony z szatniami. Bruckster wiedział, że grupa, która jakiś czas temu zjechała po

schodach, niebawem wróci na swoją ostatnią zmianę, po której zastąpi ją nowa ekipa. Czekał na jednego z krupierów: Michaela Evansa.

Nie spodziewał się, że zostanie go w pracy. Myślał, że Evans będzie czuwać przy zniszczonym domu, gdzie strażacy przekopywali wciąż tłące się zgłiszcza w poszukiwaniu zwłok kobiety, która mogła być pod nimi pogrzebana. Jednak kiedy pół godziny temu wszedł do hotelu, Evans gawędził z graczami przy stole do blackjacka, dowcipkując i szczerząc zęby w szerokim uśmiechu, jakby ostatnio w jego życiu nie wydarzyło się nic ważnego.

Może nie wiedział o wybuchu w domu swojej byłej. A może wiedział i jej los wcale go nie obchodził. Może miał za sobą burzliwy rozwód.

Bruckster nie zdążył podejść do Evansa, gdy ten odchodził od stołu na początku przerwy. Dlatego ulokował się tutaj, przy schodach, i udawał zainteresowanie tablicą keno. Był przekonany, że go dopadnie, gdy za kilka minut będzie wracać z pokoju dla personelu.

Na tablicy błysnęły ostatnie numery. Willis Bruckster uniósł wzrok, po czym zmiął kupon z wyraźnym rozczarowaniem i odrazą, jakby stracił kilka ciężko zarobionych dolarów.

Spojrzał w dół schodów. Krupierzy w czarnych spodniach i białych koszulach z krawatami bolo wjeżdżali na górę.

Odsunął się od schodów i rozprostował kupon. Jeszcze raz porównał liczby z wynikami na tablicy, jakby miał nadzieję, że za pierwszym razem się pomylił.

Michael Evans – wyluzowany przystojny facet – jechał schodami jako siódmy. Po zejściu ze stopnia ruszył przez salę leniwym, spacerowym krokiem. Przystanął i zagadnął atrakcyjną kelnerkę, która w odpowiedzi błysnęła oszałamiającym uśmiechem. Inni krupierzy przechodzili obok nich i gdy Evans wreszcie zakończył rozmowę, dołączył jako ostatni do zmierzającego ku stołom szeregu.

Bruckster ustawił się tuż za nim, gdy przeciskali się przez tłum stłoczony w ogromnym kasynie. Sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął małą puszkę aerozolu, niewiele większą od odświeżacza do ust, z łatwością kryjącą się w dłoni.

Krupierzy dotarli do gromady roześmianych ludzi, zupełnie nieświadomych, że tarasują przejście. Bruckster skorzystał z okazji i poklepał swoją ofiarę po ramieniu.

– Czy nie pan to zgubił? – zapytał, gdy Evans się odwrócił.

– Co?

Bruckster uniósł rękę ledwie na wysokość talii, tak by Michael Evans musiał się nachylić, żeby zobaczyć, co w niej trzyma.

Wyrzucona pod wielkim ciśnieniem delikatna mgielka aerozolu trafiła go prosto w twarz, szybko i głęboko wnikając w nozdrza. Idealnie.

Evans zareagował jak każdy inny na jego miejscu. Zaskoczony, ze świstem wciągnął powietrze.

W ten sposób śmiertelny aerosol dostał się do jego nosa, gdzie trucizna – wyjątkowo szybko działająca neurotoksyna – została błyskawicznie wchłonięta przez błony śluzowe i dostała się do zatok. Po dwóch sekundach była już w krwiobiegu i Evans przeszedł zawał.

Jego zaskoczenie przemieniło się w szok. Chwilę później grymas cierpienia wykrzywił mu twarz, gdy przeszył go ostry ból. Zakrztusił się i strużka pianistej śliny ściekła z kącika ust na podbródek. Oczy obróciły się w głąb czaszki i Evans upadł na podłogę.

Bruckster schował do kieszeni maleńki pojemnik.

– Ktoś tu zachorował.

Głowy obracały się w jego stronę.

– Zróbcie miejsce! – zawołał. – Na litość boską, niech ktoś wezwie lekarza!

Nikt nie miał pojęcia, że doszło do zabójstwa. Zostało popełnione w gęstym tłumie, narzędziem zbrodni osłoniętym przez ciało zabójcy i ofiary. Nawet jeśli ktoś obserwował to miejsce przez umieszczoną pod sufitem kamerę, to niewiele zobaczył.

Willis szybko ukląkł obok Michaela Evansa i chwycił go za nadgarstek, żeby sprawdzić puls, jakby nie wiedział, że go nie wyczuje. Oczywiście serce już nie biło, nie wykrył śladu tętna.

Nos, usta i podbródek trupa pokrywała cienka błonka wilgoci, ale był to tylko nieszkodliwy nośnik toksyny. Aktywna trucizna trafiła gdzie trzeba, spełniła swoje zadanie i już się rozpadała na szereg związków chemicznych naturalnie występujących w organizmie człowieka. Ich obecność nie zaalarmuje coronera, który będzie analizować wyniki standardowych testów. Za kilka sekund nawet wilgoć wyparuje i nie zostanie nic, co mogłoby wzbudzić podejrzenia ściągniętego na miejsce zdarzenia lekarza.

Umundurowany ochroniarz przepchnął się przez tłum zaciekawionych gapiów i stanął obok Willisa.

– O cholera, to Mike Evans. Co mu się stało?

– Nie jestem lekarzem ale wygląda mi to na atak serca – odparł Bruckster. – Facet padł jak kłoda, zupełnie jak mój wujek Ned Czwartego Lipca w środku fajerwerków.

Ochroniarz spróbował znaleźć puls, oczywiście bez skutku. Przystąpił do reanimacji, ale szybko ją przerwał.

– To chyba nie ma sensu.

– Atak serca? Jak to możliwe w tak młodym wieku? – Bruckster nie krył zdumienia. – Jezu, człowiek nie zna dnia ani godziny.

– Święte słowa – zgodził się z nim ochroniarz.

Hotelowy lekarz po zbadaniu ciała stwierdził zawał. Podobnie jak coroner. I właśnie taka przyczyna śmierci znajdzie się na akcie zgonu.

Morderstwo doskonałe.

Willis Bruckster powstrzymał się od uśmiechu.

SĘDZIA HAROLD KENNEBECK LUBIŁ budować misterne modele statków w butelkach. Przykłady tego hobby zdobiły jego gabinet. Małeńki model siedemnastowiecznej holenderskiej pinasy stał pod żaglami w małej jasnoniebieskiej butelce. Duży czteromasztowy szkuner zajmował dwudziestolitrowy słoje. Była też czteromasztowa barkentyna z żaglami wydętymi na wiecznym wietrze, szwedzka karawela z połowy szesnastego stulecia i piętnastowieczna hiszpańska. Brytyjski statek kupiecki. Kliper z Baltimore. Każdy statek został wykonany z wyjątkowym pietyzmem i wiele znajdowało się w butelkach o niezwykłych kształtach, co utrudniało ich konstruowanie i budziło tym większy podziw.

Kennebeck stał przed jedną z gablotek, przyglądając się oddanemu w najdrobniejszych szczegółach takielunkowi francuskiej fregaty z końca osiemnastego wieku. Gdy patrzył na model, nie przeniósł się w czasie ani nie zatracił w fantazjowaniu o przygodach na wzburzonym morzu. Rozmyślał o ostatnich wypadkach związanych ze sprawą Christiny Evans. Zapieczętowane w szklanych światkach miniaturowe okręty pozwalały mu się odprężyć; lubił spędzać z nimi czas, gdy miał problem do rozwiązania albo jeśli był zdenerwowany. Ich widok działał kojąco i ten spokój sprawiał, że jego umysł pracował z maksymalną sprawnością.

Im dłużej o tym myślał, tym mniej był przekonany, że Christina Evans zna prawdę o losach swojego syna. Gdyby ktoś z projektu Pandora wykrył, co spotkało skautów, z pewnością zareagowałaby zupełnie inaczej. Poszłaby prosto na policję albo do mediów – albo do jednych i drugich.

Ona tymczasem zwróciła się do Elliota Strykera.

I tutaj pojawił się paradoks. Z jednej strony zachowywała się tak, jakby nie знаła prawdy. Z drugiej – zatrudniła Strykera, żeby doprowadził do wydobycia pochowanych zwłok jej syna, co wskazywało, że jednak coś wie.

Jeśli wierzyć prawnikowi, kobietą kierowały niewinne pobudki. Z jego słów wynikało, że panią Evans dręczą wyrzuty sumienia, ponieważ zabrakło jej odwagi, żeby obejrzeć zmasakrowane ciało syna przed pogrzebem. Czuli, że nie pożegnała się należycie ze zmarłym. Jej poczucie winy stopniowo przerodziło się w poważną

obsesję. Żyła w udręce i co noc nękały ją okropne sny. Tak brzmiała wersja Strykera.

Kennebeck skłaniał się ku temu, by mu uwierzyć. Miał tu miejsce zbieg okoliczności, ale przecież nie wszystkie przypadkowe zdarzenia mają sens. Z reguły człowiek, który żyje w świecie wywiadowczych rozgrywek, o tym zapomina. Christina Evans prawdopodobnie nie wątpiła w oficjalną wersję wypadku w Sierra Nevada; prawdopodobnie nigdy w życiu nie słyszała o Pandorze, gdy rozpoczęła starania o ekshumację – tylko że nie mogłaby wybrać na to gorszej chwili.

Gdyby ta kobieta rzeczywiście nie wiedziała o manipulowaniu faktami odnośnie do tamtego zdarzenia, wtedy Pajęczyna mogłaby wykorzystać jej byłego męża i system prawny, żeby opóźnić ekshumację. W tym czasie ich agenci mogliby znaleźć ciało chłopca w podobnym stanie rozkładu, w jakim powinny być zwłoki Danny'ego po tym, jak przez rok leżały w trumnie. Mogliby otworzyć grób potajemnie, w nocy, kiedy cmentarz jest zamknięty, i podłożyć szczątki fałszywego Danny'ego w miejsce leżących tam obecnie kamieni. Wtedy zrozpaczona, nękana wyrzutami sumienia matka otrzymałaby zgodę na ostatnie spojrzenie i pożegnanie się z synem.

Operacja byłaby skomplikowana, narażona na ujawnienie. Takie ryzyko byłoby jednak do przyjęcia i nie pociągało za sobą konieczności zabijania.

Niestety, George'owi Alexandrowi, szefowi biura Pajęczyny w Nevadzie, brakowało cierpliwości czy może umiejętności, żeby określić prawdziwe motywy kobiety. Napisał najgorszy scenariusz i przystąpił do jego realizacji. Powiadomiony przez Kennebecka o złożonym przez Elliota Strykera wniosku o ekshumację, zareagował natychmiast i brutalnie. Zaplanował sfingowane samobójstwo dla Strykera, przypadkową śmierć dla kobiety i atak serca dla jej męża. Dwie z tych pośpiesznie zorganizowanych akcji zakończyły się fiaskiem. Stryker i kobieta rozpłynęli się w powietrzu. Teraz Pajęczynie groziło niebezpieczeństwo.

Gdy Kennebeck odwrócił się od francuskiej fregaty, zastanawiając się, czy nie odejść z organizacji, zanim mu runie na głowę, do gabinetu wszedł George Alexander. Szef biura był szczupły, elegancki i dystyngowany. Nosił mokasyny od Gucciego, drogi garnitur, jedwabną koszulę szytą na zamówienie i złotego rolexa. Jego modnie obcięte ciemne włosy nabrały na skroniach odcienia żelaza. W głębi zielonych oczu, bystrych i czujnych, uważny obserwator mógł się doszukać złowrogiego błysku. Miał regularne rysy twarzy o wyraziście zarysowanych kościach policzkowych, wąski nos i cienkie wargi. Gdy się uśmiechał, lewy kącik

ust lekko opadał, co nadawało uśmiechowi protekcyjności. W tej chwili miał poważną minę.

Kennebeck znał Alexandra od pięciu lat i gardził nim od dnia, kiedy się poznali. Przypuszczał, że to uczucie jest wzajemne.

Część antagonizmu wynikała z tego, że urodzili się w krańcowo odmiennych światach i każdy z nich był dumny ze swoich korzeni... i jednocześnie pełen pogardy dla wszystkich innych. Kennebeck pochodził z biednej rodziny i całkiem sporo w życiu osiągnął, przynajmniej we własnych oczach. Alexander natomiast był potomkiem wpływowej zamożnej rodziny z Pensylwanii, z udokumentowanym rodowodem sięgającym stu pięćdziesięciu albo i więcej lat wstecz. Ten pierwszy wyrwał się z biedy dzięki ciężkiej pracy i żelaznej determinacji; drugi nie miał pojęcia, co to ciężka praca – wspiął się na szczyt w swojej dziedzinie, jakby był księciem z boskim prawem do rządzenia.

Kennebecka irytowała również hipokryzja Alexandra. Zresztą całą jego rodzinę uważał za bandę hipokrytów. Alexandrowie byli dumni ze swojej służby publicznej. Wielu z nich, mianowanych przez prezydenta, piastowało wysokie stanowiska w rządzie federalnym, chociaż żaden się nie zniżył, żeby zabiegać o funkcje wybierane w drodze elekcji. Sławni Alexandrowie z Pensylwanii zawsze byli kojarzeni z walką o prawa mniejszości i równouprawnienie, z krucjatą przeciwko karze śmierci i wszelkiego rodzaju idealizmem społecznym. A jednak wielu członków tej rodziny w tajemnicy świadczyło usługi – niekiedy bardzo brudnej natury – FBI, CIA i innym agencjom wywiadowczym, często tym, które publicznie krytykowali i piętnowali. George Alexander obecnie był szefem stanowego biura pierwszej naprawdę tajnej policji, co najwyraźniej wcale nie ciążyło na jego liberalnym sumieniu.

Kennebeck miał skrajnie prawicowe poglądy. Był zatwardziałym faszystą i ani trochę się tego nie wstydził. Kiedy jako młody człowiek wstąpił do służb wywiadowczych, z zaskoczeniem odkrył, że nie wszyscy z branży podzielają jego ultrakonserwatywne poglądy polityczne. Spodziewał się, że współpracownicy będą prawicowymi superpatriotami. Jak się okazało, wszystkie agencje były obsadzone również przez przeciwne skrzydło. W końcu zrozumiał, że lewaków i skrajnych prawicowców łączą dwa podstawowe cele: jedni i drudzy chcieli, by społeczeństwo było bardziej zdyscyplinowane, i próbowali scentralizować sprawowaną nad nim kontrolę w rękach silnego rządu. Oczywiście różnili się pod wieloma względami, a główną kością niezgody było to, kto zostanie dopuszczony do uprzywilejowanej klasy rządzącej, gdy władza zostanie już dostatecznie scentralizowana.

Moje motywy są przynajmniej uczciwe, pomyślał, patrząc na Alexandra. A poglądy mam takie same jak te, które wyrażam prywatnie... w przeciwieństwie do niego. Nie jestem hipokrytą. W niczym nie przypominam tego dwulicowego bufona!

– Przed chwilą skończyłem rozmowę z ludźmi, którzy obserwują dom Strykera – powiadomił go Alexander. – Jeszcze się nie pokazał.

– Mówiłem ci, że on nie wróci.

– Prędzej czy później się zjawi – upierał się Alexander.

– Nie. Nie wróci, dopóki nie zyska absolutnej pewności, że zagrożenie minęło. Będzie się ukrywać.

– W pewnym momencie zwróci się do policji i wtedy go dopadniemy.

– Gdyby uważał, że policja mu pomoże, już by się zgłosił – powiedział Kennebeck. – Ale tego nie zrobił i nie zrobi.

Alexander spojrział na zegarek.

– Być może przyjdzie tutaj. Podejrzewam, że ma ochotę zadać ci kilka pytań.

– Och, nie wątpię – zgodził się z nim Kennebeck. – Chętnie dobrałby mi się do skóry. Ale nie przyjdzie. Nie dzisiaj. Owszem, w końcu się zjawi, ale nieprędko. Wie, że na niego czekamy. Zna zasady tej gry. Nie zapominaj, że sam w niej uczestniczył.

– To było dawno temu – rzucił ze zniecierpliwieniem Alexander. – Od piętnastu lat jest cywilem, wyszedł z wprawy. Nawet gdyby kiedyś nie miał sobie równych, dziś daleko mu do tamtego profesjonalizmu.

– Przecież właśnie to próbuję ci powiedzieć. – Kennebeck z irytacją odgarnął z czoła kosmyk śnieżnobiałych włosów. – Elliot nie jest głupi. Był najlepszym, najbystrzejszym z młodych agentów, jacy kiedykolwiek pode mną służyli. Nie miał sobie równych nawet wtedy, kiedy był młody i brakowało mu doświadczenia. Jeśli jego umiejętności dojrzewały wraz z nim, to teraz jest jeszcze lepszy.

Alexander nie chciał tego słuchać. Chociaż oba wydane przez niego zlecenia zabójstwa skończyły się fiaskiem, nie stracił pewności siebie i był przeświadczony, że w końcu zatriumfuje.

Zawsze jest tak cholernie pewny siebie, pomyślał Harry Kennebeck. I zwykle nie ma ku temu powodów. Gdyby sukinsyn uświadomił sobie swoje mankamenty, zmiażdżyłoby go rozsypujące się z hukiem ego.

Alexander podszedł do dużego klonowego biurka i usadowił się w fotelu sędziego.

Ten spojrział na niego z wściekłością.

Alexander udał, że tego nie zauważył.

– Nie mam wątpliwości, że znajdziemy Strykera i tę kobietę przed wschodem słońca. Już robimy wszystko, co możliwe. Nasi ludzie sprawdzają każdy hotel i motel...

– To strata czasu – prychnął Kennebeck. – Elliot jest za sprytny, żeby tak po prostu wejść do hotelu i podać w recepcji prawdziwe nazwisko. Poza tym w Vegas jest więcej hoteli i moteli niż w każdym innym mieście na świecie.

– Zdaję sobie sprawę z tego, że zadanie jest skomplikowane – przyznał Alexander. – Ale może dopisze nam szczęście. Tymczasem sprawdzamy współpracowników Strykera w kancelarii, znajomych jego i tej kobiety, właściwie każdego, kto mógł im udzielić schronienia.

– Masz na to za mało ludzi – zauważył sędzia. – Nie rozumiesz? Powinieneś rozsądniej ich wykorzystywać. Łapiesz zbyt wiele srok za ogon. Należy...

– Ja podejmuję decyzje – przerwał mu Alexander oziębłym tonem.

– A co z lotniskiem?

– Już się tym zajmujemy – zapewnił go Alexander. – Mamy ludzi, którzy sprawdzają listy pasażerów każdego wylatującego samolotu. – Podniósł nóż z kościaną rękojeścią, służący do otwierania korespondencji, i obracał go w palcach. – Nawet jeśli są trochę za bardzo rozproszeni, to nie ma większego znaczenia. Już wiem, gdzie dopadniemy Strykera. Tutaj. Tu, w tym domu. Dlatego tu jestem. Wiem, wiem, twoim zdaniem Stryker się nie zjawi. Ale pamiętaj, że byłeś jego mentorem, człowiekiem, którego szanował, od którego się uczył. A ty go zdradziłeś. Przyjdzie tu, żeby spojrzeć ci w oczy, mimo ryzyka. Jestem tego pewien.

– Absurd – skwitował cierpko Kennebeck. – Nasze relacje nigdy nie były takie, jak sądzisz. On...

– Znam się na ludzkiej naturze – oznajmił Alexander.

Kennebeck parsknął w duchu, bo jeszcze nie spotkał człowieka mniej spostrzegawczego i obdarzonego mniej analitycznym umysłem niż on.

W środowisku wywiadu śmietanka rzadko wypływała na powierzchnię, ale szumowiny unosiły się na niej jak zawsze.

Zagniewany, sfrustrowany sędzia chciał się obrócić w stronę butelki z francuską fregatą, gdy nagle przypomniał sobie coś ważnego o Elliocie Strykerze.

– A niech to... – mruknął.

Alexander odłożył emaliowaną papierośnicę, którą akurat oglądał.

– O co chodzi?

– Elliot jest pilotem. Ma własny samolot.

Alexander uniósł brwi.

– Sprawdzacie awionetki opuszczające lotnisko? – zapytał.

- Nie. Tylko loty rejsowe i czartery.
- No tak.
- Musiałby wystartować w nocy – powiedział Alexander. – Myślisz, że ma licencję na nocne loty? Większość pilotów biznesmenów i amatorów ma uprawnienia na odbywanie lotów tylko za dnia.
- Lepiej skontaktuj się ze swoimi ludźmi na lotnisku – poradził mu Kennebeck.
- Chociaż już wiem, co usłyszysz. Założę się o sto dolarów, że Elliot wymknie się z miasta tuż pod twoim nosem.

* * *

CESSNA TURBO SKYLANE RG rozcinała ciemne niebo trzy kilometry nad pustynią Nevady, lecąc nad niskimi chmurami. Skrzydła samolotu srebrzyły się w księżycowej poświacie.

- Elliot?
- Hm?
- Przepraszam, że cię w to wciągnęłam.
- Nie podoba ci się moje towarzystwo?
- Wiesz, o co mi chodzi. Naprawdę przepraszam.
- Hej, w nic mnie nie wciągnęłaś. Przecież nie wykręciłaś mi ręki. Sam zaproponowałem, że ci pomogę w sprawie ekshumacji, i wtedy wszystko zaczęło się sypać. To nie twoja wina.
- A jednak... musisz uciekać, bo ktoś dybie na twoje życie, i to przeze mnie.
- Bzdura. Nie mogłaś przewidzieć, co się stanie po mojej rozmowie z Kennebeckiem.
- Nic na to nie poradzę, czuję się winna, że cię w to wplątałam.
- Gdybym odmówił, poszłabyś do innego adwokata. I może facet nie miałby pojęcia, jak poradzić sobie z Vince'em. W takim wypadku i on, i ty już bylibyście martwi. Jeśli spojrzysz na to w ten sposób, dojdiesz do wniosku, że nie mogło ułożyć się lepiej.
- Naprawdę jesteś nie z tej ziemi.
- Pod jakim względem?
- Pod wieloma.
- Na przykład?
- Jesteś fantastyczny.
- Nie ja. Co jeszcze?
- Odważny.

- Odwaga jest cnotą głupców.
- Mądry.
- Nie tak mądry, jak bym chciał.
- Twardy.
- Płaczę na smutnych filmach. Widzisz, wcale nie jestem taki super jak myślisz.
- Umiesz gotować.
- To akurat prawda!

Cessna trafiła na dziurę powietrzną i gwałtownie opadła o sto metrów, po czym z rykiem wróciła na poprzednią wysokość.

- Wielki kucharz, marny pilot – skomentowała Tina.
- To były turbulencje zesłane przez Boga. Poskarż się na Niego.
- Kiedy wylądujemy w Reno?
- Jeszcze osiemdziesiąt minut.

* * *

GEORGE ALEXANDER ODŁOŻYŁ SŁUCHAWKĘ. Wciąż siedział w fotelu Kennebecka.

– Stryker i ta kobieta wystartowali z lotniska McCarrana ponad dwie godziny temu. Lecą cessną. W planie lotu wpisał Flagstaff.

Sędzia przestał krążyć po gabinecie.

– W Arizonie?

– Znam tylko jedno Flagstaff. Ale dlaczego mieliby lecieć do Arizony?

– Z pewnością polecili nie tam – powiedział Kennebeck. – Zakładam, że Elliot podał nieprawdziwe informacje, żeby zmylić trop. – Był w jakiś perwersyjny sposób dumny z przebiegłości Strykera.

– Jeśli rzeczywiście skierował się do Flagstaff – zaczął Alexander – to już powinni wylądować. Zadzwońię do tamtejszej kontroli lotów, podam się za agenta FBI i zobaczymy, czego się dowiem.

Ponieważ oficjalnie Pajęczyna nie istniała, nie mogła otwarcie wykorzystywać swoich wpływów do zdobywania informacji, więc ich agenci rutynowo posługiwali się legitymacjami FBI wystawionymi na nazwiska rzeczywistych pracowników Biura.

Czekając, aż Alexander zakończy rozmowę z kierownikiem nocnej zmiany kontrolerów we Flagstaff, Kennebeck przechodził od jednego modelu do następnego. Po raz pierwszy w życiu widok floty w butelkach wcale go nie uspokajał.

Po piętnastu minutach Alexander odłożył słuchawkę.

– Strykera nie ma na lotnisku Flagstaff. Jeszcze się nie zgłosił w ich przestrzeni powietrznej.

– No tak. Więc ten lot to zmyłka.

– Chyba że się rozbił gdzieś między Vegas i Flagstaff – powiedział z nadzieją Alexander.

Kennebeck się skrzywił.

– Nie licz na to. Ale dokąd on poleciał?

– Zapewne w przeciwnym kierunku. Do Kalifornii Południowej.

– No tak. Los Angeles?

– Albo Santa Barbara. Burbank. Long Beach. Ontario. Orange County. W zasięgu tej małej cesso jest mnóstwo lotnisk.

Obaj milczeli, pogrążeni w myślach.

– Reno – odezwał się nagle Kennebeck. – Tam poleciecieli. Do Reno.

– Byłeś taki pewny, że nie wiedzą o laboratoriach w Sierra Nevada – przypomniał mu Alexander. – Czyżbyś zmienił zdanie?

– Nie. Nadal uważam, że nie musiałeś wydawać na nich wyroków śmierci. Słuchaj, na pewno nie kierują się w góry, bo nie mają pojęcia, gdzie są laboratoria. O projekcie Pandora wiedzą tylko to, co wyczytali z listy pytań, którą zabrali Vince’owi Immelmanowi.

– Dlaczego Reno?

– Od chwili, gdy spróbowaliśmy ich zlikwidować, wiedzą, że historia o wypadku w górach została spreparowana – odparł Kennebeck, chodząc po gabinecie. – Doszli do wniosku, że nie dostali zgody na ekshumację, bo z ciałem chłopca coś jest nie tak. Teraz tym bardziej im zależy, żeby je zobaczyć. Wykopaliby zwłoki nielegalnie, ale nie zrobią tego z obawy, że obserwujemy cmentarz. A Stryker z całą pewnością wie, że kazaliśmy go obstawić. Skoro nie mogą otworzyć grobu i na własne oczy zobaczyć, co zrobiliśmy z Dannym Evansem, to jaki będzie ich następny krok? Spróbują skorzystać z drugiej możliwości, czyli porozmawiają z ostatnią osobą, która widziała zwłoki przed zapieczętowaniem trumny. Poproszą go o dokładne opisanie stanu ciała.

– Koronerem w Reno jest Richard Pannafin. To on wystawił akt zgonu – powiedział Alexander.

– Nie. Nie pójdą do Pannafina. Domyślą się, że brał udział w zacieraniu śladów.

– Bo to zrobił... mimo że bardzo niechętnie.

– Dlatego pójdą do przedsiębiorcy pogrzebowego, który rzekomo przygotowywał ciało do pochówku.

– Do Bellicostiego.

– Tak się gość nazywa?

– Luciano Bellicosti – potwierdził Alexander. – Ale jeśli rzeczywiście tam zmierzają, to znaczy, że nie siedzą w mysiej norze, zajęci lizaniem ran. Dobry Boże, oni naprawdę przeszli do ofensywy!

– Szkolenie Strykera w wywiadzie wojskowym nie poszło na marne. Właśnie to usiłowałem ci powiedzieć. Nie będzie łatwym celem. Daj mu okazję, a zniszczy całą Pajęczynę. Ta kobieta najwyraźniej też nie jest z tych, które z płaczem uciekają od problemów. Mając z nimi do czynienia, musimy zachowywać większą ostrożność niż zwykle. Co z tym Bellicostim? Utrzyma język za zębami?

– Nie wiem. – Alexander nie krył zaniepokojenia. – Mamy na niego niezłego haka. Jest włoskim imigrantem. Mieszkał tu osiem czy dziewięć lat, zanim postanowił wystąpić o obywatelstwo. Jeszcze nie dostał papierów, kiedy uznaliśmy, że potrzebujemy chętnego do współpracy przedsiębiorcy pogrzebowego. Wstrzymaliśmy decyzję w urzędzie imigracyjnym i zagroziliśmy, że każemy go deportować, jeśli nie zrobi tego, co chcemy. Nie był tym zachwycony, ale obywatelstwo okazało się dostatecznie dużą marchewką, żeby go zmotywować. Nie sądzę jednak, że możemy dłużej liczyć na skuteczność tej marchewki.

– Sprawa jest piekielnie poważna – rzucił Kennebeck. – I moim zdaniem ten Bellicosti wie o niej zbyt wiele.

– Trzeba sukinsyna wyeliminować – zawyrokował Alexander.

– W końcu tak, ale niekoniecznie od razu. Jeśli będziemy zostawiać za sobą szlak trupów, ściągniemy uwagę na...

– Lepiej nie ryzykować – przerwał mu Alexander. – Wyeliminujmy go. I chyba również koronera. Należy zatrzeć cały trop. – Sięgnął do telefonu.

– Chyba nie chcesz podejmować takich drastycznych kroków, zanim się nie dowiemy, czy Stryker rzeczywiście poleciał do Reno? A nie będziesz tego wiedział, dopóki tam nie wyląduje.

Alexander się zawahał, trzymając rękę na telefonie.

– Jeśli zaczekam, dam im szansę i nadal będą o krok przed nami. – Wciąż niezdecydowany, nerwowo przygryzał dolną wargę.

– Jest sposób, żeby się dowiedzieć, czy naprawdę ruszyli do Reno. Jeśli tam wylądują, będą potrzebować samochodu. Może już zaklepalili auto w którejś z wypożyczalni.

Alexander pokiwał głową.

– Możemy obdzwonić wszystkie przy lotnisku w Reno.

– Nie ma takiej potrzeby. Nasi hakerzy od operacji sieciowych włamią się do ich komputerów i zdalnie przejrzą interesujące nas dane.

Alexander podniósł słuchawkę i wydał polecenie.

Piętnaście minut później otrzymał raport. Elliot Stryker zarezerwował samochód z odbiorem na lotnisku. Ma się po niego zgłosić krótko przed północą.

– Tu się nie popisał, biorąc pod uwagę, jaki dotąd był bystry – skomentował Kennebeck.

– Założył, że skupimy się na Arizonie, a nie na Reno.

– Mimo wszystko to niedbalstwo – mruknął wyraźnie rozczarowany Kennebeck. – Powinien postawić podwójną zasłonę dymną, żeby się chronić.

– Właśnie o tym mówiłem. – Twarz Alexandra wykrzywił uśmiezek. – Nie jest tak dobry jak kiedyś.

– Nie przesądzaj sprawy – zmitygował go Kennebeck. – Jeszcze go nie złapaliśmy.

– Złapiemy – oświadczył Alexander stanowczym tonem. – Nasi ludzie w Reno będą mieli mało czasu, ale powinni się wyrobić. Tyle że atakowanie Strykera i kobiety w publicznym miejscu, takim jak lotnisko, raczej nie jest dobrym pomysłem.

Cóż za nietypowa powściągliwość, pomyślał drwiąco Kennebeck.

– Moim zdaniem nie należy ich śledzić od razu, gdy tylko wylądują – kontynuował Alexander. – Stryker będzie spodziewać się ogona. Może zdołałby go zgubić i później tym bardziej miałby się na baczności.

– Niech ktoś zajmie się tym wynajętym samochodem, zanim Stryker wyląduje. Niech podłoży nadajnik. Wtedy będziemy mogli go śledzić na spokojnie, bez ryzyka, że cokolwiek zauważy.

– Spróbujemy – zgodził się Alexander. – Mamy niecałą godzinę, więc możemy nie zdążyć. Ale jeśli nawet, nic takiego się nie stanie. Wiemy, dokąd się kierują. Wystarczy, że wyeliminujemy Bellicostiego i urządzimy zasadzkę w zakładzie pogrzebowym.

Chwycił słuchawkę i zadzwonił do biura Pajęczyny w Reno.

W RENO, REKLAMUJĄCYM SIĘ jako „największe małe miasto na świecie”, z nadejściem północy temperatura spadła do minus sześciu stopni. Ponad lampami, które zalewały zimnym blaskiem parking na lotnisku, wisiało bezksiężycowe, bezgwiazdne, idealnie czarne niebo. Płatki śniegu tańczyły, miotane zmiennym wiatrem.

Elliot cieszył się, że przed opuszczeniem Las Vegas kupili ciepłe kurtki. Żałował, że nie pomyśleli o rękawiczkach, bo już marzły mu ręce.

Rzucił ich jedyną walizkę do bagażnika wynajętego chevroleta. W mroźnym powietrzu kłęby białych spalin wirowały wokół jego nóg.

Zatrzasnął klapę i omiótł wzrokiem oprószone śniegiem samochody na parking. Nie dostrzegł nikogo w żadnym z nich. Nie miał wrażenia, że ktoś go obserwuje.

Po wylądowaniu zwracali szczególną uwagę na pas i miejsce parkowania prywatnych samolotów; wypatrywali podejrzanych pojazdów i liczniejszej niż zwykle obsługi naziemnej. Nic nie odbiegało od normy. Podpisując papiery w wypożyczalni i odbierając kluczyki, Elliot drugą ręką trzymał ukryty w kieszeni kurtki pistolet, który zabrał Vince'owi w Las Vegas. Na szczęście nie miał powodów go wyjmować.

Może fałszywy plan lotu zmylił psy gończe.

Wsiadł za kierownicę chevroleta, w którym Tina zdążyła włączyć ogrzewanie.

– Przemarzałam do szpiku kości – powiedziała.

Elliot przysunął rękę do nawiewu.

– Już leci ciepłe powietrze. – Wyjął z kieszeni pistolet i położył go między siedzeniami, z lufą skierowaną ku desce rozdzielczej.

– Naprawdę myślisz, że powinniśmy jechać do Bellicostiego o tej porze? – zapytała Tina.

– Pewnie. Nie jest bardzo późno.

W książce telefonicznej w hali przylotów Tina znalazła adres zakładu pogrzebowego Luciana Bellicostiego. Pracownik wypożyczalni samochodów wiedział, gdzie to jest, i wyrysował najkrótszą trasę na darmowym planie miasta.

– Sądzę, że trafię tam bez problemów, ale gdybym się zgubił, będziesz moim nawigatorem.

– Tak jest, kapitanie.

Elliot zgasił światło pod sufitem i sięgnął do drążka zmiany biegów.

Lampka, którą przed chwilą zgasił, zapaliła się z charakterystycznym pyknięciem.

Spojrzeli na siebie.

Ponownie zgasił światło. Znowu samo się zapaliło.

– No to się zaczyna – powiedziała Tina.

Włączyło się radio. Cyfrowy wskaźnik przesuwiał się po całej skali. W głośnikach ryczała kakofonia urywków muzyki, reklam, głosów didżejów.

– To Danny – rzuciła.

Wycieraczki zaczęły omiatać szybę z maksymalną prędkością i ich rytmiczne cykanie akcentowało harmider panujący w samochodzie. Reflektory migwały tak szybko, że tworzyły efekt stroboskopowy, „zamrażając” padający śnieg – wyglądało to tak, jakby białe płatki spadały na ziemię w podskokach.

Powietrze w aucie zrobiło się przeraźliwie zimne i z sekundy na sekundę coraz bardziej się ochładzało.

Elliot przysunął prawą rękę do nawiewu na desce rozdzielczej. Płynęło z niego ciepłe powietrze, ale temperatura wciąż spadała.

Otworzył się schowek.

Wysunęła się popielniczka.

Tina, wyraźnie zachwycona, roześmiała się.

Ten śmiech zaskoczył Elliota, ale musiał przyznać, że nie czuje się zagrożony przez poczynania poltergeista. Wprost przeciwnie. Odnosił wrażenie, że jest świadkiem figli, radosnego powitania zgotowanego przez podekscytowane dziecko-ducha. Wpadła mu do głowy zdumiewająca myśl, że naprawdę wyczuwa w powietrzu dobrą wolę, wręcz namacalne promieniowanie miłości i życzliwości. Po plecach przeszły mu przyjemne ciarki. Najwidoczniej ta sama świadomość rozchodzących się fal uczucia skłoniła Tinę do śmiechu.

– Nadciągamy, Danny. Słuchaj mnie, jeśli możesz, kochanie. Idziemy po ciebie, jesteśmy w drodze.

Radio się wyłączyło, podobnie jak światło pod sufitem.

Wycieraczki znieruchomiały.

Reflektory zamigotały ostatni raz i zgasły.

Spokój.

Cisza.

Płatki śniegu zderzały się miękko z przednią szybą.

Temperatura w samochodzie szybko się podnosiła.

– Dlaczego robi się zimno za każdym razem, gdy on używa swoich... zdolności parapsychicznych? – zapytał Elliot.

– Kto wie? Może porusza przedmiotami, czerpiąc ciepło z powietrza i jakoś je przetwarzając. A może chodzi o coś zupełnie innego. Prawdopodobnie nigdy się nie dowiemy. Może sam tego nie rozumie. Tak czy inaczej, to nieważne. Liczy się to, że mój Dany żyje. Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. Nie teraz. Już nie. I twoje pytanie sugeruje, że też zacząłeś w to wierzyć.

– Tak – przyznał Elliot, wciąż dość zdziwiony zmianą swojego nastawienia. – Tak, wierzę, że jest szansa, że masz rację.

– Nie mam co do tego wątpliwości.

– Podczas tej wycieczki skautów zdarzyło się coś dziwnego. I coś niepojętego spotkało twojego syna.

– Najważniejsze, że Danny żyje – powiedziała Tina.

Elliot zobaczył w jej oczach łzy szczęścia.

– Hej! – rzucił z niepokojem. – Lepiej trzymaj nadzieję na wodzy, dobrze? Mamy jeszcze przed sobą długą drogę. Nawet nie wiemy, gdzie i w jakim stanie jest Danny. Zanim go znajdziemy i uratujemy, czeka nas jazda bez trzymanki. Możemy oboje zginąć, nie mając szans się do niego zbliżyć.

Wyjechali z lotniska. Wyglądało na to, że nikt ich nie śledzi.

DOKTOR CARLTON DOMBEY CIERPIAŁ z powodu ataku klaustrofobii i czuł się tak, jakby został połknięty żywcem przez diabła i uwięziony w jego trzewiach.

Laboratorium o wymiarach dwanaście metrów na sześć należało do tajnego kompleksu w Sierra Nevada i mieściło się na trzecim poziomie poniżej powierzchni. Niski sufit był wyłożony gąbczastym, granulowanym żółtym materiałem dźwiękochłonnym, nadającym wnętrzu dziwnie organiczny charakter. Jarzeniówki zalewały zimnym blaskiem szeregi monitorów komputerowych i stoły z aparaturą naukową, zasłane czasopismami, wykresami i teczkami. Na jednym z nich stały dwa kubki z kawą.

Naprzeciwko wejścia, pośrodku zachodniej ściany – jednej z dwóch krótszych – znajdowało się szerokie na dwa metry i wysokie na metr okno. Zapewniało widok na sąsiednie, o połowę mniejsze pomieszczenie. Okno miało dwie grube na dwa i pół centymetra tafle szkła pancernego, a przestrzeń między nimi wypełniał chemicznie obojętny gaz. Dwie szyby mocne jak żelazo. Framuga ze stali nierdzewnej. Cztery hermetyczne uszczelki. Zostało zaprojektowane w taki sposób, żeby znieść wszystko, od strzału po trzęsienie ziemi. Było dosłownie niezniszczalne.

Ludzie pracujący w dużym pokoju przez cały czas musieli mieć dobry widok na wnętrze tego mniejszego, więc cztery wentylatory pod sufitem owiewały szybę strugami ciepłego, suchego powietrza, żeby nie zaparowała. W tej chwili wiatraki nie pracowały i trzy czwarte szyby pokrywał szron.

Doktor Carlton Dombey, kędzierzawy mężczyzna z krzaczastym wąsem, stał przy oknie i wycierał wilgotne dłonie o biały kitel. Z niepokojem spoglądał przez jedno z nieoszronionych miejsc. Usilnie walczył z atakiem klaustrofobii, próbując udawać przed sobą, że sufit wcale nie naciska mu na głowę, że ma nad sobą otwarte niebo, a nie tysiące ton betonu i stali. Mniej się jednak przejmował swoim napadem paniki niż tym, co działo się za oknem.

Doktor Aaron Zachariah, młodszy niż on, gładko ogolony, z prostymi ciemnymi włosami, pochylał się nad monitorem, czytając wyświetlone na nim dane.

– W ciągu półtorej minuty temperatura spadła o dwadzieścia stopni – powiedział z niepokojem. – To może nie wyjść dzieciakowi na dobre.

– Coś takiego zdarza się nie po raz pierwszy i nigdy nie było żadnych problemów – uspokoił go Dombey.

– Wiem, ale...

– Sprawdź parametry życiowe.

Zachariah przeszedł do innego ekranu, który pokazywał odczyty tętna, ciśnienia krwi, temperatury ciała i rytm fal mózgowych Danny'ego Evansa.

– Tętno w normie, może nawet nieco wolniejsze niż wcześniej. Ciśnienie w porządku. Temperatura bez zmian. Ale jest coś niezwykłego w odczycie EEG.

– Jak zawsze w czasie tych spadków temperatury – stwierdził Dombey. – Dziwna aktywność mózgu. Nic innego nie wskazuje jednak, że dzieje się z nim coś złego.

– Jeśli zimno się utrzyma, będziemy musieli włożyć kombinezony, wejść tam i przenieść go do innej izolatki.

– Wszystkie są zajęte – odparł Dombey. – Pełne zwierząt w trakcie różnych eksperymentów.

– W takim razie trzeba zwolnić jedną z nich. Ten dzieciak jest znacznie ważniejszy niż one. Od niego mamy więcej danych.

Jest ważniejszy, bo jest istotą ludzką, a nie źródłem danych, pomyślał ze złością Dombey, ale wolał zachować tę myśl dla siebie. Wygłaszanie takich opinii napiętnowałoby go jako dysydenta i potencjalne zagrożenie bezpieczeństwa.

– Nie trzeba go przenosić – zdecydował. – Zaraz zrobi się ciepło. – Mrużył oczy, zaglądając do mniejszego pomieszczenia. Chłopiec leżał bez ruchu na szpitalnym łóżku z podniesionymi poręczami, przykryty białym prześcieradłem i żółtym kocem, spod którego wysuwały się liczne przewody. Troska o chłopca przeważała nad jego lękiem przed uwięzieniem pod ziemią i pogrzebaniem żywcem, i wreszcie atak klaustrofobii minął. – Przynajmniej do tej pory nigdy nie trwało to długo. Temperatura gwałtownie spada, ale po dwóch, trzech minutach, nie więcej niż pięciu, wraca do normy.

– Do licha, co jest z tymi technikami? Dlaczego nie mogą tego naprawić?

– Twierdzą, że system działa bez zarzutu – odparł Dombey.

– Bzdura!

– Mówią, że nie ma żadnej usterki.

– Akurat! – Zachariah odwrócił się od monitorów, podszedł do okna i znalazł nieoszroniony fragment. – Kiedy to zaczęło się miesiąc temu, nie było tak źle. Zmiana rzędu kilku stopni. I to tylko w nocy. Nigdy nie za dnia. I nie tak duża, żeby

zagrozić zdrowiu chłopca. Ale od paru dni sytuacja zupełnie wymyka się spod kontroli. Powtarzają się spadki o dwadzieścia, dwadzieścia pięć stopni. A oni mówią, że nic nie szwankuje!

– Słyszałem, że ściągają projektantów – powiadomił go Dombey. – Ci faceci w minutę uporają się z problemem.

– Przygłupy – mruknął Zachariah pod adresem techników.

– Swoją drogą nie rozumiem, dlaczego tak się przejmujesz. Przecież mamy testować chłopaka aż do samego końca, prawda? Skoro tak, to czemu się martwisz o jego zdrowie?

– Chyba nie wiesz, co mówisz – rzucił Zachariah. – Jeśli on umrze, musimy mieć pewność, że zabiły go zastrzyki. A jeżeli będzie narażony na kolejne wahania temperatury, nie będzie wiadomo, czy nie one przyczyniły się do jego śmierci. Wyniki badań nie będą czyste.

Carlton Dombey parsknął cichym niewesołym śmiechem i odwrócił się od okna. Wyrażanie wątpliwości przy koledze z zespołu było ryzykowne, nie zdołał się jednak pohamować.

– Czyste? Ta cała sprawa nigdy nie była czysta. Od samego początku śmierdzi na kilometr.

Zachariah na niego spojrział.

– Nie mówię o moralności – powiedział.

– Ale ja tak.

– Mówię o standardach klinicznych.

– Naprawdę nie mam ochoty wysłuchiwać twoich opinii ani na jeden, ani na drugi temat – burknął Dombey. – Głowa mi pęka.

– Po prostu staram się być sumienny – oświadczył Zachariah z niemal nadąsaną miną. – Nie możesz mieć do mnie pretensji o brudną robotę. Niewiele mam do powiedzenia w kwestii polityki badań.

– Nie masz nic do powiedzenia – sprostował Dombey. – Zresztą podobnie jak ja. Stoimy na najniższych szczeblach drabiny. Właśnie dlatego pracujemy na nocną zmianę, tkwiąc tutaj jak niańki.

– A gdybym nawet miał, obrałbym taki sam kurs jak doktor Tamaguchi. Cholera, przecież on musi kontynuować prace badawcze. Nie miał wyboru, musiał poświęcić im ten obiekt, kiedy się okazało, że badania tych cholernych Chińczyków są znacznie bardziej zaawansowane. I Rosjanie wyciągają do nich pomocną dłoń, żeby zarobić trochę twardej waluty. Nasi nowi przyjaciele Rosjanie! Jawna kpina. Witamy w świecie nowej zimnej wojny. Pamiętaj, to projekt

Chińczyków. My tylko staramy się ich dogonić. Jeśli chcesz kogoś obwinić, bo masz wyrzuty sumienia w związku z tym, co tu robimy, to skup się na nich, nie na mnie.

– Wiem, wiem – rzucił Dombey ze znużeniem w głosie, przegarniając palcami kędzierzawą czuprynę. Wiedział, że Zachariah zda szczegółowy raport z tej rozmowy, więc musiał stonować swoją wypowiedź. – Też mnie przerażają. Jeśli jest jakiś rząd skłonny do użycia takiej broni, to właśnie chiński, północnokoreański albo iracki. Na świecie nie brakuje obłąkanych dyktatorów. W takiej sytuacji nie mamy innego wyjścia, jak tylko maksymalnie dbać o ochronę naszego kraju. Naprawdę w to wierzę. Ale czasami... czasami się zastanawiam, czy pracując tak ciężko nad wyprzedzeniem naszych wrogów, nie stajemy się do nich podobni? Czy nie stajemy się państwem totalitarnym, dokładnie takim jak te, którymi pogardzamy?

– Możliwe.

– Możliwe – powtórzył Dombey, chociaż był tego pewien.

– Jaki mamy wybór?

– Prawdopodobnie w ogóle go nie mamy.

– Patrz – rzucił nagle tonem Zachariah.

– Na co?

– Okno się przeczyszczają. Widocznie już się ociepla.

Obaj naukowcy zajrzeli do izolatki.

Wychudzony chłopiec poruszył się na łóżku. Odwrócił się twarzą w ich stronę i spojrzał na nich ze szpitalnego łóżka.

– Te cholerne oczy – mruknął Zachariah.

– Przeszywające, prawda?

– To, jak na nas patrzy... czasami przyprawia mnie o ciarki. Ma nawiedzone oczy.

– Po prostu gryzie cię sumienie.

– Nie. Chodzi o coś więcej. Jego oczy są dziwne. Inne niż wtedy, kiedy przywieźli go tu przed rokiem.

– Teraz jest w nich ból – zauważył ze smutkiem Dombey. – Morze bólu i samotności.

– Nie tylko – powiedział Zachariah. – Ma w oczach coś... coś, czego nie można opisać.

Odszedł od okna. Wrócił do komputerów, przy których zawsze się czuł pewnie i bezpiecznie.

PIĄTEK, 2 STYCZNIA

MIMO NIEDAWNYCH OPADÓW ŚNIEGU ulice Reno w większości były czyste i suche; tylko gdzieś tam łąty czarnego lodu czyhały na nieuważnych kierowców. Elliot Stryker jechał ostrożnie i nie odrywał wzroku od drogi.

– Zaraz powinniśmy być na miejscu – powiedziała Tina.

Gdy przejechali kilkaset metrów, po lewej stronie na szczycie wzgórza ujrzeli dom i zakład Luciana Bellicostiego, a przed nim otoczoną czarną obwódką tablicę dumnie informującą o charakterze świadczonych tam usług: PRZEDSIĘBIORCA POGRZEBOWY I WSPARCIE W ŻAŁOBIE. Okazały budynek w stylu kolonialnym stał na półtorahektarowej działce, dogodnie sąsiadującej z dużym cmentarzem bezwyznaniowym. Długi podjazd wyglądał jak czarna pogrzebowa wstęga udrapowana na zaśnieżonym wznoszącym się trawniku. Kamienne słupki i rozsiewające miękkie blask lampy wskazywały drogę do drzwi frontowych. Z kilku okien na parterze płynęło ciepłe światło.

Elliot już chciał skrócić na podjazd, ale w ostatniej chwili zmienił zdanie i pojechał dalej.

– Hej, przecież to tu! – zawołała Tina.

– Wiem.

– Dlaczego się nie zatrzymasz?

– Łomotanie do drzwi z żądaniem odpowiedzi byłoby emocjonalnie satysfakcjonujące, niespodziewane, odważne... i głupie.

– Ale nie czekają tu na nas, prawda? Przecież nie wiedzą, że jesteśmy w Reno.

– Nigdy nie lekceważ swojego wroga. Oni nie docenili nas i właśnie dlatego udało nam się tu dotrzeć. Musimy się strzec przed popełnieniem ich błędu, bo jak nie, to nas złapią.

Za cmentarzem Elliot skręcił w lewo, w ulicę domów mieszkalnych. Zaparkował, po czym wyłączył światła i silnik.

– Co teraz? – zapytała Tina.

– Wracam do domu pogrzebowego. Przejdę przez cmentarz. Okrążę dom i podejść od tyłu.

– My podejźmy od tyłu – powiedziała z naciskiem.

- Nie.
- Tak.
- Ty zaczekasz tutaj – oświadczył stanowczo.
- Nie ma mowy.

Wpadające przez przednią szybę blade światło latarni wylawiało z mroku zdeterminowaną twarz Tiny i stalowe spojrzenie jej błękitnych oczu.

Elliot zdawał sobie sprawę, że przegrywa tę słowną potyczkę, ale spróbował przemówić jej do rozsądku.

- Myśl racjonalnie. Jeśli dojdzie do jakichś kłopotów, będziesz tylko zawadzać.
 - Elliot, mówisz bez sensu. Czy jestem typem kobiety, która może ci w czymś przeszkodzić?
 - Spadło ze dwadzieścia centymetrów śniegu, a ty nie masz kozaków.
 - Ty też nie.
 - Jeśli się nas spodziewają, zastawili pułapkę w domu pogrzebowym...
 - I wtedy możesz potrzebować mojej pomocy – przerwała mu. – A jeśli nie zastawili pułapki, muszę tam być, jak będziesz wypytywać Bellicostiego.
 - Tino, tylko marnujemy czas, siedząc tu i...
 - No właśnie. Marnujemy czas. Cieszę się, że podzielasz mój punkt widzenia. –
- Otworzyła drzwi i wysiadła z samochodu.

Wtedy uświadomił sobie, bez cienia wątpliwości, że ją kocha.

Wsunął pistolet z tłumikiem do głębokiej kieszeni kurtki i również wysiadł. Nie zamknął samochodu, ponieważ liczył się z tym, że mogą być zmuszeni w pośpiechu wsiąść i odjechać.

Na cmentarzu śnieg sięgał mu do połowy łydek. Oblepiał nogawki i skarpety i topił się, mocząc buty.

Tina, która miała na stopach sportowe buty na gumowych podeszwach, była w równie opłakanej sytuacji, ale dotrzymywała mu kroku i nie skarżyła się.

Ostry, wilgotny wiatr przybrał na sile od czasu, gdy wylądowali na lotnisku. Świślał pomiędzy nagrobkami i większymi pomnikami, szeptem zapowiadając znacznie obfitsze opady śniegu.

Cmentarz od posiadłości Luciana Bellicostiego oddzielał niski kamienny mur i rząd wysokich świerków. Elliot i Tina przeszli na drugą stronę i stojąc w cieniu drzew, przyglądali się podejściu do zakładu pogrzebowego.

Tinie nie trzeba było mówić, że ma zachować milczenie. Czekala z rękami skrzyżowanymi na piersi, z dłońmi dla ogrzania ich wsuniętymi pod pachy.

Elliot martwił się o nią, ale jednocześnie cieszył się z jej towarzystwa.

Od tyłów domu Bellicostiego dzieliło ich dobre sto metrów. Nawet w mroku nocy widzieli sople zwisające z dachu długiej werandy. Pod murem rosło kilka iglaków, ale za małych, żeby się za nimi schować. Okna od tej strony były puste, czarne; za każdym z nich mógł czuć obserwatora, niewidoczny w ciemności.

Elliot wyteżał wzrok, wypatrując ruchu za prostokątnymi szybami. Nie dostrzegł jednak niczego podejrzanego.

Ryzyko, że ktoś w tak krótkim czasie zastawił na nich pułapkę, było niewielkie. Jeśli czekali tam na nich zabójcy, bez wątplenia spodziewaliby się, że śmiało skorzystają z podjazdu. W konsekwencji skupialiby uwagę głównie na froncie domu.

Tak czy inaczej, nie mógł tu stać przez całą noc, zastanawiając się, co zrobić.

Wyszedł spod osłaniających go gałęzi. Tina zrobiła to samo.

Wiatr smagał ich jak bicz. Podrywał z ziemi kryształki śniegu i ciskał je w ich zaczerwienione twarze.

Elliot czuł się nagi, gdy szli przez jaśniejące pole śniegu. Żałował, że wybrali ciemne kurtki. Jeśli ktoś wyjrzy przez okno, natychmiast ich zobaczy.

Chrzęst śniegu pod podeszwami butów brzmiał w jego uszach nieznośnie głośno, chociaż tak naprawdę szli prawie bezszelestnie. Po prostu był przeczulony. Bez przeszkód dotarli do budynku.

Przystanęli na dłuższą chwilę i zetknęli ramionami, zbierali się na odwagę.

W końcu Elliot wyjął z kieszeni pistolet i go odbezpieczył. Palce zeszywniały mu z zimna. Zastanawiał się, czy w razie czego da radę użyć broni.

Skręcili za róg budynku i ostrożnie zmiierzali do wejścia od frontu.

Elliot zatrzymał się przy pierwszym oświetlonym oknie i dał znać Tinie, że ma się trzymać tuż za nim, blisko ściany. Pochylił się, wyciągając szyję, i zerknął przez wąską szczelinę w niedomkniętych żaluzjach. O mało nie krzyknął z szoku i niedowierzania.

W wannie pełnej krwistej wody siedział nagi martwy mężczyzna, patrząc na coś przerażającego za kurtyną między tym światem i przyszłym. Jedna ręka zwisała przerzucona nad krawędzią wanny, a na podłodze pod nią, jakby wypuszczona z palców, leżała brzytwa.

Elliot patrzył w martwe oczy w ziemistej twarzy i zdawał sobie sprawę, że ma przed sobą Luciana Bellicostiego. Wiedział też, że właściciel zakładu pogrzebowego nie targnął się na życie. Sine usta zastygły w grymasie wiecznego zdziwienia, jakby próbował zaprzeczyć wszelkim przyszłym oskarżeniom o to, że popełnił samobójstwo.

Elliot już miał chwycić Tinę za ramię i zabrać ją do samochodu, ale wyczuła, że zobaczył coś ważnego. Wiedział, że ona nie odejdzie, dopóki się nie dowie, co się stało. Wysunęła się przed niego. Trzymał rękę na jej plecach, gdy pochyliła się w stronę okna, więc poczuł, jak zeszywniała na widok trupa. Kiedy się odwróciła, nie miał wątpliwości, że Tina jest gotowa wynieść się stamtąd jak najszybciej, bez chwili zwłoki, bez żadnych pytań czy dyskusji.

Zdążyli zrobić tylko dwa kroki, gdy dostrzegł jakiś ruch nie dalej niż pięć metrów od nich, jakby poruszyła się zaspą śniegu – i nie działa się to za sprawą wiatru. Odruchowo wysunął pistolet przed siebie i cztery razy nacisnął spust. Tłumik okazał się tak skuteczny, że strzały brzmiały nie głośniej niż suchy szelest wiatru.

Skulony, żeby stanowić jak najmniejszy cel, Elliot podbiegł tam, gdzie poruszył się śnieg. Znalazł mężczyznę w białym kombinezonie narciarskim. Musiał leżeć przyczajony, obserwując ich; teraz miał w piersi wilgotną dziurkę. I zniknął fragment jego szyi. Nawet w nikłym, zwodniczym świetle odbijającym się od śniegu Elliot widział, że jego oczy zastygły w takim samym niewidzącym spojrzeniu, jakie Bellicosi kierował ku oknu łazienki.

Co najmniej jeden zabójca czyhał w domu przedsiębiorcy pogrzebowego.

Co najmniej jeden czekał na nich tu, ukryty w śniegu.

Ilu jeszcze?

Gdzie?

Elliot rozglądał się z szybko bijącym sercem. Bał się, że lada chwila cały zaśnieżony trawnik ożyje, podnosząc się w postaci dziesięciu, piętnastu, dwudziestu wrogów.

Panowały jednak cisza i spokój.

Przez chwilę stał jak sparaliżowany, zaskoczony swoją zdolnością do tak szybkiej i gwałtownej reakcji. Narosła w nim ciepła, zwierzęca satysfakcja, która nie do końca była miłym uczuciem, ponieważ lubił się uważać za człowieka cywilizowanego. Nagle poczuł mdłości i kwaśny smak w ustach. Odwrócił się od człowieka, którego właśnie zastrzelił.

Tina wyglądała w śniegu jak blada zjawia.

– Wiedzieli, że jesteśmy w Reno – szepnęła. – A nawet to, że się tu zjawimy.

– Ale spodziewali się, że podejdziemy od frontu. – Ujął ją pod ramię. – Zabierajmy się stąd.

Szli po własnych śladach, jak najszybciej oddalając się od domu. Elliot przy każdym kroku spodziewał się, że usłyszy strzał albo krzyk i odgłosy ścigających ich ludzi.

Podsadził Tinę na cmentarny mur i gdy sam przechodził na drugą stronę, miał wrażenie, że ktoś go chwycił za kurtkę. Zaskoczony, ze świstem wciągnął powietrze. Obejrzał się, ale nikogo nie zobaczył.

Najwyraźniej ludzie w domu pogrzebowym nie wiedzieli, że jeden z nich został wyeliminowany. Wciąż cierpliwie czekali, aż ich zwierzyna wejdzie w pułapkę.

Elliot i Tina biegli między nagrobkami, wzbijając w powietrze chmury śniegu. Obłoki pary buchającej z ich ust ciągnęły się za nimi jak duchy.

Prawie w połowie cmentarza, zyskawszy pewność, że nikt ich nie ściga, Elliot zatrzymał się i oparł o wysoki pomnik. Spróbował uspokoić oddech, żeby nie łykać tak wielkich haustów lodowatego powietrza. Oczami wyobraźni ujrzął obraz rozerwanego gardła swojej ofiary i wezbrała w nim fala mdłości.

Tina położyła rękę na jego ramieniu.

– Dobrze się czujesz?

– Zabiłem człowieka.

– Gdybyś tego nie zrobił, on zabiłby nas.

– Wiem. Mimo to... jest mi niedobrze.

– Myślałam... kiedy służyłeś w wojsku...

– Tak – rzucił cicho. – Tak, zabijałem. Ale jak powiedziałaś, to było w wojsku. To nie to samo. Tam strzelałem do wrogów. Tu popełniłem morderstwo. – Potrząsnął głową, żeby w niej przejaśniało. – Dam sobie radę. – Schował pistolet do kieszeni. – To tylko szok.

Objęli się.

– Skoro wiedzieli, że lecimy do Reno – zaczęła Tina – to dlaczego nie śledzili nas z lotniska? Wtedy wiedzieliby, że nie zamierzamy podejść do zakładu od frontu.

– Może uznali, że wypatrzę ogon i będę się miał na baczności. Zresztą przypuszczam, że byli tak pewni celu naszej podróży, że uznali, że śledzenie nas nie jest konieczne. Doszli do wniosku, że nie mamy innej możliwości, jak tylko zwrócić się do Bellicostiego.

– Wracajmy do samochodu. Zamarzam.

– Ja też. I lepiej wydostańmy się z tej okolicy, zanim znajdą swojego człowieka w śniegu.

Opuścili cmentarz i wyszli na cichą ulicę, gdzie w nikłym świetle latarni stał wypożyczony chevrolet.

Gdy Elliot otworzył drzwi po stronie kierowcy, kątem oka dostrzegł ruch. Uniósł głowę, już wiedząc, co zobaczy. Zza rogu wyjechał biały ford i powoli się do nich zbliżał. Zahamował przy krawężniku i zatrzymał się. Drzwi się otworzyły i wysiadło dwóch wysokich mężczyzn w ciemnych ubraniach.

Nie musieli się przedstawiać. Elliot wskoczył za kierownicę, zatrzasnął drzwi i wbił kluczyk w stacyjkę.

– A jednak nas śledzili – powiedziała Tina.

– Tak. – Uruchomił silnik i wrzucił bieg. – Transponder. Prawdopodobnie właśnie go namierzili.

Nie usłyszał strzału, ale pocisk strzaskał tylną boczną szybę za jego głową i utkwiał w oparciu siedzenia, zasypując wnętrze kawałkami szkła bezodpryskowego.

– Schyl się! – krzyknął.

Obejrzał się.

Mężczyźni biegli, ślizgając się na oblodzonej miejscami nawierzchni.

Elliot wcisnął pedał gazu i samochód ruszył z piskiem opon.

Dwa pociski rykoszetowały od karoserii, odskakując z krótkim wysokim jękiem.

Garbił się nad kierownicą, spodziewając się kuli przez tylną szybę. Na zakręcie zignorował znak stopu, ledwie musnął pedał hamulca i ostro skręcił w lewo, poddając ciężkiej próbie zawieszenie chevroleta.

Tina uniosła głowę, spojrzała na pustą ulicę za nimi, a później na niego.

– Transponder? Co to takiego? Chcesz powiedzieć, że założyli nam pluskwę? W takim razie powinniśmy porzucić to auto, prawda?

– Najpierw musimy zgubić tych sukinsynów – odparł. – Jeśli teraz zostawimy samochód, szybko nas dopadną. Pieszko nie uciekniemy.

– To co zrobimy?

Dotarli do następnego skrzyżowania i Elliot skręcił w prawo.

– Za następnym zakrętem zatrzymam się i wysiądę. Bądź gotowa, żeby przesiąść się na moje miejsce.

– Co chcesz zrobić?

– Schowam się w krzakach i będę czekać, aż wyskoczą zza rogu. Jedź dalej, ale niezbyt szybko. Daj im szansę zobaczyć, jak skręcasz w następną ulicę. Będą patrzeć na samochód, a mnie nie zauważą.

– Nie powinniśmy się rozdzielać.

– To jedyny sposób.

– A jeśli cię dopadną?

– Nie dopadną.

– Bo wtedy zostanę sama.

– Nie dopadną mnie. Ale musisz szybko zastąpić mnie za kółkiem. Jeśli przystaniemy na dłużej niż kilka sekund, zobaczą to na monitorze i mogą nabrać

podejrzeń.

Skręcił w prawo i zatrzymał się na środku ulicy.

– Elliot, nie...

– Nie ma wyboru. – Otworzył drzwi i wyskoczył. – Szybko, Tino!

Zatrzasnął drzwi i pobiegł do rzędu iglaków na skraju trawnika przed niskim ceglany domem w stylu rancza. Przykucnął za krzewem, kuląc się w cieniu tuż za kręgiem mroźnego światła pobliskiej latarni. Wyjął pistolet z kieszeni i zobaczył, że Tina odjeżdża.

Gdy ucichł warkot samochodu, usłyszał ryk szybko zbliżającego się pojazdu. Kilka sekund później na skrzyżowanie wpadł biały ford.

Elliot wstał, trzymając pistolet oburącz, i szybko oddał trzy strzały. Dwa pierwsze pociski brzęknęły o metal, a trzeci przebił prawą przednią oponę.

Ford ze zbyt dużą prędkością wszedł w zakręt, co w połączeniu z przebitą oponą sprawiło, że obrócił się na jezdni, przeskoczył nad krawężnikiem, przedarł się przez żywopłot, zniszczył gipsowe poidełko dla ptaków i znieruchomiał na środku zasłanego śniegiem trawnika.

Elliot pobiegł do chevroleta, który Tina zatrzymała kilkaset metrów dalej. Miał wrażenie, że dzieli ich więcej niż sto kilometrów. Jego stopy dudniły jak bębny w cichym nocnym powietrzu. Wreszcie dotarł do samochodu, w którym Tina już otworzyła drzwi. Wskoczył i zatrzasnął je za sobą.

– Jedź, jedź!

Wcisnęła gaz do deski. Chevrolet zadygotał i ruszył z piskiem opon.

– Skręć w prawo na następnym skrzyżowaniu! – zawołał Elliot, gdy przejechali dwie przecznice. Po dwóch kolejnych powiedział: – Zjedź na bok. Poszukam tej pluskwy.

– Przecież nie mogą za nami jechać.

– Wciąż mają nadajnik. Mogą nas śledzić na ekranie i nawet jeśli teraz się wymknęliśmy, to wyślą za nami następnych. Nie chcę, żeby widzieli, gdzie jesteśmy.

Tina zatrzymała samochód i Elliot wysiadł. Obszukał palcami wewnętrzną stronę błotników i nadkoli, gdzie szybko i łatwo można umocować nadajnik. Niczego nie znalazł. Przedni zderzak też był czysty. W końcu namacał pudełko wielkości paczki papierosów przyłączone magnesami do spodniej strony tylnego zderzaka. Oderwał je, rozdeptał i rzucił jak najdalej.

Po chwili znów razem siedzieli w samochodzie z zamkniętymi drzwiami, pracującym silnikiem i ogrzewaniem ustawionym na maksimum. Milczeli, wciąż

oszołomieni. Ciepłe powietrze płynące z nawiewnika wcale nie uwalniało ich od drżenia.

W końcu Tina się odezwała.

– Boże, oni działają tak szybko!

– Wciąż jesteśmy krok przed nimi – powiedział Elliot, choć bez wcześniejszej pewności siebie.

– Raczej pół kroku.

– Pewnie tak – przyznał.

– Bellicosi miał nam podać informacje, których potrzebujemy, żeby zainteresować prasę.

– Już tego nie zrobi.

– Więc skąd je weźmiemy?

– Gdzieś na pewno są.

– Potrzebujemy dowodów.

– Coś wymyślimy, żeby je zdobyć.

– Do kogo się zwrócimy?

– Sytuacja nie jest beznadziejna, Tino.

– Wcale tego nie mówię. Ale co mamy teraz zrobić?

– Dzisiaj nic nie wykombinujemy – odparł ze zmęczeniem w głosie. – Nie w takim stanie. Oboje jesteśmy wykończeni, tylko desperacja trzyma nas na nogach. To niebezpieczne. Czasem najlepszą decyzją jest niepodejmowanie żadnych decyzji. Musimy się gdzieś zaszyć i trochę odpocząć. Rano, kiedy przejaśni się nam w głowach, odpowiedzi same się znajdą.

– Sądysz, że dasz radę zasnąć?

– O tak. Mamy za sobą ciężki dzień.

– Gdzie będziemy bezpieczni?

– Ukryjemy się na widoku – odparł Elliot. – Zamiast szukać jakiegoś motelu na uboczu, pójdziemy prosto do najlepszego hotelu w mieście.

– Do Harrah's?

– Właśnie. Nie będą się spodziewać takiej beczelności. Będą nas szukać wszędzie, tylko nie tam.

– To ryzykowne.

– Przychodzi ci na myśl lepsze rozwiązanie?

– Nie.

– Wszystko jest ryzykowne.

– W porządku. Jedziemy.

Wjechali do centrum miasta. Zostawili chevroleta na publicznym parkingu cztery przecznice od hotelu.

– Szkoda, że musimy zrezygnować z samochodu – powiedziała Tina, gdy Elliot wyjął walizkę z bagażnika.

– Będą go szukać.

Szli do hotelu Harrah's wietrzną, zbryzganą neonowym światłem ulicą. Nawet o drugiej w nocy z kasyn płynęły dźwięki automatów do gry, głośna muzyka oraz śmiech i wszystko to składało się na nieprzyjemny dla ucha hałas.

Nocnemu życiu w Reno brakowało energii, jaką miało Las Vegas, i większość turystów już poszła spać, ale w hotelowym kasynie wciąż panował spory ruch. Młody marynarz miał dobrą passę przy stole z kośćmi i tłum podekscytowanych gapiów zachęcał go do wyrzucenia potrzebnej ósemki.

W świąteczny weekend wszystkie miejsca w hotelu były zarezerwowane, ale Elliot wiedział, że zawsze są jakieś wolne pokoje. Na prośbę kierownika kasyna każdy hotel trzymał ich kilka na wypadek, gdyby stali goście – oczywiście ci, co grali na wysokie stawki – pojawili się bez uprzedzenia, za to z grubymi plikami banknotów. Poza tym zdarzało się, że ktoś w ostatniej chwili odwoływał rezerwację albo po prostu nie przyjeżdżał, nikogo o tym nie informując. Dwie schludnie złożone dwudziestki, dyskretnie wsunięte w dłoń recepcjonisty, z reguły gwarantowały znalezienie wolnego pokoju.

Gdy Elliot usłyszał, że mogą się zatrzymać w hotelu na dwie doby, wpisał się do książki jako „Hank Thomas”, lekko przekręcając imię i nazwisko jednego ze swoich ulubionych aktorów, i dodał adres w Seattle. W odpowiedzi na prośbę o dokument tożsamości lub kartę kredytową uraczył recepcjonistę smutną opowieścią o tym, że na lotnisku padli ofiarą kieszonkowca. W tej sytuacji był zmuszony zapłacić gotówką za dwa dni z góry i odliczył banknoty z wyjątego z kieszeni rulonu, no bo przecież portfel został skradziony.

Dostali przestronny, ładnie urządzone pokój na ósmym piętrze.

Po wyjściu boya Elliot zaryglował drzwi, założył łańcuch i wklinował pod klamkę oparcie solidnego ciężkiego krzesła.

– Jak w więzieniu – zauważyła Tina.

– Tyle że to my jesteśmy w nim zamknięci, podczas gdy mordercy biegają wolni po ulicach.

Wkrótce leżeli przytuleni w łóżku, ale żadne z nich nie miało ochoty na seks. Nie potrzebowali niczego więcej poza bliskością, potwierdzeniem, że żyją, poczuciem bezpieczeństwa i wzajemnej troski. Było to zwierzęce pragnienie uczucia i towarzystwa, reakcja na śmierć i zniszczenie towarzyszące im tego

burzliwego dnia. Po napotkaniu tylu ludzi mających niewiele szacunku dla ludzkiego życia musieli wzajemnie się przekonać, że naprawdę są czymś więcej niż pyłem na wietrze.

– Miałaś rację – odezwał się po kilku minutach Elliot.

– W związku z czym?

– Z tym, co mówiłaś ubiegłej nocy w Vegas.

– Odśwież mi pamięć.

– Powiedziałaś, że bawi mnie polowanie.

– To jest częścią ciebie... masz to gdzieś głęboko w sobie. Tak, według mnie taka jest prawda.

– Wiem – przyznał. – Teraz to rozumiem. Z początku nie chciałem w to wierzyć.

– Dlaczego? Nie mówiłam tego w negatywnym znaczeniu.

– Wiem. Po prostu przez ponad piętnaście lat wiodłem zwyczajne, codzienne życie. Byłem pewien, że już nie potrzebuję ani nie chcę adrenaliny, która mnie napędzała, kiedy byłem młodszy.

– Nie sądzę, żebyś jej potrzebował albo pragnął – powiedziała Tina. – Ale teraz, gdy po raz pierwszy od lat znowu grozi ci realne niebezpieczeństwo, instynktownie i bez oporów reagujesz na wyzwanie. Jak stary sportowiec, który po latach wraca do gry i sprawdza swój refleks, czerpiąc dumę z tego, że nie stracił dawnych umiejętności.

– Chodzi o coś więcej. Po tym, jak zabiłem tego człowieka... gdzieś w głębi przeniknął mnie dreszcz chorego podniecenia.

– Nie bądź dla siebie taki surowy.

– Nie jestem. Co więcej, ten dreszcz chyba nie był zbyt głęboko ukryty.

– Powinieneś się cieszyć, że zabiłeś tego łajdaka – szepnęła, ściskając jego rękę.

– Tak sądzisz?

– Słuchaj, gdybym mogła dorwać ludzi, którzy utrudniają mi znalezienie Danny'ego, zabiłabym ich bez skrupułów. Może nawet sprawiłoby mi to przyjemność. Jestem matką lwicą, a oni ukradli moje młode. Może akurat taka reakcja jest najbardziej naturalna, wręcz godna podziwu.

– Więc w każdym z nas drzemie bestia, tak?

– Nie tylko ja mam w sobie dzikie zwierzę.

– Ale czy to nas rozgrzesza?

– A potrzebujemy rozgrzeszenia? – zapytała. – Bóg nas takich stworzył. Właśnie tacy mieliśmy być, więc w czym problem?

– Może masz rację.

– Jeśli człowiek zabija dla przyjemności albo tylko w imię ideałów, jak niektórzy nawiedzeni rewolucjoniści, to wtedy można mówić o bestialstwie... albo o obłądnie. Ty zrobiłeś coś zupełnie innego. Instynkt samozachowawczy należy do najpotężniejszych, jakimi obdarzył nas Bóg. Naszym celem jest przetrwanie, nawet jeśli musimy kogoś zabić, żeby go osiągnąć.

Przez chwilę leżeli w milczeniu.

– Dziękuję – odezwał się w końcu Elliot.

– Za co?

– Za to, że słuchałaś.

KURT HENSEN, PRAWA RĘKA George'a Alexandra, drzemał w trakcie burzliwego lotu z Las Vegas do Reno. Lecieli należącym do Pajęczyny dziesięcioosobowym odrzutowcem, miotanym przez silny wiatr w przydzielonym im korytarzu powietrznym. Hensen, potężnie zbudowany mężczyzna o bardzo jasnych włosach i żółtych jak u kota oczach, bał się latania. Potrafił się zmusić do wejścia na pokład tylko po nafaszerowaniu się lekami. Zwykle zasypiał kilka minut po starcie.

Drugi pasażer, George Alexander, uważał zakup odrzutowca za jedno ze swoich największych dokonań w ciągu trzech lat piastowania stanowiska szefa biura terenowego w Nevadzie. Chociaż spędzał tam większość czasu, często obowiązki wzywały go do odległych miejsc, takich jak Reno czy Elko, a nawet do innych stanów, do Teksasu, Kalifornii, Arizony, Nowego Meksyku, Utah. Przez pierwszy rok latał liniami komercyjnymi albo korzystał z usług zaufanego pilota, który siadał za sterami dwusilnikowej awionetki, wywalczonej przez jego poprzednika. Uważał jednak za absurdalne i krótkowzroczne, żeby człowiek o jego pozycji korzystał z tak prymitywnych środków komunikacji. Jego czas był niezmiernie cenny dla kraju; praca, którą wykonywał, była tajna i niejednokrotnie wymagała szybkiego podejmowania decyzji na podstawie analizy informacji z pierwszej ręki, często w dalekich miejscach. Po długim i żmudnym urabianiu dyrektora w końcu dostał ten mały odrzutowiec i na liście płac biura w Nevadzie natychmiast znalazły się nazwiska dwóch etatowych pilotów, byłych wojskowych.

Czasami Pajęczyna skąpiła pieniędzy – zresztą na własną szkodę. A on, George Lincoln Stanhope Alexander, dziedzic fortuny Alexandrów z Pensylwanii i ogromnego majątku Stanhope'ów z Delaware, absolutnie nie miał cierpliwości do dusigroszy.

Oczywiście Pajęczyna musiała liczyć się z każdym dolarem, bo ich zdobycie wcale nie było łatwe. Z uwagi na ściśle tajny charakter organizacji, przyznawane jej fundusze pochodziły ze środków przeznaczonych dla innych resortów. Źródłem trzech miliardów dolarów, stanowiących największy udział w rocznym budżecie, był Departament Zdrowia i Opieki Społecznej. Tam, na najwyższych szczeblach decydujących o polityce finansowej, Pajęczyna miała swojego głęboko utajnionego

agenta, niejakiego Jacklina. Jego robota polegała na wymyślaniu nowych programów socjalnych, przekonywaniu sekretarza departamentu o zasadności ich wprowadzenia, forsowaniu ich w Kongresie i następnie tworzeniu wiarygodnych biurokratycznych zasłon dymnych ukrywających fakt, że te programy są całkowicie fikcyjne. Gdy do Departamentu Zdrowia i Opieki Społecznej spływały przyznane fundusze z budżetu federalnego, kierowano je do Pajęczyny. Wyprowadzenie trzech miliardów dolarów z tego departamentu należało do najmniej ryzykownych operacji finansowych tej instytucji, bo była ona tak gigantyczna, że po prostu nikt nie zauważał braku takiej małej sumy. Podobne zabiegi stosowano w Departamencie Obrony, który, choć w dzisiejszych czasach miał okrojony budżet, był źródłem kolejnego miliarda zasilającego kasę organizacji. Mniejsze sumy, od stu milionów po pół miliarda, co roku przekazywano po cichu z Departamentu Energii, Departamentu Edukacji i innych agend rządowych.

Tak więc finansowanie wymagało sporo zachodu, ale Pajęczyna nie miała powodów narzekać na brak funduszy. Zakup odrzutowca dla szefa ważnego biura w Nevadzie wcale nie był ekstrawagancją i Alexander wierzył, że jego ubiegłoroczne dokonania przekonały starego w Waszyngtonie, że jest to mądra inwestycja.

Był dumny ze swojego stanowiska, ale też sfrustrowany, ponieważ tylko nieliczni wiedzieli o jego doniosłej roli.

Czasami zazdrościł ojcu i wujom. Większość z nich służyła swojemu krajowi otwarcie, w widoczny sposób, więc każdy mógł patrzeć i podziwiać ich bezinteresowne działania na rzecz społeczeństwa. Sekretarz obrony, sekretarz stanu, ambasador we Francji – ludzie piastujący takie urzędy byli doceniani i szanowani.

On natomiast objął ważną posadę dopiero przed sześciu laty, mając trzydzieści sześć lat. Wcześniej też pracował dla rządu, chociaż na mniej eksponowanych stanowiskach w świecie dyplomacji i wywiadu. Oczywiście nie było to obrazą dla nazwiska jego rodziny, ale zawsze sprawował pomniejszych funkcje w ambasadach w takich krajach jak Islandia, Ekwador czy Tonga, co oczywiście nie zasługiwało nawet na krótką wzmiankę o nim w „New York Timesie”.

Gdy sześć lat temu powstała Pajęczyna, nowa agencja wywiadowcza, prezydent zlecił mu utworzenie biura w Ameryce Południowej. Było to ekscytujące, ambitne, ważne wyzwanie. Alexander został bezpośrednio odpowiedzialny za wydatki rządu dziesiątków milionów dolarów i w końcu podlegały mu setki agentów w kilkunastu krajach. Po trzech latach prezydent, zadowolony z jego dokonań

w Ameryce Południowej, powierzył mu kierownictwo jednego z krajowych biur terenowych organizacji – w Nevadzie – wcześniej koszmarne zarządzanego. To stanowisko było jednym z sześciu najpotężniejszych w hierarchii Pajęczyny. Prezydent dał mu nadzieję, że zostanie awansowany na szefa całej zachodniej części kraju – a z czasem trafi na sam szczyt, jeśli tylko sprawi, że kulejący wydział zachodni zacznie funkcjonować równie gładko jak biura terenowe w Ameryce Południowej i ostatnio biuro w Nevadzie. Alexander lubił sobie wyobrazać, że już zajmuje fotel dyrektora w Waszyngtonie i kieruje wszystkimi krajowymi i zagranicznymi operacjami Pajęczyny. Po objęciu tego stanowiska dołączy do grona najpotężniejszych ludzi w Stanach Zjednoczonych; będzie dysponować władzą, o jakiej sekretarz stanu czy obrony nie mógłby nawet marzyć.

Niestety, nie mógł nikomu powiedzieć o swoich osiągnięciach. Nie mógł liczyć na publiczne uznanie i zaszczyty, które spadały na innych członków jego rodziny. Pajęczyna, jeśli miała być skuteczna, musiała działać w głębokiej konspiracji. Przynajmniej połowa pracujących dla niej ludzi nie zdawała sobie sprawy z jej istnienia; jedni myśleli, że ich pracodawcą jest FBI, drudzy, że CIA albo Secret Service, a jeszcze inni żyli w przeświadczeniu, że są zatrudnieni przez różne wydziały Departamentu Skarbu. Dzięki takiemu układowi żadna z tych osób nie mogła ujawnić istnienia Pajęczyny. Tylko szefowie centrali i jej bezpośredni personel, szefowie biur w głównych miastach i starsi agenci terenowi, którzy dowiedli swojej lojalności, znali własnych pracodawców i ich cele. Gdyby media dowiedziały się o istnieniu Pajęczyny, byłoby to równoznaczne z jej unicestwieniem.

Alexander siedział w przyćmionym świetle i patrzył na przemykające w dole chmury. Zastanawiał się, co powiedzieliby ojciec i wujowie, gdyby wiedzieli, że służba krajowi często żąda od niego wydawania wyroków śmierci. Dla nich, przedstawicieli wydelikaczonej elity ze Wschodniego Wybrzeża, jeszcze bardziej szokująca byłaby wiadomość, że w Ameryce Południowej był trzy razy zmuszony pociągnąć za spust. Te zabójstwa sprawiły mu tak ogromną przyjemność i stanowiły źródło takiego podniecenia, że później już z własnej woli podjął się roli kata i zabił jeszcze kilku ludzi. Co pomyśleliby sobie starsi Alexandrowie, sławni mężowie stanu, gdyby wiedzieli, że ma krew na rękach? Przypuszczał, że zrozumieliby, że czasami charakter jego pracy wymaga zabijania. Byli idealistami, gdy dyskutowali o tym, jak być powinno, ale kiedy mieli do czynienia z rzeczywistym stanem rzeczy, okazywali się chłodnymi pragmatykami. Zdawali sobie sprawę, że świat bezpieczeństwa wewnętrznego i międzynarodowych służb

wywiadowczych nie jest placem zabaw. George Alexander miał nadzieję, że może nawet znaleźliby w sercach wybaczenie za to, że osobiście dokonywał egzekucji.

Przecież nigdy nie zabił zwykłego obywatela ani nikogo wartościowego. Jego celami zawsze byli szpiedzy, zdrajcy; wielu z nich też zabijało z zimną krwią. Robactwo. Po prostu tępił robactwo. Nie była to miła robota, ale też niepozbawiona szczypty prawdziwej godności i heroizmu. Przynajmniej on tak to widział i uważał się za bohatera. Tak, nie wątpił, że ojciec i wujowie daliby mu swoje błogosławieństwo – gdyby tylko mógł im o wszystkim powiedzieć.

Odrzutowiec trafił na wyjątkowo silne turbulencje. Zszedł z kursu, podskakując i dygocząc.

Kurt Hensen zachrapał przez sen, ale się nie zbudził.

Kiedy powrócił spokój, Alexander spojrział przez okno na zalane księżycową poświatą mlecznobiałe kobiece krągłości chmur i pomyślał o Christinie Evans. Uważał, że jest całkiem niezła. Na fotelu obok niego leżała jej teczka. Podniósł ją, otworzył i popatrzył na zdjęcie. Faktycznie bardzo ładna. Zdecydował, że gdy nadejdzie czas, sam ją zabije, i ta myśl spowodowała natychmiastową erekcję.

Lubił zabijać. Nawet nie starał się udawać, że jest inaczej, bez względu na to, jaką maskę pokazywał światu. Przez całe życie z powodów, których nigdy nie umiał w pełni sprecyzować, zawsze fascynowała go śmierć. Był zaintrygowany jej formą, naturą i możliwościami i starał się zgłębić jej sens. Uważał siebie za jej wysłannika, za namaszczonego przez Boga kata. Zabójstwa pod wieloma względami podniecały go bardziej niż seks. Zdawał sobie sprawę, że jego upodobanie do przemocy nie byłoby długo tolerowane przez stare FBI – a może nawet to nowe, głęboko upolitycznione – i przez wiele innych nadzorowanych przez Kongres agencji. Ale w tej nieznannej organizacji, w tym tajemnym, bezpiecznym miejscu, czuł się całkowicie bezkarny.

Alexander zamknął oczy i fantazjował o Christinie Evans.

TINA ŚNIEŁA, ŻE DANNY jest na końcu długiego tunelu. Skuty łańcuchami, siedział w dobrze oświetlonej małej grocie, ale wiodła do niego cienista, najeżona niebezpieczeństwami droga. Wołał do niej, błagając, żeby go ocaliła, zanim strop tego podziemnego więzienia się zarwie i pogrzebie go żywcem. Ruszyła w jego stronę, zdeterminowana mu pomóc – gdy nagle coś sięgnęło ku niej z wąskiej szczeliny w ścianie. Kątem oka dostrzegła tam migotliwy łagodny blask jakby płonącego ognia i tajemniczą postać na czerwonym tle. Odwróciła się i zobaczyła przed sobą wyszczerzoną twarz Pana Śmierci, patrzącą na nią jak gdyby z czeluści piekła. Szkarłatne oczy. Pomarszczona skóra. Kłębówisko larw na policzku. Krzyknęła, ale w tej samej chwili zrozumiała, że Pan Śmierć nie może jej dosięgnąć. Szczelina w ścianie była zbyt wąska; nie mógł się przez nią precisnąć. Wysuwał tylko jedną rękę, bezskutecznie próbując chwycić Tinę długimi kościanymi palcami. Tina, nawoływana przez Danny'ego, podjęła wędrówkę mrocznym tunelem. Wiele razy mijala szczeliny i przez każdą z nich Pan Śmierć patrzył na nią z nienawiścią, wrzeszcząc, pomstując i wyjąc z gniewu, że nie może się wdrzeć do tunelu. Wreszcie dotarła do syna. Kiedy go objęła, łańcuchy opadły z jego rąk i nóg jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. „Bałam się”, powiedziała. A Danny na to: „Pomniejszyłem te dziury w ścianach. Dopilnowałem, żeby nie mógł cię dosięgnąć, żeby nie zrobił ci krzywdy”.

O ósmej trzydzieści w piątek rano Tina zbudziła się uśmiechnięta i podekscytowana. Potrząsnęła ramieniem Elliota.

Mrugając sennie, usiadł na łóżku.

– Co się stało?

– Danny przysłał mi kolejny sen.

– Najwyraźniej tym razem nie koszmar – powiedziała, widząc jej radosny uśmiech.

– Ani trochę. Danny chce, żebyśmy po niego przyszli. Chce, żebyśmy weszli tam, gdzie go trzymają, i go stamtąd zabrali.

– Zabijają nas, zanim tam dotrzemy. Nie możemy zaszarżować niczym kawaleria. Musimy wykorzystać media i sądy, żeby go uwolnić.

- Tu się z tobą nie zgadzam.
- Sami nie damy rady walczyć z całą organizacją, która stoi za Kennebeckiem, ani z personelem jakiegoś tajnego wojskowego ośrodka badawczego.
- Danny sprawi, że będziemy bezpieczni – oznajmiła z głębokim przeświadczeniem. – Użyje swojego daru i pomoże nam się tam dostać.
- To niemożliwe.
- A mówiłeś, że już wierzysz.
- Bo wierzę – potwierdził Elliot, przeciągając się i ziewając. – Wierzę. Tylko jak on może nam pomóc? Jak może zapewnić nam bezpieczeństwo?
- Nie mam pojęcia. Ale właśnie takie jest znaczenie mojego snu. Jestem tego pewna.
- Szczegółowo opowiedziała mu sen i Elliot musiał przyznać, że jej interpretacja nie wydaje się naciągana.
- Ale jeśli nawet on pomoże nam wejść, to i tak nie wiemy, gdzie go trzymają – zauważył. – Ten tajny ośrodek może być wszędzie. Może nawet w ogóle nie istnieje. A jeśli istnieje, to mogli przenieść Danny’ego gdzieś indziej.
- Istnieje, i Danny tam jest – oświadczyła Tina z większym przekonaniem, niż rzeczywiście czuła.
- Była w kontakcie z synem. Czuła się niemal tak, jakby trzymała go w ramionach, i nie chciała, żeby ktoś jej mówił, że Danny może być poza jej zasięgiem.
- W porządku – mruknął Elliot, przecierając zaspane oczy. – Powiedzmy, że ośrodek istnieje. To niewiele nam pomaga, bo może być zlokalizowany w dowolnym miejscu w górach.
- Nie – zaprzeczyła. – Musi znajdować się w odległości kilku kilometrów od miejsca, gdzie Jaborski wybrał się ze skautami.
- Tak, pewnie masz rację. Ale to i tak piekielnie duży obszar. Nie zdołamy dokładnie go przeszukać.
- Tina odzyskała pewność siebie.
- Danny nam go wskaże.
- Danny powie nam, gdzie przebywa?
- Wyczułam to we śnie.
- Jak to zrobi?
- Nie wiem. Ale mam przeczucie, że jeśli wymyślimy jakiś sposób... jakąś możliwość skupienia jego energii, ukierunkowania jej...
- Na przykład?

Patrzyła na skłębioną pościel, jakby szukała inspiracji w zagnieceniach materiału. Taki wyraz twarzy mogłaby mieć cygańska wróżka przepowiadająca przyszłość z fusów.

– Mapy! – krzyknęła nagle.

– Co?

– Czy nie publikują map dzikich terenów? Potrzebują ich turyści i miłośnicy natury. Chodzi mi o takie mapy, które pokazują ukształtowanie terenu... wzgórza, doliny, bieg rzek i strumieni, ścieżki, porzucone szlaki drwali, tego rodzaju rzeczy. Jaborski musiał mieć mapy. Tak, miał. Widziałam je na spotkaniu z rodzicami, kiedy tłumaczył, dlaczego wycieczka będzie całkowicie bezpieczna.

– Przypuszczam, że znajdziemy je w każdym sklepie sportowym, w każdym razie takie, na których są najbliższe partie Sierra Nevada.

– Może kiedy rozłożymy taką mapę... Danny znajdzie sposób, żeby nam pokazać, gdzie dokładnie przebywa.

– Jak?

– Jeszcze nie wiem. – Tina odrzuciła kołdrę i wstała z łóżka. – Najpierw kupmy mapy. O resztę będziemy martwić się później. Chodź. Weźmy prysznic, ubierzmy się. Za jakąś godzinę otwierają sklepy.

* * *

Z POWODU WPADKI W domu Bellicostiego George Alexander położył się spać dopiero o wpół do szóstej w piątek rano. Wciąż wściekły, że jego podwładni pozwolili uciec Strykerowi i kobiecie, miał kłopoty z zaśnięciem. W końcu zapadł w sen około siódmej.

O dziesiątej zbudził go telefon. Dzwonił dyrektor Pajęczyny z Waszyngtonu. Używali elektronicznego urządzenia szyfrującego, więc mogli rozmawiać bez obaw, że ktoś ich podsłucha. Stary nie krył wściekłości i w typowy dla siebie sposób nazywał rzeczy po imieniu.

Słuchając oskarżeń i żądań szefa, Alexander zdał sobie sprawę, że jego przyszłość w agencji stoi pod znakiem zapytania. Jeśli nie powstrzyma Strykera i Christiny Evans, jego marzenie o zajęciu dyrektorskiego stołka nigdy się nie ziści.

Gdy Stary się rozłączył, Alexander zadzwonił do swojego biura. Nie był w nastroju na wysłuchiwanie, że Elliot Stryker i Christina Evans wciąż nie zostali namierzeni. Ale dokładnie to usłyszał. Rozkazał agentom rzucić wszystkie inne zadania i dołączyć do obławy.

– Do jutra macie ich znaleźć – warknął. – Ten łajdak zabił jednego z naszych. Nie może mu to ujsć na sucho. Macie go zlikwidować, i razem z nim tę dziwkę. Oboje mają być martwi.

W POBLIŻU HOTELU BYŁY dwa sklepy sportowe i dwa z bronią. Pierwszy ze sportowych nie miał map w asortymencie, a w drugim akurat zostały wyprzedane. Dopiero w sklepie z bronią Elliot i Tina znaleźli to, czego potrzebowali: przeznaczone dla turystów i myśliwych mapy Sierra Nevada. Złożony z dwunastu map komplet w etui ze sztucznej skóry kosztował sto dolarów.

Po powrocie do hotelu rozłożyli pierwszą mapę na łóżku.

– I co teraz? – zapytał Elliot.

Tina zastanawiała się przez chwilę. Podeszła do biurka, wysunęła środkową szufladę i wyjęła hotelową papeterię. Był do niej dołączony tani plastikowy długopis z nazwą hotelu. Wróciła z nim do łóżka i usiadła obok rozłożonej mapy.

– Spirytyści korzystają z czegoś, co nazywają pismem automatycznym – powiedziała. – Słyszałeś o czymś takim?

– Pewnie. Duch rzekomo kieruje ręką, żeby przekazać wiadomość z zaświatów. Zawsze uważałem to za bzdury pierwszej wody.

– Bzdury czy nie, zamierzam to wypróbować. Z tym że nie potrzebuję ducha, żeby kierował moją ręką. Mam nadzieję, że zrobi to Danny.

– Nie musisz być w transie jak medium na seansie spirytystycznym?

– Spróbuję się jak najgłębiej zrelaksować, otworzyć umysł na wszystko. Będę trzymać długopis na mapie i może Danny wyrysuje dla nas trasę.

Elliot przysunął krzesło do łóżka i usiadł.

– Kompletnie w to nie wierzę. To wariactwo. Ale dam ci szansę i będę siedział jak mysz pod miotłą.

Tina patrzyła na mapę, starając się nie myśleć o niczym poza odcieniami zieleni, żółci, błękitu i brązu, jakimi kartografowie oznaczają ukształtowanie terenu. Po jakimś czasie kontury rozmyły się przed jej oczami.

Minęła minuta.

Dwie minuty. Trzy.

Zamknęła oczy.

Kolejna minuta. I następna.

Nic.

Odwróciła mapę na drugą stronę.

Wciąż nic.

– Daj mi inną mapę – poprosiła.

Elliot wyjął ją z etui i jej podał. Złożył pierwszą mapę, gdy ona rozkładała drugą.

Pół godziny później, przy szóstej mapie, ręka Tiny nagle się przesunęła, jakby ktoś trącił ją w ramię.

Doznała dziwnego, płynącego skądś z wnętrza jej ręki wrażenia, że coś pociągnęło dłoń. Zesztywniała zdumiona.

Tajemnicza siła natychmiast zniknęła.

– Co się stało? – zapytał Elliot.

– Danny podjął próbę.

– Jesteś pewna?

– Całkowicie. Ale mnie zaskoczył i przypuszczam, że nawet ten niewielki opór, jaki stawiałam, wystarczył, żeby go odepchnąć. Przynajmniej wiemy, że to właściwa mapa. Spróbuję jeszcze raz.

Przyłożyła czubek długopisu do skraju mapy i przestała skupiać wzrok.

Temperatura powietrza gwałtownie spadła.

Tina starała się nie myśleć o zimnie. Próbowwała przepędzić z głowy wszystkie myśli.

Prawa dłoń, w której trzymała długopis, marzła szybciej niż inne części ciała. Znowu poczuła nieprzyjemne wewnętrzne szarpnięcia. Palce cierpły z zimna. Nagle dłoń przesunęła się po mapie, wróciła, po czym nakreśliła szereg okręgów; długopis zostawiał na papierze bezsensowne gryzmoły. Pół minut później tajemnicza moc odpłynęła z ręki.

– Nic z tego – rzuciła Tina.

Mapa uniosła się w powietrze, jakby ktoś rzucił nią ze złości albo z frustracji.

Elliot zerwał się z krzesła i próbował po nią sięgnąć, ale uciekła. Zaszleściła w drugim końcu pokoju, wróciła i padła jak martwy ptak na podłogę u jego stóp.

– Jezu... – szepnął. – Gdy następnym razem przeczytam w gazecie o jakimś gościu, który mówi, że porwali go kosmici i zabrali na wycieczkę po wszechświecie, nie będę już taki skory do śmiechu. Jeśli zobaczę więcej tańczących przedmiotów, zacznę wierzyć nawet w najdziwniejsze rzeczy.

Tina wstała z łóżka, masując zziębniętą rękę.

– Chyba stawiam zbyt duży opór. To takie dziwne uczucie, gdy Danny przejmuje kontrolę... wbrew sobie napinam mięśnie. Myślę, że miałeś rację co do transu.

– Obawiam się, że w tym nie mogę ci pomóc. Jestem dobrym kucharzem, ale nie hipnotyzerem.

Zamrugła.

– Hipnoza! Oczywiście! To powinno załatwić sprawę.

– Możliwe. Ale gdzie spodziewasz się znaleźć hipnotyzera? O ile mi wiadomo, nie świadczą usług na rogu ulicy.

– Billy Sandstone – powiedziała.

– Kto?

– Jest hipnotyzerem. Mieszka w Reno. Daje występy. Są nadzwyczajne. Chciałam, żeby wziął udział w *Magyck!*, ale miał już podpisany kontrakt na wyłączność z siecią hoteli Reno-Tahoe. Jeśli uda nam się go złapać, będzie mógł mnie zahipnotyzować. Może wtedy będę dostatecznie rozluźniona, żeby to automatyczne pisanie zadziałało.

– Znasz jego numer?

– Nie. I pewnie jest zastrzeżony. Ale znam numer jego agenta. Spróbuję skontaktować się z nim przez niego.

Pośpieszyła do telefonu.

BILLY SANDSTONE MIAŁ PRAWIE czterdzieści lat, był niski i chudy jak dżokej i można by go opisać dwoma słowami: uosobienie schludności. Jego buty lśniły jak czarne lustro. Kanty spodni były ostre jak żyłki. Niebieska sportowa koszula, mocno wykrochmalona i świeżo uprasowana, szeleściła przy każdym ruchu. Miał elegancką fryzurę i wąsik przystrzyżony tak starannie, że wyglądał jak namalowany nad wargą.

Jadalnia Billy'ego też była schludna. Stół, krzesła, komoda i kredens miały ciepły połysk dzięki woskowi, który wcierano w drewno z jeszcze większym wigorem niż przy pucowaniu błyszczących butów. W skrzącym się w świetle kryształowym wazonie ustawionym pośrodku stołu pyszniły się świeżo ścięte róże. Zasłony wisiały w precyzyjnie odmierzonych fałdach. Cały batalion porządnickich i czyściochów miałby wielki kłopot, żeby znaleźć w tym pokoju choćby jeden pyłek.

Elliot i Tina rozpostarli mapę na stole i usiedli naprzeciwko siebie.

– Pismo automatyczne to ściema, Christino – powiedział Billy. – Musisz o tym wiedzieć.

– Wiem, Billy. Wiem.

– W takim razie...

– Mimo to chcę, żebyś mnie zahipnotyzował.

– Jesteś rozsądną osobą, Tino. To naprawdę do ciebie niepodobne.

– Wiem – powtórzyła.

– Tylko mi powiedz dlaczego. Jeśli wyjaśnisz, czemu ma to służyć, może wtedy lepiej będę mógł ci pomóc.

– Billy, gdybym spróbowała o wszystkim ci opowiedzieć, musielibyśmy tu tkwić do wieczora.

– A nawet dłużej – dorzucił Elliot.

– Nie mamy na to czasu – oznajmiła Tina. – Stawka jest wysoka, Billy. Znacznie wyższa, niż sobie wyobrażasz.

Nie wspomnieli mu słowem o Dannym. Sandstone nie miał najmniejszego pojęcia, dlaczego są w Reno albo czego szukają w górach.

– Zdaję sobie sprawę, Billy, że to wydaje się niedorzeczne – powiedział Elliot. – Pewnie się zastanawiasz, czy nie jestem wariatem. Czy nie namieszałem Tinie w głowie.

– Co zdecydowanie nie wchodzi w rachubę – wtrąciła Tina.

– Zgadza się. Miała już nieźle namieszane, zanim się poznaliśmy.

Żart trochę rozluźnił Sandstone'a, i właśnie na to Elliot liczył. Wariaci i ludzie niezrównoważeni raczej nie próbują nikogo rozśmieszać.

– Zapewniam cię, Billy, że nie świrujemy – przekonywał dalej hipnotyzera. – To sprawa życia i śmierci.

– Naprawdę – potwierdziła z naciskiem Tina.

– No dobrze – ustąpił Billy. – Nie macie teraz czasu na wyjaśnienia. Pogodzę się z tym. Ale mogę na nie liczyć pewnego dnia, kiedy nie będziecie w takim pośpiechu?

– Masz moje słowo – zapewniła go Tina. – Wszystko ci opowiem. A teraz, proszę, wprowadź mnie w trans.

– Niech ci będzie.

Billy miał na palcu złoty sygnet. Przekręcił go o sto osiemdziesiąt stopni. Uniósł otwartą dłoń na wysokość jej oczu.

– Patrz na pierścień i słuchaj tylko mojego głosu.

– Zaczekaj chwilę – poprosiła.

Zdjęła nasadkę z czerwonego flamastra, który Elliot kupił w hotelowym kiosku, zanim pojechali taksówką do domu hipnotyzera. Elliot zaproponował, żeby zmienić kolor tuszu, bo to ułatwi odróżnienie nowych śladów od bezsensownych bazgrołów, które już były na mapie.

Tina przyłożyła flamaster do papieru.

– Jestem gotowa, Billy – oznajmiła. – Rób swoje czary-mary.

Elliot nie był pewien, w którym momencie została wprowadzona w stan hipnozy. Billy powoli poruszał ręką przed twarzą Tiny, jednocześnie mówiąc do niej cichym, jednostajnym tonem, często powtarzając jej imię.

Mało brakowało, a Elliot też wpadłby w trans. Zamrugał i oderwał uwagę od monotonnego głosu hipnotyzera, gdy zrozumiał, że mu ulega.

Tina pustym wzrokiem spoglądała w przestrzeń.

Billy opuścił rękę i przekręcił sygnet na palcu.

– Jesteś pogrążona w głębokim śnie, Tino.

– Tak.

– Masz otwarte oczy, ale śpisz, jesteś pogrążona w głębokim śnie.

– Tak.

- Będziesz spać, dopóki nie każę ci się zbudzić. Rozumiesz?
 - Tak.
 - Będziesz rozluźniona i twój umysł się otworzy.
 - Tak.
 - Nic cię nie przestraszy.
 - Tak.
 - Tak naprawdę nie jesteś w to zaangażowana. Jesteś tylko czymś w rodzaju przekaźnika.
 - Przekaznika – powtórzyła niewyraźnie.
 - Będziesz idealnie bierna, dopóki nie poczujesz przymusu posłużenia się flamastrem.
 - W porządku.
 - Kiedy poczujesz takie pragnienie, nie będziesz się opierać. Ulegniesz mu, rozumiesz?
 - Tak.
 - Nie będziesz zwracać uwagi na moją rozmowę z Elliotem. Będziesz reagować na moje słowa tylko wtedy, gdy zwrócę się bezpośrednio do ciebie. Rozumiesz?
 - Tak.
 - Teraz... otwórz się na tego, kto chce przez ciebie przemówić.
- Czekali.
- Minęła minuta, dwie minuty.
- Billy Sandstone uważnie przypatrywał się Tinie. Po dłuższej chwili niecierpliwie poruszył się na krześle i spojrzał na Elliota.
- Nie sądzę, żeby te bajki o pisaniu przez duchy... – zaczął Elliot.
- Mapa zaszeleściła, przyciągając ich uwagę. Rogi się zwijały i rozwijały w rytmie pulsu żywego stworzenia.
- Powietrze się ochłodziło.
- Mapa znieruchomiała. Szelest ucichł.
- Wzrok Tiny opadł na mapę i jej ręka się poruszyła. Tym razem nie śmigła zamasyście, w niekontrolowany sposób. Sunęła po papierze ostrożnie, z wahaniem, zostawiając cienką kreskę, czerwoną jak nitka krwi.
- Billy Sandstone pocierał dłońmi ramiona, broniąc się przed coraz większym chłodem. Spojrzał spod ściągniętych brwi na regulator temperatury i zaczął podnosić się z krzesła.
- Nie zawracaj sobie głowy sprawdzaniem klimatyzacji – powstrzymał go Elliot.
 - Nie jest włączona. I ogrzewanie też nie nawaliło.
 - Co?

– Źródłem zimna jest... manifestacja ducha – odparł Elliot, trzymając się spirytystycznej terminologii, żeby nie ugrzęznąć w opowiadaniu prawdziwej historii.

– Ducha?

– Tak.

– Czyjego ducha?

– Może być czykolwiek.

– Mówisz poważnie?

– Bardzo poważnie.

Billy spojrział na niego takim wzrokiem, jakby mówił: „Jesteś świrem, tyle już wiem, ale czy niebezpiecznym?”.

Elliot wskazał mapę.

– Widzisz?

Gdy ręka Tiny powoli sunęła po arkuszu, narożniki znowu zaczęły się zwiijać i rozwijać.

– Jak ona to robi? – nie mógł się nadziwić hipnotyzer.

– To nie ona.

– Duch, jak mniemam.

– Zgadza się.

Twarz Billy'ego zastygła w wyrazie bólu, jakby wiara Elliota w duchy sprawiała mu fizyczny ból. Najwyraźniej lubił myśleć, że świat jest tak schludny i uporządkowany jak wszystko inne wokół niego; gdyby zaczął wierzyć w duchy, musiałyby przewartościować swoje opinie również o wielu innych sprawach, a wtedy w jego życiu zapanowałby nieznośny bałagan.

Elliot podzielał jego odczucia. W tej chwili tęsknił za sztywną rutyną pracy w kancelarii, za paragrafami, stojącymi w równym szeregu teczkami akt i ponadczasowymi zasadami obowiązującymi w sali sądowej.

Tina wypuściła flamaster z palców. Oderwała spojrzenie od mapy. Oczy wciąż miała nieskupione.

– Skończyłaś? – zapytał Billy.

– Tak.

– Jesteś pewna?

– Tak.

Hipnotyzer powiedział kilka prostych zdań i głośno klasnął w dłonie, wyprowadzając ją z transu.

Zamrugła z konsternacją, po czym spojrziała na trasę, którą wyrysowała na mapie. Uśmiechnęła się do Elliota.

- Udało się. Boże, udało się!
- Najwyraźniej.
- Wskazała koniec czerwonej linii.
- Tam jest. Tam go przetrzymują.
- W takim terenie niełatwo będzie tam dotrzeć – powiedział Elliot.
- Damy radę. Potrzebujemy porządných ocieplanych ubrań. Zimowych butów. Rakiet śnieżnych na wypadek, gdybyśmy musieli zapuścić się daleko od drogi. Umiesz chodzić w raketach? To nie może być trudne.
- Chwileczkę – przerwał jej. – Nadal nie jestem przekonany, czy twój sen na pewno oznacza to, co myślisz. Skąd twój wniosek, że Danny udzieli nam pomocy? Może rzeczywiście dotrzemy do ośrodka, ale na miejscu stwierdzimy, że nie zdołamy przeniknąć do wewnątrz. Co wtedy?
- Billy Sandstone przenosił zdumione spojrzenie z jednego na drugie.
- Danny... twój Danny? Tino, przecież on nie...
- Nie zwróciła na niego najmniejszej uwagi.
- To nie tylko treść snu doprowadziła mnie do takiego wniosku – powiedziała do Elliota. – Znacznie ważniejsze jest to, co czułam. Tego nie potrafię wyjaśnić. Mógłbyś to zrozumieć tylko wtedy, gdybyś sam miał ten sen. Jestem pewna jego wymowy. Danny pomoże nam się tam dostać.
- Elliot obrócił mapę tak, żeby mógł dokładniej się jej przyjrzeć.
- Przecież Danny nie... – zaczął ponownie Billy.
- Tina znowu weszła mu w słowo.
- Elliot, słuchaj, czy ci nie mówiłam, że on nam pokaże, gdzie go przetrzymują? I co? Wyrysował trasę. Na razie idzie nam świetnie. Czuję, że Danny pomoże nam tam wejść, i nie widzę powodu, żeby nie pójść za ciosem.
- W ten sposób sami oddamy się w ich ręce – zaznaczył Elliot.
- Czyje ręce? – zapytał Billy Sandstone.
- Jak myślisz, co będzie – ciągnęła Tina, patrząc na Elliota – jeśli zostaniemy tutaj i będziemy się ukrywać, dopóki czegoś nie wymyślimy? Ile mamy czasu? Niewiele. Znajdą nas prędzej czy później, i kiedy to się stanie, po prostu nas zabiją.
- Zabiją? – zapytał Billy Sandstone. – Nie lubię tego słowa. Jest na mojej liście brzydkich słów tuż pod brokułami.
- Dotarliśmy tak daleko, ponieważ nie dawaliśmy za wygraną i działaliśmy – dowodziła Tina. – Jeśli zmienimy podejście, jeśli nagle staniemy się zbyt ostrożni, to będzie nasz upadek, nie zbawienie.
- Mówicie tak, jakbyście ruszali na wojnę – wtrącił niespokojnie Billy.

– Prawdopodobnie masz rację – powiedział Elliot do Tiny. – W wojsku nauczyłem się jednego: od czasu do czasu trzeba się zatrzymać i przegrupować siły, ale jeśli zbyt długo będziesz tkwić w jednym miejscu, to fala się odwróci i cię zmiecie.

– Może powinienem posłuchać wiadomości? – zapytał Billy Sandstone. – Wybuchła wojna? Napadliśmy na Francję?

– Czego jeszcze potrzebujemy poza ciepłymi ubraniami, zimowymi butami i raketami? – zapytał Elliot.

– Jeepa – odparła.

– A możeczołgu? – podsunął Billy. – Na wojnie lepszy jestczołg.

– Nie bądź głupi, Billy – skarciła go Tina. – Wystarczy nam jeep.

– Staram się tylko pomóc, skarbie. I dzięki za to, że sobie przypomniałaś o moim istnieniu.

– Jeep albo explorer. Coś z napędem na cztery koła – kontynuowała Tina, zwracając się do Elliota. – Nie będziemy szli pieszo, dopóki nie stanie się to konieczne. Może w ogóle nie będziemy chodzić. Przecież musi tam być jakaś droga, chociaż pewnie jest dobrze zamaskowana. Jeśli dopisze nam szczęście, wyjdziemy stamtąd z Dannym, a on raczej nie będzie w stanie przemierzać gór pieszo w samym środku zimy.

– Ja mam explorera – wtrącił Billy Sandstone.

– Chyba mógłbym przerzucić trochę pieniędzy z mojego banku w Vegas – powiedział Elliot. – Ale oni mogą obserwować ruchy na moim koncie i to by ich szybko do nas doprowadziło. Do poniedziałku banki są zamknięte, więc nie możemy nic zrobić. A do tego czasu mogą nas znaleźć.

– A karta American Express? – zapytała.

– Chcesz kupić jeepa na kartę?

– Nie ma na niej limitu, prawda?

– Nie, ale...

– Kiedyś czytałam w gazecie o gościu, który kupił na kartę rolls-royce'a. Możesz to robić, jeśli tylko bank ma pewność, że spłacisz wszystko w terminie.

– To wariactwo – podsumował Elliot. – Ale chyba możemy spróbować.

– Ja mam explorera – powtórzył Billy Sandstone.

– Znajdźmy adres miejscowego dealera – zaproponowała Tina. – Zobaczymy, czy przyjmą kartę.

– Ja mam explorera! – ryknął Billy.

Obrócili się w jego stronę, zaskoczeni.

– Każdej zimy mam kilkutygodniowy angaż w Lake Tahoe – oznajmił Billy. – Wiecie, jak tam jest o tej porze roku. Śnieg po samą dupę. Nie cierpię latać liniami Tahoe-Reno. Samolot jest cholernie mały. I wiecie, jakie główne lotnisko mają w Tahoe. Dlatego zwykle wolę tam jechać dzień przed pierwszym występem. Explorer jest niezastąpiony w górach przy takiej pogodzie.

– Kiedy wybierasz się do Tahoe? – zapytała Tina.

– Dopiero pod koniec miesiąca.

– Będziesz potrzebować tego samochodu przez kilka najbliższych dni? – zapytał Elliot.

– Nie.

– Możemy go pożyczyć?

– No... chyba tak.

Tina pochyliła się nad rogiem stołu, chwyciła Billy'ego za głowę, przyciągnęła go do siebie i mocno ucałowała.

– Jesteś aniołem, Billy. Dosłownie.

– Jestem lekiem na całe zło?

– Może wszystko zaczyna się układać po naszej myśli – odezwał się Elliot. – Może jednak wyciągniemy stamtąd Danny'ego.

– Wyciągniemy – oświadczyła z głęboką wiarą Tina. – Wiem.

Róże w kryształowym wazonie zawirowały niczym zespół czerwonogłowych baletnic.

Zaskoczony Billy Sandstone zerwał się od stołu tak gwałtownie, że przewrócił krzesło.

Kotary się rozsuwały i zasuwwały, choć oczywiście nikt nie pociągał za sznurki.

Żyrandol zataczał leniwe kręgi, zwisające kryształki rzucały pryzmatyczne desenie na ściany.

Billy wytrzeszczał oczy, stojąc z rozdziawionymi ustami.

Elliot rozumiał jego dezorientację i szczerze mu współczuł.

Nienaturalne poruszenie ustało pół minuty później i w pokoju znów zrobiło się ciepło.

– Jak to zrobiliście? – zapytał Billy.

– To nie my – odparła Tina.

– Przecież nie duch – powiedział kategorycznym tonem Billy.

– Nie duch – zgodził się z nim Elliot.

– Pożyczę wam explorera. Ale najpierw musicie mi wyjaśnić, co się, u licha, dzieje. Nie obchodzi mnie, czy się śpieszycie. Musicie uchylić chociaż rąbka. W przeciwnym razie uschnę i skonam z ciekawości.

Tina pytająco spojrzała na Elliota.

– Co myślisz?

– Billy, może lepiej, żebyś nie wiedział.

– Wykluczone.

– Mamy przeciwko sobie bardzo niebezpiecznych ludzi. Jeśli uznają, że o nich wiesz...

– Słuchaj – przerwał mu Billy – jestem nie tylko hipnotyzerem. Jestem kimś w rodzaju magika. Od początku chciałem obrać taką drogę, ale brakowało mi talentu. Więc stworzyłem program oparty na hipnozie. Ale moją pierwszą prawdziwą miłością jest magia. Muszę wiedzieć, jak zrobiliście ten numer z kotarami i różami. I z rogami mapy! Po prostu muszę!

Rano Elliot uświadomił sobie, że on i Tina są jedynymi osobami, które wiedzą, że oficjalna wersja wypadku w górach jest kłamstwem. Jeśli zginą, prawda umrze wraz z nimi i zasłona dymna nie spadnie. Biorąc pod uwagę wysoką cenę, jaką zapłacili za dotychczasowe żałośnie skąpe informacje, nie mógł znieść myśli, że cały ich ból, strach i niepokój pójdą na marne.

– Billy, masz magnetofon? – zapytał.

– Pewnie – odparł hipnotyzer. – Ale nie jakiś nadzwyczajny. Niewielki, żebym go mógł nosić ze sobą. W trakcie programu rzucam kilka żartów. Magnetofon mi się przydaje do rejestrowania nowych pomysłów i zgrania wszystkich elementów występu w czasie.

– Nie potrzebuję niczego specjalnego – zapewnił go Elliot. – Wystarczy, że będzie działać. Podamy ci skróconą wersję wypadków, które za tym wszystkim stoją, i przy okazji ją nagramy. Później wyślę taśmę do moich partnerów w kancelarii. – Wzruszył ramionami. – Niewielkie ubezpieczenie, ale lepsze niż żadne.

– Lecę po magnetofon! – krzyknął Billy i wypadł z jadalni.

Tina złożyła mapę.

– Miło widzieć, że znowu się uśmiechasz – zauważył Elliot.

– Chyba zwariowałam. Wciąż mamy przed sobą niebezpieczną drogę. Wciąż mamy przeciwko sobie bandę morderców. Nie wiemy, co nas czeka w górach. Więc dlaczego nagle czuję się tak fantastycznie?

– Ponieważ już nie uciekamy – odparł Elliot. – Przechodzimy do ofensywy. Może to lekkomyślne, ale podnosi poczucie własnej wartości.

– Czy dwie osoby mają szansę wygrać z tak potężnym przeciwnikiem jak rząd?

– Cóż – mruknął. – Moim zdaniem zwykli ludzie są skłonniejsi do bardziej odpowiedzialnego i moralnego postępowania niż wszelkie instytucje,

i przynajmniej to stawia nas po lepszej stronie. Poza tym wierzę, że jednostki zawsze są sprytniejsze i na dłuższą metę lepiej przystosowane do przetrwania niż jakakolwiek instytucja. Miejmy nadzieję, że się nie myłę.

* * *

O PIERWSZEJ TRZYDZIEŚCI KURT Hensen wszedł do biura George'a Alexandra w centrum Reno.

– Znaleźli wypożyczony samochód Strykera.

– Był ostatnio używany? – zapytał Alexander.

– Nie. Silnik jest zimny. Szyby pokrywa gruba warstwa szronu. Nikt nim nie jeździł przez całą noc.

– Stryker nie jest głupi – powiedział Alexander. – Najpewniej porzucił auto.

– Mimo to mamy mieć na nie oko?

– Warto to zrobić – odparł Alexander. – Prędzej czy później ci dwoje popełni błąd. Być może wróćą do samochodu. Raczej w to wątpię, ale nie należy wykluczać takiej możliwości.

Hensen wyszedł z pokoju.

Alexander wyjął valium z pudełka, które nosił w kieszeni marynarki, nalał ze srebrnego dzbanka gorącej kawy do kubka i popił nią tabletkę. Była to druga pigułka zażyta od chwili, gdy trzy godziny temu wstał z łóżka, ale wciąż czuł się podenerwowany.

Stryker i ta kobieta okazali się godnymi przeciwnikami.

A on nie lubił mieć godnych przeciwników. Wolał tych łatwych i bezbronnych.

Gdzie oni się podziewają?

OGOŁOCONE Z LIŚCI DRZEWA wyglądały jak zwęglone, jakby ta zima była surowsza niż inne i niszczycielska jak ogień. Te iglaste – sosny, świerki, jodły, modrzewie – były okryte pelerynami śniegu. Mroźny wiatr świszczął pod złowieszczym niskim niebem, rzucając twardym jak lód śniegiem w przednią szybę explorera.

Tina z podziwem – i zaniepokojeniem – spoglądała na majestatyczne drzewa po obu stronach wąskiej wiejskiej drogi, którą jechali na północ. Nawet gdyby nie wiedziała, że te głębokie lasy skrywają tajemnicę Danny’ego i śmierci innych skautów, uważałaby je za tajemnicze i irytująco pierwotne.

Jakieś piętnaście minut temu zjechali z międzystanowej osiemdziesiątki i teraz podążali wytyczoną przez Danny’ego trasą, która biegła skrajem leśnej głuszy. Na mapie wyglądało to tak, że przemieszczają się wzdłuż jej krawędzi, z dużymi połaciami zieleni po lewej. Niedługo skręcą z dwupasowej drogi na następną, według legendy *nieutwardzoną, niegruntową*, cokolwiek to znaczyło.

Po opuszczeniu domu Billy’ego Sandstone’a w jego explorerze Tina i Elliot nie wrócili do hotelu. Oboje mieli przeczucie, że w pokoju czeka na nich ktoś, kto zdecydowanie nie ma przyjaznych zamiarów.

Najpierw udali się do sklepu sportowego i kupili dwa kombinezony narciarskie, zimowe buty, rakiety śnieżne, puszki z żywnością, podgrzewacze turystyczne i inny sprzęt survivalowy. Jeśli akcja ratunkowa pójdzie gładko, co zdawał się przepowiadać sen Tiny, większość tych zakupów okaże się niepotrzebna. Woleli jednak się przygotować, bo przecież może się zdarzyć, że explorer zepsuje się w górach albo napotkają jakąś inną przeszkodę.

Elliot poza tym kupił sto naboju do pistoletu. To już nie było zabezpieczenie przed nieprzewidzianym, tylko rozsądne planowanie na wypadek kłopotów, jakie z łatwością mogli przewidzieć.

Po zakupach wyjechali z miasta i zmierzali na zachód, w kierunku gór. Zajechali pod przydrożną restaurację i w toalecie przebrali się w ciepłe stroje. Elliot miał zielony kombinezon w białe pasy, a Tina biały z zielono-czarnymi paskami. Wyglądali jak para narciarzy w drodze na stok.

Po wjeździe w budzące respekt góry oboje zdali sobie sprawę, że w głębokich dolinach szybko zrobi się ciemno. Zastanawiali się, czy dalsza jazda na pewno jest rozsądna. Może lepiej zawrócić do Reno, znaleźć pokój w innym hotelu i rankiem zacząć na nowo. Ale żadne z nich nie chciało dłużej zwlekać. Może późna pora i gasnące światło zapewnią im przewagę. W tej chwili nabierali impetu. Oboje czuli, że mają dobrą passę, i nie chcieli kusić losu przekładaniem wyprawy.

Jechali wąską wiejską drogą prowadzącą coraz wyżej ku północnemu krańcowi doliny. Pługi oczyściły nawierzchnię, zostawiając tylko rozproszone łąty zbitego śniegu w wybojach i spiętrzone niemal na dwa metry zasy po obu stronach.

– Już niedaleko – powiedziała Tina, patrząc na mapę, którą trzymała na kolanach.

– Ale odludzie, prawda?

– Mam wrażenie, że cywilizacja mogłaby zniknąć, a my nie mielibyśmy o niczym pojęcia.

Przejechali trzy kilometry, nie widząc żadnego domu ani innych zabudowań, a ostatni samochód minęli pięć kilometrów wcześniej.

W zimowym lesie zapadał zmierzch, więc Elliot włączył światła.

Przed nimi po lewej pojawiła się wyrwa w zgarbiętych przez pługi zwałach śniegu. Gdy do niej dotarli, Elliot skręcił i zatrzymał samochód. W głąb lasu prowadziła zniechęcająco wąska droga, wprawdzie niedawno odśnieżona, ale wciąż zdradliwa. Rosnące wzdłuż niej drzewa tworzyły tunel, więc dwadzieścia metrów dalej znikła w przedwczesnym mroku. Nie była brukowana, tylko żwirowa, lecz po latach używania nawierzchnia okazała się w miarę twarda.

– Według mapy mamy przed sobą *nieutwardzoną, niegruntową drogę* – powiedziała Tina.

– Na to wygląda.

– To szlak do zwożenia drewna?

– Mnie bardziej przypomina drogę ze starych filmów prowadzącą do zamku Drakuli.

– Dzięki za słowa otuchy.

– Wybacz.

– Co gorsza, masz rację. To rzeczywiście wygląda jak droga do zamku Drakuli.

Ruszyli pod sklepieniem ciężkich od śniegu gałęzi w głąb lasu.

W PROSTOKĄTNYM POMIESZCZENIU ZLOKALIZOWANYM na trzecim poziomie pod ziemią mruczały komputery.

Doktor Carlton Dombey, który rozpoczął pracę dwadzieścia minut temu, siedział przy stole pod północną ścianą. Przeglądał elektroencefalogramy, cyfrowo wyostrzone zdjęcia USG i zdjęcia rentgenowskie.

– Widziałeś zrobione dziś rano zdjęcia mózgu dzieciaka? – zapytał po jakimś czasie.

Doktor Aaron Zachariah odwrócił się od rzędu monitorów.

– Nie wiedziałem, że jakieś są.

– Są. Cała nowa seria.

– Coś interesującego?

– Tak – odparł Dombey. – Ta zmiana, która się pojawiła w płacie ciemieniowym jakieś sześć tygodni temu.

– I co z nią?

– Jest większa, ciemniejsza.

– Więc to zdecydowanie złośliwy guz?

– To wciąż nie jest jasne.

– Łagodny?

– Tego też nie możemy być pewni. Nie wykazuje wszystkich spektrograficznych cech guza.

– Może to tkanka bliznowata?

– Raczej nie.

– Skrzep?

– Zdecydowanie nie.

– Dowiedziałeś się czegoś użytecznego?

– Możliwe – mruknął Dombey. – Chociaż nie wiem, czy to użyteczne. – Zmarszczył brwi. – Na pewno dziwne.

– Budujesz napięcie? – zażartował Zachariah, podchodząc do stołu, żeby obejrzeć wyniki badań.

– Według wspomaganej komputerowo analizy ten guz ma takie same cechy jak normalna tkanka mózgowa.

Zachariah spojrział na niego ze zdziwieniem.

– Możesz powtórzyć?

– Możliwe, że rozwija się nowa część mózgu.

– Przecież to nie ma sensu.

– Wiem.

– Mózg nie może ni z tego, ni z owego wytwarzać nowych struktur, jakich nikt nigdy dotąd nie widział.

– Wiem.

– Niech ktoś zrobi przegląd tego komputera. Na pewno nawalił.

– Zrobili to dziś po południu. – Dombey postukał palcem w stos wydruków leżących na stole. – Wszystko działa jak trzeba.

– Tak samo jak ogrzewanie w izolatce – prychnął Zachariah.

Dombey wciąż przeglądał wyniki testów, gładząc ręką wąsy.

– Posłuchaj – rzucił. – Tempo wzrostu plamy ciemieniowej jest wprost proporcjonalne do liczby zastrzyków, które dostaje chłopiec. Zmiana pojawiła się sześć tygodni temu po pierwszej serii iniekcji. Im częściej dzieciak jest zakażony, tym szybciej plama się powiększa.

– W takim razie to musi być guz – podsumował Zachariah.

– Zapewne. Rano zrobią badanie.

– Inwazyjne?

– Tak. Pobiorą tkankę do biopsji.

Zachariah spojrział w stronę okna obserwacyjnego.

– Cholera, znowu to samo!

Dombey zobaczył, że szyba się zamgliła. Jego kolega podszedł tam śpiesznie, a on z zadumą patrzył na rozprzestrzeniający się szron.

– Wiesz co? – odezwał się nagle. – Jeśli się nie mylę, to te problemy z szybą zaczęły się w tym samym czasie, kiedy na zdjęciach rentgenowskich wyskoczyła zmiana ciemieniowa.

Zachariah obrócił głowę w jego stronę.

– I co z tego?

– Nie uważasz tego za dziwny zbieg okoliczności?

– Właśnie tak to widzę. Zbieg okoliczności. Nie dostrzegam logicznego powiązania.

– Hm... czy ta zmiana nie może mieć bezpośredniego związku ze szronem?

– Co? Myślisz, że chłopak powoduje spadki temperatury powietrza?

- A mógłby?
- Jak?
- Nie mam pojęcia.
- Hm... to była twoja koncepcja.
- Nie wiem.
- To bez sensu – uciął Zachariah. – Absolutnie bez sensu. Jeśli będziesz występować z takimi pomysłami, Carl, to ciebie też każę przebadać.

DROGA ZE ŻWIROWĄ NAWIERZCHNIĄ z plamami oleju wiodła głęboko w las. Co dziwne, prawie nie było na niej kolein ani wybojów, chociaż podwozie explorera kilka razy zachrobotało na stromych spadkach.

W miarę jak jechali, ciężkie od śniegu gałęzie drzew zwisały coraz niżej i skrobały dach samochodu z odgłosem paznokci przeciąganych po tablicy.

Minęli kilka znaków, które informowały, że z drogi mogą korzystać wyłącznie federalni i stanowi strażnicy oraz badacze przyrody. Tablice zakazywały wjazdu osobom nieupoważnionym.

– Czy ten tajny ośrodek może działać pod przykrywką centrum badań przyrodniczych? – zastanawiał się na głos Elliot.

– Nie – odparła Tina. – Według mapy do ośrodka jest piętnaście kilometrów od szosy. Danny nakazuje nam skręcić na północ po przejechaniu jakichś ośmiu.

– Prawie tyle przejechaliśmy od zjazdu – zauważył Elliot.

Gałęzie uderzyły w dach i kaskady drobnego śniegu spadły na maskę i przednią szybę.

Gdy wycieraczki oczyściły szybę, Tina pochyliła się i mrużąc oczy, wpatrywała się w drogę.

– Stój! Chyba tego szukamy.

Jechali najwyżej pięć kilometrów na godzinę, ale uprzedziła go za późno. Elliot zahamował, wrzucił wsteczny i cofnął kilka metrów, aż reflektory oświetliły wypatrzoną przez Tinę odnogę.

– Nieodśnieżona – zauważył.

– Ale są ślady opon.

– Niedawno panował tu spory ruch.

– To tu – powiedziała z głębokim przekonaniem Tina. – Danny chce, żebyśmy tędy pojechali.

– Całe szczęście, że mamy napęd na cztery koła.

Zjechał z odśnieżonej drogi na wąski szlak. Explorer, z grubymi łańcuchami na zimowych oponach, bez wahania wbił się w śnieg i wygryzał sobie drogę przez zaspę.

Po stu metrach szlak ostro skręcił w prawo, wokół skalnego zrębu. Za zakrętem drzewa rosły nieco dalej od drogi i po raz pierwszy od zjazdu z szosy ujrzeli otwarte niebo.

Zmierzch ustąpił nocy.

Niespodziewanie nieodśnieżony szlak przeszedł w drogę asfaltową. Padał coraz gęstszy śnieg, a jednak na drodze nie leżał ani jeden płatek. Nawierzchnia była sucha, wznosiła się nad nią para.

– Podgrzewana nawierzchnia – stwierdził Elliot.

– W środku pustkowiec.

Zatrzymał explora, sięgnął po pistolet leżący między siedzeniami, odbezpieczył go i wprowadził nabój do komory; magazynek załadował już wcześniej. Odłożył broń gotową do użycia.

– Wciąż możemy zawrócić – powiedziała Tina.

– Czy właśnie to chcesz zrobić?

– Nie.

– Ja też nie.

Sto pięćdziesiąt metrów dalej dotarli do kolejnego ostrego zakrętu. Droga schodziła do wąwozu, zakręcała w lewo i znowu biegła prosto.

Dwadzieścia metrów za zakrętem zobaczyli stalową bramę. Po obu jej stronach ciągnęło się wysokie na trzy metry siatkowe ogrodzenie, u góry wygięte na zewnątrz i zwieńczone zwojami drutu kolczastego. Podobnie zabezpieczony był szczyt bramy.

Na prawo od drogi stały dwa drewniane słupy z wiszącą między nimi dużą tablicą, a na bramie był czytnik kart elektronicznych.

WŁASNOŚĆ PRYWATNA
WSTĘP SUROWO WZBRONIONY

– Urządzili to tak, żeby wyglądało, że ktoś ma tu domek myśliwski – odezwała się Tina.

– Oczywiście specjalnie. Co teraz? Nie masz przypadkiem karty?

– Danny nam pomoże – oznajmiła. – O tym był mój sen.

– Długo mamy tu czekać?

– Niedługo – odparła akurat wtedy, gdy brama się otworzyła.

– A niech mnie!

Ogrzewana droga znikła w ciemności.

– Zaraz będziemy, Danny – szepnęła Tina.

– A jeśli to ktoś inny otworzył bramę? – zapytał Elliot. – Jeśli Danny nie miał z tym nic wspólnego? Może pozwalają nam wjechać, żeby nas tutaj uwięzić.

– To Danny.

– Jesteś taka pewna.

– Tak, jestem.

Elliot westchnął. Gdy przejechał przez bramę, zaraz się za nimi zamknęła.

Wąska droga wspinała się zakosami po zboczu pod skalnymi nawisami i wyrzeźbionymi przez wiatr czapami śniegu. Miejscami się rozszerzała, tak że samochody mogły się wymijać, i zygzakowała między zwartymi kępami wysokich drzew. Explorer wjeżdżał coraz wyżej.

Druga brama znajdowała się kilkaset metrów za pierwszą na krótkim prostym odcinku drogi, tuż za szczytem wzniesienia. Po prawej stronie stała budka strażnika, który od wewnątrz otwierał i zamykał bramę.

Elliot wziął pistolet, hamując przed przeszkodą.

Stali nie więcej niż dwa, trzy metry od oświetlonej budki, tak blisko, że widzieli przez okno zdumioną twarz strażnika.

– Próbuje wykombinować, kim my, u licha, jesteśmy – domyślił się Elliot. – Widzi nas i tego explorera po raz pierwszy, a nie jest to miejsce, w którym pojawiają się niespodziewani goście.

Strażnik już sięgał po słuchawkę naściennego telefonu.

– Cholera! – zaklął Elliot. – Muszę mu przeszkodzić.

Właśnie otwierał drzwi, gdy Tina coś zobaczyła i złapała go za ramię.

– Czekaj! Telefon nie działa.

Strażnik ze złością odwiesił słuchawkę. Wstał, zdjął kurtkę z oparcia krzesła, włożył ją, zapiął suwak i wyszedł z budki. Miał pistolet maszynowy.

Danny otworzył bramę.

Strażnik stanął jak wryty w połowie drogi do explorera, nie wierząc własnym oczom.

Elliot mocno nacisnął pedał gazu i explorer wystartował jak rakieta.

Strażnik poderwał broń, gdy go mijali.

Tina mimowolnie uniosła ręce w bezcelowej próbie osłonięcia się przed kulami.

Ale nie było żadnych kul.

Ani rozdartego metalu czy strzaskanego szkła. Ani krwi i bólu.

Nawet nie usłyszeli huku strzałów.

Explorer z rykiem pędził prostą drogą pod górę, przez strużki pary wznoszące się z czarnej nawierzchni.

Wciąż żadnych strzałów.

Gdy znów skręcili, Elliot musiał walczyć o zachowanie panowania nad kierownicą. Tina była dotkliwie świadoma tego, że za poboczem ziele głęboka ciemna pustka. Trzymając się drogi, pokonali zakręt i zniknęli z linii strzału strażnika. Na dwustumetrowym odcinku, do kolejnego zakrętu, nie dostrzegli żadnego zagrożenia.

Explorer zwolnił do bezpiecznej prędkości.

– Zepsuł telefon strażnika, otworzył bramę i zakleszczył pistolet. Cholera, kim jest ten twój dzieciak?

Gdy jechali coraz wyżej w noc, spokojne opady śniegu przeszły w śnieżycę; na samochód spadało morze drobnych, twardych płatków.

– Nie wiem – odparła Tina po dłuższej chwili. – Już sama nie wiem, kim jest mój syn. Nie wiem, co się z nim stało, i nie rozumiem, kim się stał.

Była to niepokojąca myśl. Zastanawiała się, kim jest ten chłopiec, którego zamierzają znaleźć na szczycie góry.

LUDZIE GEORGE'A ALEXANDRA, ZAOPATRZENI w zdjęcia Christiny Evans i Elliota Strykera, zagląдали do hoteli w centrum Reno i rozmawiali z recepcjonistami, boyami i innymi pracownikami. O szesnastej trzydzieści pokojówka w Harrah's ich rozpoznała.

W pokoju 918 agenci Pajęczyny znaleźli tanią walizkę, szczoteczki do zębów i inne przybory toaletowe... oraz jedenaście map w skórzanym etui, o których Tina i Elliot zapomnieli z powodu pośpiechu i zmęczenia.

George Alexander został powiadomiony o tym odkryciu pięć po siedemnastej. O siedemnastej czterdzieści wszystko, co Stryker i kobieta zostawili w pokoju hotelowym, już leżało w jego biurze.

Alexander zobaczył, jaki obszar obejmują mapy, i zrozumiał, że brakuje jednej z nich, tej potrzebnej do znalezienia laboratoriów projektu Pandora. Twarz mu poczerwieniała z gniewu i rozgoryczenia.

– Co za tupet!

Kurt Hensen stał przed jego biurkiem, przeglądając rzeczy przywiezione z hotelu.

– Co się stało? – zapytał.

– Pojechali w góry. Spróbują się dostać do laboratorium – wyjaśnił Alexander. – Jakiś łajdak musiał im zdradzić lokalizację ośrodka i teraz go znajdą bez większego trudu. Na litość boską, kupili mapy!

Doprowadzała go do wściekłości metodyczność, którą sugerował zakup map. Kim była ta dwójka? Dlaczego nie przepadli w jakiejś ciemnej norze? Dlaczego nie odchodzą od zmysłów ze strachu? Przecież Christina Evans to zwyczajna kobieta. Była tancerka! Nie dopuszczał do siebie myśli, że tancerka może być inteligentna. A Stryker? Wprawdzie służył w wojsku, ale było to wieki temu. Skąd brali siłę, odwagę, wytrzymałość? Najwyraźniej coś zapewniało im przewagę, on jednak nie miał pojęcia co.

Hensen podniósł jedną z map i obracał ją w rękach.

– Nie widzę powodu, żeby się tym przejmować. Jeśli nawet znajdą główną bramę, niewiele im to pomoże. Ogrodzony teren ma setki hektarów, a laboratoria

znajdują się wewnątrz. Nie zbliżą się do nich, a co dopiero mówić o wejściu do środka.

Alexander nagle zrozumiał, co jest ich atutem, i wyprostował się w fotelu.

– Dostaną się z łatwością, jeśli pomaga im ktoś z wewnątrz.

– Co takiego?

– W tym rzecz. – Alexander wstał. – Ktoś z projektu Pandora nie tylko powiedział Evans o jej synu. Łajdak jest w tej chwili w ośrodku, gotów otwierać przed nimi bramy i drzwi. Jakiś sukinsyn zadał nam cios nożem w plecy. Pomaga tej dziwce zabrać syna!

Wybrał numer szefa wojskowej ochrony laboratoriów w Sierra Nevada. Nie usłyszał ani ciągłego sygnału, ani przerywanego, świadczącego o tym, że linia jest zajęta. Telefon był głuchy. Alexander odłożył słuchawkę i spróbował jeszcze raz, z tym samym skutkiem.

Szybko wystukał numer dyrektora ośrodka, doktora Tamaguchiego. Brak sygnału. Tylko ten działający na nerwy szum.

– Coś się tam stało – stwierdził, rzucając słuchawkę na widełki. – Telefony nie działają.

– Zapowiadali burzę śnieżną – powiedział Hensen. – Pewnie w górach już się zaczęła. Może linie...

– Rusz głową, Kurt. Ich linie ciągną się pod ziemią. I mają telefony komórkowe. Żadna burza nie może zablokować całej łączności. Zadzwoń do Jacka Morgana i każ mu przygotować śmigłowiec. Jedziemy na lotnisko.

– Będzie potrzebować pół godziny.

– I ani minuty dłużej.

– Może nie będzie chciał lecieć – zasugerował Hensen. – W górach jest paskudna pogoda.

– Polecą, nawet gdyby z nieba spadał grad wielkości piłek do koszykówki – warknął Alexander. – Nie ma czasu, żeby jechać tam samochodem. W ogóle nie ma czasu. Jestem tego pewien. Tam się dzieje coś złego. Coś się dzieje w laboratoriach.

Hensen ściągnął brwi.

– Ale lecieć tam śmigłowcem w nocy... w środku burzy...

– Morgan jest doskonałym pilotem.

– To nie będzie łatwe.

– Jeśli Morgan chce, żeby było łatwo – przerwał mu Alexander – to niech lata z turystami w Disneylandzie.

– Ale to samobójstwo.

– I dotyczy to również ciebie: jeśli chcesz, żeby było łatwo, to nie powinieneś się zgłaszać do tej roboty. Nie jesteśmy kółkiem różańcowym, Kurt.

Hensen poczerwieniał.

– Zadzwoń do Morgana – powiedział.

– Tak. Zrób to.

WYCIERACZKI ZGARNIAŁY ŚNIEG, A łańcuchy klekotały na ogrzewanej nawierzchni, gdy explorer wjeżdżał na ostatnie wzniesienie. Znaleźli się na ogromnej płaskiej półce wyciętej w zboczu góry.

Elliot wcisnął hamulec, zatrzymał samochód i z niepokojem rozglądał się po terenie.

Szeroka półka skalna w znacznej mierze musiała być dziełem natury, ale wkład ludzkiej ręki nie budził wątpliwości. W stanie naturalnym nie byłaby ani tak duża, ani nie miałyby tak regularnego kształtu jak ten niemal idealny prostokąt o bokach trzysta na dwieście metrów. Powierzchnia była płaska jak pas startowy i wybetonowana. Nie zachowało się na niej ani jedno drzewo czy głąz, za którym mógłby się ukryć człowiek. Stały tam lampy wyposażone w szerokie metalowe klosze, żeby przyćmionych czerwonych świateł nie dało się dojrzeć z samolotu czy z wyższych gór. Słabe oświetlenie z pewnością wystarczało na potrzeby monitoringu, a zamontowane na każdym słupie kamery dawały obraz każdego centymetra kwadratowego powierzchni.

– Ochroniarze na pewno widzą nas na monitorach – odezwał się Elliot ponuro.

– Chyba że Danny zepsuł kamery – odparła Tina. – Skoro zakleszczył pistolet maszynowy, dlaczego nie miałyby uszkodzić kamer?

– Pewnie masz rację.

Dwieście metrów dalej, na drugim końcu betonowego pola, stał parterowy budynek bez okien, długi na jakieś trzydzieści metrów, kryty stromym łupkowym dachem.

– Na pewno tam go trzymają – powiedział Elliot.

– Spodziewałam się ogromnej budowli, gigantycznego kompleksu.

– Prawdopodobnie jest ogromny. Widzisz tylko front. Reszta jest wbudowana w górę. Bóg jeden wie, jak daleko się w nią wcieli. I zapewne sięga też kilka pięter w dół.

– Do samego piekła.

– Możliwe. – Zdjął nogę z hamulca i ruszyli przez zacinający śnieg zabarwiony przez dziwne czerwone światła.

Przed niskim budynkiem stały jeepy, land rovery i inne samochody z napędem na cztery koła. Łącznie osiem pojazdów w schludnym szeregu.

– Wygląda na to, że w środku jest niewiele osób – zauważyła Tina. – Spodziewałam się liczniejszego personelu.

– Na pewno jest liczny. Rząd nie zadawałby sobie tyle trudu z ukrywaniem tego ośrodka, gdyby miało w nim pracować tylko kilku naukowców. Większość personelu prawdopodobnie mieszka tu tygodniami albo miesiącami. Nie chcą, żeby na tej drodze, z której legalnie mają prawo korzystać tylko stanowi strażnicy leśni, panował duży ruch. To przyciągnęłoby zbyt wiele uwagi. Może jakieś szychy przylatują tu helikopterem. Ale jeśli jest to ośrodek wojskowy, to większość personelu żyje tu mniej więcej tak jak załogi okrętów podwodnych. Wyskakują do Reno na krótkie przepustki, ale przez większość czasu nie wolno im opuszczać tego podziemnego okrętu.

Zaparkował obok jeepa, zgasił światła i wyłączył silnik.

Na skalnej półce zapadła niezmacona cisza.

Jeszcze nikt nie wyszedł z budynku, żeby się nimi zająć, co najpewniej oznaczało, że Danny'emu udało się unieszkodliwić system monitoringu.

Fakt, że bez szwanku dotarli tak daleko, ani trochę nie podnosił Elliota na duchu. Wciąż martwiło go to, co mieli przed sobą. Jak długo Danny będzie torować dla nich drogę? Chłopiec niewątpliwie miał pewne niewiarygodne moce, ale przecież nie był Bogiem. Prędzej czy później coś przegapi. Popelni błąd. A wystarczy jedna pomyłka... I będą martwi.

– Hm – mruknęła Tina, bez powodzenia próbując ukryć zaniepokojenie. – A jednak nie potrzebowaliśmy rakiet śnieżnych.

– Ale może przyda się lina – powiedział Elliot. Odwrócił się i sięgnął nad oparciem siedzenia po zwój sznura ze stosu sprzętu. – Bez względu na to, jak bystry jest Danny, na pewno napotkamy kilku ludzi z ochrony. Musimy być gotowi, żeby ich zabić albo w jakiś inny sposób wykluczyć z gry.

– Jeśli będzie wybór, wolę sznur niż kule.

– Podzielam twoje zdanie. – Podniósł pistolet. – Przekonajmy się, czy zdołamy tam wejść.

Wysiedli z explorera.

Wiatr powarkiwał niczym groźne zwierzę. Miał zęby i kąsał ich odsłonięte twarze, tryskając nie kropelkami śliny, lecz lodowatym śniegiem.

Jedynym elementem wyróżniającym się na trzydziestometrowej, pozbawionej okien betonowej fasadzie były szerokie stalowe drzwi. Nie miały zamka, klawiatury ani czytnika identyfikatorów. Najwyraźniej można je było otworzyć

tylko od środka, gdy strażnicy, wykorzystując umieszczoną na zewnątrz kamerę, sprawdzą tożsamość chcącej tam wejść osoby.

Kiedy Elliot i Tina spojrzeli w obiektyw kamery, ciężkie stalowe drzwi się rozsunęły.

Elliot zastanawiał się, czy otworzył je Danny. A może radośnie uśmiechnięci ochroniarze już na nich czekają z kajdankami i bronią, żeby dokonać łatwego aresztowania?

Za drzwiami ujrzeli komorę o stalowych ścianach, wielkości dużej kabiny windy, pustą i dobrze oświetloną.

Gdy przestąpili próg, drzwi się zasunęły, odcinając ich od świata zewnętrznego.

Na ścianie po lewej wisiała kamera i monitor systemu dwustronnej łączności. Ekran wypełniały szaleńczo wijące się linie, jakby monitor się zepsuł.

Obok niego znajdował się podświetlony szklany czytnik z wyrysowanym konturem prawej dłoni. Najwyraźniej komputer skanował linie papilarne gości, żeby zweryfikować ich tożsamość.

Elliot i Tina nie przyłożyli dłoni do płytki, mimo to wewnętrzne drzwi otworzyły się z szumem sprężonego powietrza. Weszli do następnego pomieszczenia, gdzie dwóch umundurowanych mężczyzn gorączkowo majstrowało przy pulpitych pod rzędami zamontowanych na ścianie monitorów. Po wszystkich ekranach pełzały faliste linie.

Młodszy ze strażników usłyszał szmer otwieranych drzwi i odwrócił się. Spojrzał na intruzów ze zszokowanym wyrazem twarzy.

Elliot wycelował w niego z pistoletu.

– Nie ruszaj się.

Ale młody człowiek miał zadatki na bohatera – i był szybki. Błyskawicznie wyrwał z kabury broń, wielki rewolwer, i strzelił z wysokości biodra.

Na szczęście Danny zdążył interweniować. Rewolwer nie wypalił.

– Wasza broń jest bezużyteczna – powiedział Elliot, który nie chciał nikogo zabić. Złany potem w ocieplanym narciarskim kombinezonie, modlił się, żeby Danny ich nie zawiódł. – Załatwmy to kulturalnie.

Kiedy młody strażnik stwierdził, że jego broń nie zadziała, cisnął nią ze złością.

Elliot zrobił unik, ale nie dość szybko. Rewolwer musnął go w bok głowy, rzucając go do tyłu na stalowe drzwi.

Tina krzyknęła.

Przez łzy bólu Elliot zobaczył biegnącego do niego strażnika i oddał strzał. Tłumik wyciszył huk.

Kula przebiła lewe ramię i obróciła mężczyznę dokoła. Poleciał na biurko, zrzucając na podłogę stos białych i różowych kartek, po czym osunął się w ślad za nimi.

Mruganiem przepędzając łzy, Elliot wymierzył z pistoletu w drugiego strażnika, który już zdążył wyciągnąć rewolwer i stwierdzić, że też nie działa.

– Odłóż broń, usiądź i nie sprawiaj kłopotów.

– Jak tu weszliście? – zapytał ochroniarz, kładąc broń na podłodze. – Kim jesteście?

– Nieważne – mruknął Elliot. – Siadaj.

Ale tamten był uparty.

– Ludzie, kim wy jesteście?

– Karzącą ręką sprawiedliwości – oznajmiła Tina.

* * *

PO PIĘCIU MINUTACH LOTU z Reno zaczął obficie padać śnieg. Twarde, suche i ziarniste płatki syczały na akrylowej szybie śmigłowca jak piasek przesypywany przez wiatr.

Pilot Jack Morgan spojrział na George'a Alexandra.

– Będzie ciężko – uprzedził. Gogle noktowizyjne zasłaniały jego oczy.

– Ledwie prószy – rzucił lekkim tonem Alexander.

– To burza śnieżna – poprawił go Morgan.

– Latałeś już w burzach.

– W tych górach prądy zstępujące i wiatry boczne potrafią być mordercze.

– Damy radę – powiedział z determinacją Alexander.

– Może tak, może nie – skwitował jego słowa Morgan i wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Ale zamierzam dobrze się bawić, próbując!

– Zwariowałeś – mruknął Hensen w fotelu za jego plecami.

– Kiedy prowadziliśmy operacje przeciwko baronom narkotykowym w Kolumbii – zaczął Morgan – miałem ksywkę Klepka, bo brakowało mi tej piątej.

– Parsknął głośnym śmiechem.

Hensen trzymał na kolanach pistolet maszynowy. Powoli przesuwiał po nim rękami, jakby pieścił ciało kobiety. Zamknął oczy, w myśli rozkładając i składając broń. Miał wrażliwy żołądek. Ze wszystkich sił starał się nie myśleć o śmigłowcu, o paskudnej pogodzie i o prawdopodobieństwie, że lada chwila rozpoczną długi, szybki, pionowy lot, który zakończy się twardym lądowaniem na dnie górskiej doliny.

MŁODY STRAŻNIK JĘCZAŁ Z bólu, ale Tina uznała, że nie został śmiertelnie ranny. Pocisk przeszedł przez mięsień na wylot i spowodował częściową kauteryzację rany. Dziura w ramieniu była w miarę czysta i zbytnio nie krwawiła.

– Wylizesz się – rzucił Elliot.

– Umieram... Jezu!

– Nie umierasz. Boli jak cholera, ale rana nie jest poważna. Pocisk nie uszkodził żadnych większych naczyń krwionośnych.

– Niby skąd, u diabła, możesz to widzieć? – zapytał ranny, cedząc słowa przez zaciśnięte zęby.

– Leż spokojnie, a wszystko będzie dobrze. Ale jeśli będziesz się ruszać, możesz rozerwać osłabioną tętnicę i wtedy wykrwawisz się na śmierć.

– Szlag by to – wymamrotał strażnik.

– Rozumiesz, co mówię? – zapytał Elliot.

Mężczyzna skinął głową. Miał spoconą bladą twarz.

Elliot przywiązał starszego ochroniarza do krzesła. Nie chciał krępować rąk rannemu, więc razem z Tiną ostrożnie przenieśli go do niewielkiego magazynu i zamknęli na klucz.

– Jak głowa? – zapytała Tina, delikatnie dotykając paskudnego guza w miejscu, gdzie uderzył go rewolwer strażnika.

– Piecze – syknął Elliot, krzywiąc się.

– Będziesz miał siniaka.

– Jakoś to przeżyję.

– Masz zawroty głowy?

– Nie.

– Widzisz podwójnie?

– Nie – odparł. – Nic mi nie jest. Cios nie był mocny. Nie mam wstrząśnienia mózgu. Tylko boli mnie głowa. Chodź. Znajdźmy Danny'ego i w nogi.

Tina przeszła przez dyżurkę, mijając związanego i zakneblowanego ochroniarza. Niosła linę, a Elliot pistolet.

Naprzeciwko rozsuwanych drzwi, przez które tu weszli, znajdowały się drugie, mniejsze i wyglądające dość zwyczajnie. Za nimi zaczynały się dwa korytarze. Tina już je widziała, gdy kilka minut po postrzeleniu strażnika zajrzała tam, żeby sprawdzić, czy nie nadciągają posiłki.

Wtedy korytarze były puste, i teraz też nikogo nie zobaczyli. Cisza. Białe podłogi. Białe ściany. Zimne fluorescencyjne światło.

Jeden z korytarzy, ciągnący się w prawą stronę od wyjścia z pomieszczenia ochrony, miał jakieś piętnaście metrów długości. Po obu stronach znajdowały się drzwi, wszystkie zamknięte, a na samym końcu cztery windy. Drugi korytarz biegł w lewo, ponad sto metrów w głąb góry. Tina i Elliot widzieli tam liczne zamknięte drzwi i przerwy, które wskazywały na istnienie bocznych odnóg.

Rozmawiali szeptem.

– Myślisz, że Danny jest na tym poziomie?

– Nie wiem.

– Od czego mamy zacząć?

– Nie możemy chodzić od drzwi do drzwi.

– Za wieloma mogą być ludzie.

– A im mniej osób napotkamy...

– ...tym większe szanse, że wyjdziemy stąd żywi.

Stali niezdecydowanie, patrząc to w prawo, to w lewo.

Nagle w głębi krótszego korytarza rozsunęły się drzwi windy.

Tina skuliła się pod ścianą.

Elliot wycelował z pistoletu.

Nikt jednak nie wysiadł z kabiny.

Z miejsca, gdzie stali, nie mogli do niej zajrzeć. Nie widzieli, kto w niej jest.

Po chwili drzwi się zasunęły.

Tina miała przerażające uczucie, że ktoś miał zamiar wysiąść, ale wyczuł ich obecność i wrócił po pomoc.

Jeszcze zanim Elliot opuścił pistolet, te same drzwi znowu się otworzyły. Po czym się zamknęły. Otworzyły się. Zamknęły. Otworzyły. Zamknęły. Otworzyły.

Powietrze się ochłodziło.

Tina odetchnęła z ulgą.

– To Danny – powiedziała. – Wskazuje nam drogę.

Mimo to ostrożnie podchodzili do windy i z lękiem zajrzeli do środka. Zobaczyli pustąabinę. Wsiedli i drzwi się zasunęły.

Według wyświetlacza nad nimi byli na czwartym z czterech poziomów. Pierwszy znajdował się na samym dole, najgłębiej pod ziemią.

Przyciski powinny zadziałać dopiero po wsunięciu karty identyfikacyjnej w szczelinę czytnika. Ale Tina i Elliot nie potrzebowali zgody komputera, żeby skorzystać z windy – nie wtedy, gdy mieli Danny’ego po swojej stronie. Cyfra na wyświetlaczu zmieniała się z czwórki na trójkę, później na dwójkę i powietrze w kabinie zrobiło się tak zimne, że z ich ust buchały kłęby pary. Drzwi otworzyły się na przedostatnim, licząc od dołu, poziomie.

Wyszli na korytarz zupełnie taki sam jak ten, który zostawili na górze.

Drzwi windy zamknęły się za nimi i powietrze wokół nich się ociepliło.

Za oddalonych o kilka metrów uchylonych drzwi dochodził gwar ożywionej rozmowy. Głosy mężczyzn i kobiet. Sześć osób, może więcej, sądząc po brzmieniu. Niewyraźne słowa. Śmiech.

Tina wiedziała, że źle się to dla nich skończy, jeśli ktoś wyjdzie z tego pokoju i ich zobaczy. Danny dokonywał cudów z materią nieożywioną, ale nie mógł kontrolować ludzi, czego przykładem był tamten rewolwerowiec na górze, z konieczności postrzelony przez Elliota. Jeśli zostaną odkryci i będą mieli przeciwko sobie wściekłych ochroniarzy, pistolet Elliota nie powstrzyma ataku. W takiej sytuacji, nawet z pomocą Danny’ego, mogliby uciec tylko wtedy, gdyby zabijali wszystkich stojących im na drodze. Wiedziała, że żadne z nich nie byłoby zdolne do czegoś takiego nawet w akcji desperackiej samoobrony.

Z pobliskiego pokoju znów dobiegł głośny śmiech.

– Dokąd teraz? – zapytał szeptem Elliot.

– Nie mam pojęcia.

Z zachowaniem najwyższej ostrożności minęli uchylone drzwi.

Poziom, na którym się znajdowali, był rozplanowany podobnie jak ten na górze: stumetrowy korytarz, od którego odchodziło wiele bocznych, i krótszy z windami na końcu. Cztery, pięć tysięcy metrów kwadratowych do przeszukania. Ile pomieszczeń? Czterdzieści? Pięćdziesiąt? Sześćdziesiąt? Sto, wliczając pomieszczenia gospodarcze?

Tina już zaczęła wpadać w czarną rozpacz, gdy powietrze znowu zaczęło się ochładzać. Rozejrzała się, wypatrując jakiegoś znaku od swojego dziecka. Oboje z Elliotem drgnęli z zaskoczenia, gdy jarzeniówka nad ich głowami zgasła i zaraz się zapaliła. To samo zrobiła pierwsza na lewo od niej. Później zamigotała trzecia lampa, jeszcze dalej po lewej.

Migoczące światła doprowadziły ich do krótkiej odnogi. Na jej końcu znajdowały się hermetyczne stalowe drzwi podobne do tych na okrętach podwodnych; wypolerowany metal łagodnie połyskiwał, duże zaokrąglone nity lśniły w blasku lamp.

Gdy dotarli do tej bariery, obróciło się umieszczone pośrodku drzwi koło i otworzyły się. Elliot z pistoletem w ręce wszedł pierwszy, Tina tuż za nim.

Znaleźli się w prostokątnym pomieszczeniu o wymiarach jakieś dwanaście metrów na sześć. Naprzeciwko wejścia zobaczyli okno, które zajmowało centralną część krótszej ściany. Wyglądało na to, że jest za nim chłodnia, bo pokrywała je warstwa szronu. Na prawo od niego były hermetyczne drzwi podobne do tych, przez które właśnie weszli. Przy ścianie po lewej stał rząd komputerów i innych urządzeń. Większość z licznych monitorów była włączona i na ich ekranach wyświetlały się dane w postaci wykresów, linii i liczb. Wzdłuż ściany po prawej stały stoły pełne książek, teczek i aparatury, której przeznaczenia Tina i Elliot nawet się nie domyślali.

Przy jednym ze stołów siedział kędzierzawy mężczyzna z krzaczastymi wąsami. Był wysoki, barczysty, po pięćdziesiątce; miał na sobie biały kitel. Gdy weszli, wertował jakąś książkę. Drugi, młodszy, gładko ogolony, również w białym stroju, siedział przed monitorem, czytając wyświetlane informacje. Obaj spojrzeli na niespodziewanych gości i zdumienie odjęło im mowę.

Elliot celował z pistoletu to w jednego, to w drugiego.

– Tino, zamknij drzwi – polecił. – Spróbuj je zablokować. Jeśli ochrona odkryje, że tu jesteśmy, przynajmniej nie od razu się do nas dostaną.

Tina chwyciła w ręce stalowe koło. Mimo znacznego ciężaru, obracało się płynnie, nie wymagając od niej większego wysiłku. Kręciła nim, aż poczuła opór. Znalazła bolec, który je ryglował, i wsunęła go w otwór, uniemożliwiając otworzenie ich od zewnątrz.

– Gotowe – zameldowała.

Młodszy mężczyzna nagle odwrócił się ku klawiaturze i zaczął pisać.

– Przestań! – krzyknął Elliot.

Ale facet nie miał takiego zamiaru. Chciał uruchomić alarm.

Może Danny wyłączył alarmy, a może nie. Elliot wolał nie ryzykować. Oddał jeden strzał i monitor rozpadł się na tysiące kawałeczków.

Mężczyzna krzyknął, odepchnął fotel na kółkach od klawiatury i skoczył na równe nogi.

– Kim wy jesteście, do cholery?!

– Ja jestem tym, który ma pistolet – rzucił ostro Elliot. – Jeśli to ci nie wystarczy, mogę cię wyłączyć w taki sam sposób jak ten cholerny komputer. A teraz parkuj dupę na krześle, zanim odstrzelę ci ten pierdolony łeb.

Tina nigdy nie słyszała, żeby Elliot używał takiego tonu, nie mówiąc o słownictwie, i jego wściekła mina zmroziła nawet ją. Wyglądało na to, że jest

zdecydowany na wszystko.

Młody mężczyzna też musiał być pod wrażeniem, bo zbladł i usiadł bez słowa.

– W porządku – skwitował to Elliot, zwracając się do obu mężczyzn. – Jeśli będziecie współpracować, nic wam się nie stanie. – Wskazał lufą pistoletu tego starszego. – Jak się nazywasz?

– Carl Dombey.

– Co tu robisz?

– Pracuję – odparł Dombey, zdziwiony pytaniem.

– Chodzi mi o to, na czym polega twoja praca.

– Jestem naukowcem.

– W jakiej dziedzinie?

– Mam doktoraty z biologii i biochemii.

Elliot wycelował w młodszego.

– A ty?

– Co ja? – burknął ponuro mężczyzna.

Elliot bez słowa uniósł pistolet na wysokość jego nosa.

– Jestem doktor Zachariah.

– Biolog?

– Tak. Specjalizuję się w bakteriologii i wirusologii.

– Mamy kilka pytań i lepiej, żebyście udzielili odpowiedzi. – Elliot opuścił pistolet, ale wciąż mierzył w ich kierunku.

Dombey, który wyraźnie nie podzielał bohaterskich zapędów kolegi, siedział potulnie na krześle.

– Jakie pytania?

Tina stanęła obok Elliota.

– Chcemy wiedzieć, co mu zrobiliście i gdzie on jest – powiedziała do Dombeya.

– Kto?

– Mój syn. Danny Evans.

Żadne inne słowa nie mogłyby zrobić na naukowcach bardziej piorunującego wrażenia. Dombey wytrzeszczył oczy. Zachariah patrzył na nią tak, jakby padła trupem i w cudowny sposób zmartwychwstała.

– Boże... – wykrztusił Dombey.

– Skąd się tu wzięliście? – zapytał Zachariah. – Niemożliwe. Nie może was tu być.

– Dla mnie to możliwe – przyznał Dombey. – Co więcej, ich wizyta wydawała się nieunikniona. Wiedziałem, że ta cała sprawa jest zbyt brudna i nie skończy się

niczym innym, jak tylko nieszczęściem. – Westchnął, jakby wielki ciężar spadł mu z serca. – Pani Evans, odpowiem na wszystkie pani pytania.

Zachariah obrócił się w jego stronę.

– Nie możesz tego zrobić!

– Nie? – parsknął Dombey. – Cóż, skoro tak sądzisz, to po prostu siedź i słuchaj. Czeka cię niemiła niespodzianka.

– Złożyłeś przysięgę lojalności – przypomniał mu Zachariah. – Przysiągłeś dochować tajemnicy. Jeśli coś im zdradzisz... skandal... powszechne oburzenie... ujawnienie tajemnic wojskowych... – Aż się jąkał z przejęcia. – Będziesz zdrajcą ojczyzny.

– Nie – zaprzeczył Dombey. – Będę zdrajcą tego ośrodka. Może zdradzę moich współpracowników. Mój kraj jest daleki od ideału, ale nie pochwaliliby tego, co zrobiono Danny'emu Evansowi. Cały ten projekt jest pomysłem kilku megalomanów.

– Mówisz, że doktor Tamaguchi cierpi na manię wielkości? – zachnął się doktor Zachariah, jakby osobiście urażony.

– Oczywiście, że tak – powiedział Dombey. – Uważa się za wielkiego człowieka nauki, twórcę wielkich dzieł, dzięki którym stanie się nieśmiertelny. I nie tylko on ma przerośnięte ego. Ma je wielu innych ludzi, którzy go chronią, którzy prowadzą badania i odpowiadają za bezpieczeństwo tego projektu. To, co zrobiono Danny'emu Evansowi, nie jest żadnym „wielkim dziełem”. Nikt się dzięki niemu nie zapisze w historii. To chore i ja umygam od tego ręce. – Znów spojrzał na Tinę. – Proszę pytać.

– Nie rób tego! – krzyknął młodszy mężczyzna. – Cholerny głupiec!

Elliot wziął od Tiny zwój sznura i przekazał jej pistolet.

– Zwiążę i zaknebluję doktora Zachariaha, żebyśmy mogli w spokoju wysłuchać doktora Dombeya. Jeśli któryś z nich choćby kiwnie palcem, zastrzel go.

– Spokojna głowa – zapewniła go Tina. – Nie zawaham się.

– Nie dam się związać – warknął Zachariah.

Elliot z uśmiechem ruszył w jego stronę.

* * *

MUR LODOWATEGO POWIETRZA RUNĄŁ na śmigłowiec i pchnął go w dół. Jack Morgan po ciężkiej walce z wiatrem zdołał wyrównać i poderwał maszynę, gdy lecieli ledwie kilka metrów nad wierzchołkami drzew.

– Juhuu! – krzyknął. – To jak ujeżdżanie mustanga!

W jasnych światłach reflektorów było widać tylko niesiony wiatrem śnieg. Morgan zdjął gogle noktowizyjne.

– Chyba ci odbiło – wymamrotał Hensen. – To nie jest zwyczajna burza.

Alexander zignorował jego słowa.

– Morgan, cholera jasna. Wiem, że sobie poradzisz – powiedział.

– Może – mruknął Morgan. – Chciałbym być taki pewny jak ty. Ale sądzę, że dam radę. Podejdę do płaskowyzu z innej strony niż zwykle, z wiatrem od ogona, żeby nie walczyć z bocznym. Polecimy w górę następnej doliny i zakręcę wokół kompleksu, próbując uniknąć wiatrów bocznych. Jak mówiłem, są mordercze. Taki manewr wydłuży drogę, ale przynajmniej będziemy mieli szansę. Jeśli wirniki się nie oblodzą i nie zatrzymają.

Wyjątkowo silny podmuch wiatru rzucił śniegiem w szybę z taką siłą, że dla Kurta Hensena zabrzmiało to jak wystrzał ze śrutówki.

ZACHARIAH LEŻAŁ NA PODŁODZE ZWIĄZANY I ZAKNEBLOWANY; PATRYŁ NA NICH Z GNIEWEM I NIENAWIŚCIĄ W OCZACH.

– Może najpierw zobaczy się pani z synem – zaproponował Dombey. – Później powiem, jak się tutaj znalazł.

– Gdzie on jest? – zapytała Tina drżącym głosem.

– W izolatce. – Dombey wskazał okno w głębi pokoju. – Chodźmy. – Podeszedł do dużej tafli szkła, gdzie zostało ledwie kilka wolnych od szronu miejsc.

Tina przez chwilę nie mogła się ruszyć, bojąc się zobaczyć to, co zrobili Danny'emu. Paraliżował ją strach i stała, jakby nogi jej wrosły w podłogę.

Elliot dotknął jej ramienia.

– Nie każ mu czekać. Czekał na ciebie tyle czasu, od dawna cię przywoływał.

Zrobiła krok, później następny i zanim się spostrzegła, dołączyła do Dombeya przy oknie.

Ujrzała stojące pośrodku izolatki zwyczajne szpitalne łóżko. Otaczał je równie zwyczajny sprzęt medyczny, a także kilka tajemniczych aparatów.

Danny leżał na wznak, przykryty kocem. Spoczywająca na poduszce głowa była obrócona ku oknu. Patrzył na nią.

– Danny – szepnęła. Ogarnął ją irracjonalny lęk, że jeśli głośno wymówi jego imię, to czar pryśnie i jej syn zniknie na zawsze.

Chłopiec miał wychudzoną, ziemistą twarz. Wyglądał na więcej niż dwanaście lat. Mało powiedziane: wyglądał jak staruszek.

Dombey wiedział, że Tina jest wstrząśnięta.

– Jest wycieńczony. Od sześciu czy siedmiu tygodni nie jest w stanie utrzymać w żołądku niczego poza płynami. I to w niewielkiej ilości.

Tina spostrzegła, że Danny ma dziwne oczy. Ciemne, duże i okrągłe jak zawsze, ale zapadnięte, okolone kręgami niezdrowo sinej, niemal granatowej skóry. Już samo to je odróżniało od jego dawnych oczu. Nie umiałyby określić, co jeszcze się w nich zmieniło, ale gdy w nie patrzyła, poczuła dreszcze i ogarnęło ją głębokie, rozdzierające współczucie.

Danny zamrugał, po czym z wielkim wysiłkiem i z niemałym bólem wysunął rękę spod okrycia. Była chuda jak patyk, sama skóra i kości. Błagalnie otworzył drobną dłoń; złakniony miłości, desperacko próbował dosięgnąć mamy.

– Chcę być z moim synkiem – powiedziała Tina drżącym głosem. – Chcę go przytulić.

We trójkę podeszli do hermetycznych stalowych drzwi prowadzących do pokoju za oknem.

– Dlaczego przebywa w izolatce? – zapytał Elliot. – Jest zakaźnie chory?

– Już nie – odparł Dombey. Stojąc przy drzwiach, odwrócił się w ich stronę, wyraźnie zaniepokojony tym, co miał im zaraz powiedzieć. – Jest na krawędzi śmierci głodowej, ponieważ od dawna nie może przyjmować stałego pokarmu. Ale nie można się od niego zarazić. Miał zakaźną chorobę, i to nie raz, ale w tej chwili nie zaraża. Zaraził się wirusem stworzonym w laboratorium. Przeżył jako jedyny z zainfekowanych. Ma we krwi naturalne przeciwciała, które pomagają mu zwalczyć tego szczególnego wirusa, mimo że ten został sztucznie wyhodowany. Właśnie to zafascynowało doktora Tamaguchiego, który jest szefem ośrodka. Nie dał nam chwili wytchnienia, dopóki nie wyizolowaliśmy tych przeciwciał i nie odkryliśmy, dlaczego są takie skuteczne w walce z chorobą. Oczywiście po osiągnięciu przez nas celu Danny stracił wartość naukową. Przestał być potrzebny Tamaguchiemu, ale ten postanowił wykorzystać go do końca i przeprowadzać testy aż do zupełnego wyniszczenia organizmu chłopca. Zarażali go prawie przez dwa miesiące, żeby sprawdzić, ile razy organizm zdoła zwalczyć wirusa, zanim choroba go zabije. Bo na tę chorobę nie można nabrać trwałej odporności. Jest jak angina, przeziębienie albo rak, może atakować wiele razy... jeśli człowiek ma szczęście i pokona ją za pierwszym razem. Dziś Danny zwyciężył po raz czternasty.

Tina jęknęła z przerażenia.

– Jest z dnia na dzień coraz słabszy – kontynuował Dombey. – Jednak z jakiegoś powodu coraz szybciej zwalcza wirusa. Ale każde zwycięstwo ma swoją cenę. Choroba go zabija, nawet jeśli nie bezpośrednio. Pozbawia go sił. W tej chwili nie jest zarażony i nie stanowi zagrożenia. Jutro zamierzają zrobić mu kolejny zastrzyk, żeby go zakazić.

– Boże – szepnął Elliot. – Mój Boże...

Tina z wściekłością i pogardą spojrzała na Dombeya.

– Nie wierzę, po prostu nie wierzę!

– Niech się pani trzyma – powiedział posępnie Dombey. – Nie usłyszała pani nawet połowy.

Odwrócił się, przekręcił koło na stalowych drzwiach i pchnął je do wewnątrz.

Minutę temu, patrząc przez okno obserwacyjne na przeraźliwie chudego syna, Tina obiecała sobie, że się nie rozpłaczę. Nie pozwoli, żeby Danny zobaczył jej łzy. Jej chłopczyk potrzebował miłości, uwagi i ochrony. Widok jej łez mógłby poważnie nim wstrząsnąć. Był tak osłabiony; bała się, że silne emocje mogą go zabić.

Zbliżając się do łóżka, przygryzła dolną wargę, aż poczuła w ustach smak krwi. Usiłowała zachować panowanie nad sobą, ale wzruszenie pozbawiało ją tchu i potrzebowała całej siły woli, żeby powstrzymać się od płaczu.

Danny był tak podekscytowany, że mimo swojego strasznego stanu zdołał usiąść w łóżku. Trząsł się od stóp do głów; jedną drżącą ręką ścisnął poręcz, drugą wyciągał w stronę mamy.

Tina chwiejnie zrobiła kilka ostatnich kroków, ze ściśniętym gardłem i sercem łomoczącym w piersi. Lęk przygasił jej radość, gdy z bliska zobaczyła wymizerowanego syna.

Gdy ich ręce się zetknęły, Danny kurczowo zacisnął palce na jej dłoni. Trzymał ją z ogromną, desperacką siłą.

– Danny – szepnęła w uniesieniu. – Danny, Danny.

Jej syn odpowiedział uśmiechem, który jakoś się przedarł przez warstwy bólu, strachu i niepokoju. Był to nikły uśmiech, ledwie drżał na jego wargach, jakby utrzymanie go wymagało większego wysiłku niż dźwiganie wielkiego ciężaru. Był to cień uśmiechu, duch wszystkich szerokich ciepłych uśmiechów, jakie pamiętała, i ten widok rozdzierał jej serce.

– Mamo.

Tina ledwie rozpoznała jego łamiący się słaby głos.

– Mamo.

– Już dobrze, już dobrze – zapewniła go.

Zadygotał.

– Już po wszystkim, Danny. Teraz będzie dobrze.

– Mamo... mamo... – Spazm wykrzywił mu twarz i dzielny blady uśmiech zniknął. Z gardła wyrwał się jęk cierpienia. – Oooch, mamusiu...

Tina opuściła poręcz, usiadła na skraju łóżka i ostrożnie wzięła go w ramiona. Miała wrażenie, że obejmuje szmacianą lalkę, w której została tylko garstka trocin. Przypominał wątlę, bojaźliwe stworzonko, a nie jej szczęśliwego, pełnego życia i energii chłopca. Z początku bała się go przytulić z obawy, że rozsypie się na kawałki w jej ramionach. Ale on mocno ją objął, znów zaskakując Tinę siłą, jaką mógł wezwać ze swojego wyniszczonego ciała. Trzęsąc się, łkając, wtulił buzię w jej szyję i poczuła na skórze jego palące łzy. Sama dłużej nie mogła powstrzymać

się od płaczu i z jej oczu spłynęły strumienie, rzeki łez. Przytulając syna, trzymając rękę na jego plecach, czuła ich szokującą chudość: żebra i kręgi niemal przebijały skórę, jakby obejmowała szkielet. Sadzając go na kolanach, wraz z nim pociągnęła przewody łączące elektrody z monitorami, jakby był porzuconą marionetką. Jego nogi wysunęły się spod prześcieradła i kusej szpitalnej koszuli. Zobaczyła, że są potwornie chude, prawie bez mięśni, zbyt słabe, żeby utrzymać ciężar jego ciała. Płacząc, tuliła go, kołysała, uspokajała i zapewniała, że go kocha.

Danny żyje.

STRATEGIA JACKA MORGANA, POLEGAJĄCA na niskim locie zgodnie z ukształtowaniem terenu, okazała się strzałem w dziesiątkę. Alexander nabierał coraz większej pewności, że dotrą do celu bez szwanku, i wiedział, że nawet Kurt Hensen, który nienawdził latać z Morganem, jest teraz spokojniejszy niż dziesięć minut temu.

Śmigłowiec leciał na północ trzy metry nad skutą lodem rzeką, wciąż zmuszony przedzierać się przez utrudniającą widoczność śnieżycę, ale osłonięty przed jej najgorszymi uderzeniami ścianą ogromnych drzew iglastych na zboczach doliny. Łatwo było podążać wzdłuż srebrzystej, niemal fosforyzującej zamarznętej rzeki. Od czasu do czasu wiatr ich dopadał i przypuszczał bezlitosny atak, ale śmigłowiec niczym doświadczony bokser podskakiwał, robił uniki i nie dawał się znokautować.

– Ile jeszcze? – zapytał Alexander.

– Dziesięć minut. Może piętnaście – odparł Morgan. – Chyba że...

– Co?

– Chyba że oblodzi nam łopaty. Chyba że wał napędowy i wirnik zamarzną.

– To możliwe?

– Na pewno trzeba się z tym liczyć – odparł Morgan. – Poza tym mogę w ciemności źle ocenić ukształtowanie terenu i rozwalimy się na zboczu.

– Wykluczone – rzucił Alexander. – Jesteś na to za dobry.

– Hm – mruknął Morgan. – Zawsze istnieje możliwość, że coś spieprzę. Świadomość takiego ryzyka skutecznie chroni przed nudą.

* * *

TINA PRZYGOTOWYWAŁA DANNY'EGO DO wyjścia z więzienia. Kolejno zdejmowała elektrody przyklejone taśmą samoprzylepną do jego głowy i tułowia. Gdy ostrożnie oderwała pierwszą, chłopiec jęknął, a ona się skrzywiła, widząc mocno podrażnioną skórę. Nikt nie zadał sobie trudu, żeby zabezpieczyć go przed takimi urazami.

Podczas gdy ona zajmowała się Dannym, Elliot wypytywał Carla Dombeya.

- Co się tutaj dzieje? Badania wojskowe?
- Tak – odparł naukowiec.
- Nad bronią biologiczną?
- I chemiczną. Przeprowadzamy eksperymenty z rekombinacją DNA. W tej chwili pracujemy nad trzydziestoma, czterdziestoma projektami jednocześnie.
- Myślałem, że rząd Stanów Zjednoczonych dawno temu wycofał nas z wyścigu badań nad bronią chemiczną i biologiczną.
- To tylko mydlenie oczu społeczeństwu – powiedział Dombey. – Dla poprawienia wizerunku polityków. W rzeczywistości prace wciąż trwają. Nie ma innego wyjścia. Ten ośrodek jest jedynym tego rodzaju, jakie posiadamy. Chińczycy mają takie trzy. Rosjanie, obecnie niby nasi przyjaciele, pracują nad rozwojem broni bakteriologicznej, nad nowymi, coraz bardziej zjadliwymi szczepami wirusów, ponieważ są sflukani, a coś takiego jest znacznie tańsze niż rozwijanie innych rodzajów broni. Irak realizuje projekt rozwoju broni biochemicznej, a także Libia... i Bóg jeden wie, kto jeszcze. Wielu ludzi na całym świecie popiera takie działania. Nie widzą w tym niczego niemoralnego. Jeśli któreś z tych państw uzna, że stworzyło fantastycznego nowego wirusa, przed którym nie mamy szans się obronić, użyje go przeciwko nam bez chwili wahania.
- Ale jeśli próba dotrzymania kroku Chińczykom, Rosjanom albo Irakijczykom doprowadza do sytuacji, w której niewinne dziecko jest traktowane gorzej niż królik doświadczalny, to czy sami też nie jesteśmy potworami? Czy z powodu lęków przed wrogami nie stajemy się do nich podobni? I czy nie jest to tylko inny sposób na przegranie wojny?
- Dombey pokiwał głową. Gładząc końce wąsów, podjął:
- Właśnie z takimi pytaniami zmagalem się od chwili, gdy Danny wpadł w tryby tej bezdusznej maszyny. Problem polega na tym, że kilku obłąkańców pociąga taka praca ze względu na jej tajny charakter i na to, że wynalezienie broni zdolnej zabić miliony ludzi naprawdę daje człowiekowi poczucie władzy. Dlatego angażują się w to megalomani pokroju Tamaguchiego. Tacy ludzie jak obecny tu Aaron Zachariah. Wykorzystują swoją władzę, wypaczają ideały, którymi powinni się kierować. Nie ma możliwości, żeby odsiać wszystkich nawiedzonych. Ale jeśli zamkniemy laboratoria, jeśli zaprzestaniemy tego rodzaju badań tylko z obawy, że ludzie tacy jak Tamaguchi dorwą się do władzy, to nasi wrogowie wyprzedzą nas tak bardzo, że nie będziemy mieć szans na przetrwanie. Przypuszczam, że musimy się nauczyć żyć z mniejszym złem.
- Tina zajęła się elektrodą na szyi Danny'ego; ostrożnie odklejała taśmę od skóry. Chłopiec wciąż przywierał do swojej mamy, wpatrując się w doktora.

– Nie interesują mnie filozoficzne czy moralne aspekty wojny biologicznej – powiedziała. – W tej chwili chcę wiedzieć, jak Danny się tu znalazł.

– Żeby to wyjaśnić, muszę cofnąć się o dwadzieścia miesięcy – powiedział Dombey. – Mniej więcej w tym czasie chiński naukowiec Li Chen uciekł do Stanów Zjednoczonych, wywożąc ze swojego kraju dyskietkę, która zawierała dane dotyczące najważniejszej, najbardziej niebezpiecznej broni biologicznej powstałej w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Nazwali ją wuhan-czteryista, ponieważ została opracowana w laboratoriach RDNA zlokalizowanych pod miastem Wuhan. Był to czterechsetny zdolny do życia szczep wirusa stworzony w tym ośrodku badawczym.

Popatrzył na Danny'ego i kontynuował:

– Wuhan-czteryista jest bronią doskonałą. Zaraża tylko ludzi. Żadne inne stworzenia nie mogą go przenosić. Podobnie jak kiła nie może przetrwać poza organizmem człowieka dłużej niż minutę, co oznacza, że w przeciwieństwie do węglika czy innych zjadliwych mikroorganizmów nie skaża przedmiotów ani całych terenów. Ginie zaraz po śmierci nosiciela, gdy tylko temperatura zwłok spada poniżej trzydziestu stopni. Dostrzegacie zalety?

Tina była zbyt zajęta synem, żeby myśleć o słowach Carla Dombeya, ale Elliot doskonale wiedział, o co mu chodzi.

– Jeśli dobrze rozumiem, Chińczycy mogliby użyć tego wirusa do unicestwienia jakiegoś miasta albo kraju, a później wkroczyć i zająć dany obszar bez konieczności przeprowadzania trudnej i kosztownej dekontaminacji.

– Zgadza się – potwierdził Dombey. – I wuhan-czteryista ma inne, równie ważne zalety w porównaniu z większością wirusów. Przede wszystkim człowiek zaraża innych już po czterech godzinach od chwili kontaktu z wirusem. To niewiarygodnie krótki okres inkubacji. Zainfekowana osoba żyje nie dłużej niż dwadzieścia cztery godziny. Większość umiera przed upływem dwunastu. Wuhan-czteryista jest gorszy niż afrykańska ebola, bez porównania gorszy. Śmiertelność w jego przypadku wynosi sto procent. Nikt zarażony nie ma szansy przeżyć. Chińczycy przetestowali to na Bóg jeden wie ilu więźniach politycznych. Nie opracowali szczepionki, nie zdołali wyizolować skutecznych przeciwciał. Wirus migruje do pnia mózgu i tam zaczyna wydzielać toksynę, która dosłownie trawi tkankę mózgową tak, jak kwas akumulatorowy rozpuszcza bawełnę. Niszczy część mózgu odpowiedzialną za autonomiczne funkcje organizmu. Serce, płuca i inne narządy przestają działać, organizm po prostu się wyłącza.

– I Danny pokonał tę chorobę? – nie mógł uwierzyć Elliot.

– Tak. O ile wiemy, jako jedyny.

Tina ściągnęła z łóżka koc i złożyła go na pół, żeby opatulić nim syna na drogę do explorera. Oderwała od niego spojrzenie i zwróciła się do Dombeya:

– Ale jak doszło do tego, że został zainfekowany?

– To był wypadek.

– Zawsze się tak mówi.

– Tym razem to prawda – zapewnił ich Dombey. – Li Chen, który wykradł dane o wuhanie-czteryista, został przywieziony tutaj. Natychmiast rozpoczęliśmy współpracę, próbując stworzyć wierną replikę wirusa. Udało nam się to stosunkowo szybko. Następnie rozpoczęliśmy badania mające na celu znalezienie czegoś, co pozwoli nam przejść nad nim kontrolę.

– I ktoś okazał się nieostrożny – wtrącił Elliot.

– Gorzej. Nieostrożny i głupi. Prawie trzynaście miesięcy temu, kiedy Danny z innymi chłopcami był na zimowej wycieczce survivalowej, jeden z naszych naukowców, popieprzony kutas Larry Bollinger, przypadkowo się zakaził, gdy pewnego ranka sam pracował w laboratorium.

Danny ścisnął dłoń mamy, a ona pogłaskała chłopca po głowie, żeby go uspokoić.

– Przecież musicie mieć zabezpieczenia, ściśle określone procedury na wypadek...

– Oczywiście – wszedł jej w słowo naukowiec. – Szkolą nas od pierwszego dnia. W wypadku zainfekowania uruchamiasz alarm. Natychmiast. Później odcinasz laboratorium od reszty kompleksu. Jeśli jest w nim izolatka, przechodzisz do niej i zamykasz za sobą drzwi. Wtedy do laboratorium wkracza ekipa dekontaminacyjna, żeby posprzątać zrobiony przez ciebie bałagan. Jeśli zaraziłeś się czymś uleczalnym, będą cię kurować. Jeśli to coś nieuleczalnego... możesz liczyć na dożywotnią opiekę w izolatce. Między innymi właśnie z tego powodu tyle zarabiamy. Mamy wysoki dodatek za pracę w niebezpiecznych warunkach. Ryzyko jest wpisane w tę robotę.

– Tylko że ten Larry Bollinger widział to inaczej – skomentowała z goryczą Tina. Miała kłopot z okręceniem syna kocem, bo nie chciał jej puścić. W końcu uśmiechami, słowami otuchy i pocałunkami zdołała go nakłonić, żeby opuścił wychudłe ręce i przycisnął je do tułowia.

– Bollinger pękł. Kompletnie mu odbiło – powiedział Dombey, wyraźnie zażenowany tym, że jeden z kolegów stracił nad sobą panowanie w takich okolicznościach. Zaczął krążyć po laboratorium. – Wiedział, jak szybko wuhan-czteryista zabija swoje ofiary, i po prostu spanikował. Najwyraźniej sobie wmówił, że zdoła uciec przed infekcją. Bóg świadkiem, właśnie to próbował zrobić. Nie

włączył alarmu. Wyszedł z laboratorium, udał się do swojego pokoju, przebrał się i opuścił ośrodek. Nie było go na liście urlopowanych i nie umiał na poczekaniu wymyślić powodu, żeby uzasadnić skorzystanie z range rovera, więc próbował uciec pieszo. Powiedział strażnikom, że chce przez kilka godzin pochodzić w raketach śnieżnych. Wielu z nas tak robi. To dobre ćwiczenie i niezły pretekst, żeby na jakiś czas wyrwać się z tej nory na powierzchnię. Oczywiście Bollingerowi wcale nie chodziło o relaks. Wziął rakiety pod pachę i odszedł, zapewne tą samą drogą, którą tu przybyliście. Zanim dotarł do budki strażnika przy górnej bramie, wspiął się w raketach śnieżnych na zbocze, okrążył punkt kontrolny, wrócił na drogę i wyrzucił rakiety. Ochrona je znalazła. Bollinger dotarł do dolnej bramy prawdopodobnie dwie i pół godziny po opuszczeniu obiektu, trzy godziny po zainfekowaniu. Mniej więcej wtedy ktoś wszedł do jego laboratorium, zobaczył na podłodze rozbite próbówki z kulturami do hodowli wuhana-czteryasta i włączył alarm. Tymczasem Bollinger zdążył się wspiąć na ogrodzenie i mimo drutu kolczastego jakoś je pokonał. Ruszył do drogi, która prowadzi do centrum badań przyrodniczych. Szedł do szosy oddalonej o mniej więcej osiem kilometrów od zjazdu do naszego kompleksu i po przejściu pięciu...

– ...wpadł na Jaborskiego i skautów – dopowiedział Elliot.

– I wtedy wszystkich pozarażał – dodała Tina, kończąc owijanie Danny'ego kocem.

– Zgadza się – potwierdził Dombey. – Spotkał się ze skautami jakieś pięć, może pięć i pół godziny po tym, jak został zainfekowany. Był już w tym momencie bardzo zmęczony. Zużył większość sił na wydostanie się poza teren kompleksu i zaczynał odczuwać wczesne symptomy zarażenia. Miał zawroty głowy i mdłości. Natknął się na wycieczkowiczów, gdy ci po zostawieniu minibusa w zatoczce przy szosie przeszli jakieś pięć kilometrów i skręcili w leśną drogę, żeby stracić z oczu wszelkie ślady cywilizacji i rozbić obóz w głuszy. Kiedy się dowiedział, że mają środek transportu, próbował ich namówić, żeby zawieźli go do Reno. Odmówili, więc wymyślił historyjkę o koledze, który złamał nogę. Jaborski nie wierzył mu nawet przez chwilę, ale w końcu zaproponował, że go podwiezie do centrum badań przyrodniczych, skąd będzie można zorganizować akcję ratunkową. Bollinger, któremu oczywiście nie odpowiadało takie rozwiązanie, wpadł w szal. Jaborski i jego zastępca już chcieli go unieszkodliwić, gdy przybyła grupa strażników. Bollinger rzucił się do ucieczki, a kiedy go dopadli, próbował rozedrzeć skafander ochronny jednego z nich. Byli zmuszeni go zastrzelić.

– Astronauci – odezwał się Danny.

Wszyscy na niego spojrzeli.

Kulił się w żółtym kocu na łóżku i drżał, rozpamiętując tamto zdarzenie.

– Astronauci przyszli i nas zabrali.

– Tak – mruknął Dombey. – Pewnie w tych kombinezonach wyglądali trochę jak astronauci. Przywieźli ich tu i zamknęli w izolatkach. Nazajutrz wszyscy nie żyli... z wyjątkiem Danny'ego. – Westchnął. – Cóż... resztę już wiecie.

ŚMIGŁOWIEC LECIAŁ WZDŁUŻ ZAMARZNIĘTEJ rzeki przez omiataną śniegiem dolinę.

Upiorny, lekko fosforyzujący zimowy krajobraz przywodził Alexandrowi na myśl cmentarze. Miał do nich upodobanie. Lubił długie, leniwe przechadzki między nagrobkami. Odkąd sięgał pamięcią, fascynowała go śmierć z jej mechanizmami i znaczeniem i chciałby poznać jej tajemnice. Oczywiście nie życzył sobie tej podróży do miejsca bez powrotu. Nie chciał umierać, pragnął tylko wiedzieć. Za każdym razem, gdy własnoręcznie kogoś zabił, czuł, że wykuwa kolejne ogniwo łączące go z tamtym światem. Miał nadzieję, że gdy stworzy dostatecznie długi łańcuch, w nagrodę będzie mu dane ujrzeć to, co jest po drugiej stronie życia. Może gdy pewnego dnia stanie na cmentarzu przed nagrobkiem jednej ze swoich ofiar, jej duch pozwoli mu zobaczyć śmierć. I wtedy będzie wiedział.

– Już niedaleko – odezwał się Jack Morgan.

Alexander niecierpliwie spoglądał na kłęby śniegu, w których śmigłowiec przypominał ślepca, który co sił w nogach biegnie przez niekończącą się ciemność. Dotknął pistoletu w kaburze pod pachą i pomyślał o Christinie Evans.

– Zabij Strykera, jak tylko go zobaczysz – przykazał Kurtowi Hensenowi. – Do niczego nie jest nam potrzebny. Ale kobietę oszczędź. Chcę ją przesłuchać. Powie mi, kto zdradził. Powie mi, kto jej pomógł w ośrodku, nawet jeśli będę musiał łamać jej palce jeden po drugim.

* * *

– DANNY WYGLĄDA STRASZNIE – odezwała się Tina, gdy Dombey zakończył swoją opowieść. – Zwalczył chorobę, ale czy na pewno nic mu nie będzie?

– Tak sędzę – odparł naukowiec. – Trzeba go tylko podkarmić. Wymiotował, bo jak już mówiłem, wciąż go zarażali, chcąc się przekonać, ile zniesie. Kiedy stąd wyjdzie, powinien szybko przybrać na wadze. Tylko że jest pewien problem...

Tina zeszywniała, wykrywając nutę zmartwienia w jego głosie.

– Co takiego?

– Kiedy go zainfekowali, w płacie skroniowym mózgu pojawiła się zmiana.
Zrobiło jej się słabo.

– Nie...

– Ale najwyraźniej nie zagraża życiu – dodał szybko Dombey. – Zdołaliśmy ustalić, że to nie guz, ani złośliwy, ani łagodny. Ta zmiana nie wykazuje cech guza. Nie jest to również tkanka bliznowata. Ani skrzep.

– Więc co to takiego? – zapytał Elliot.

Dombey przegarnął ręką gęste kędzierzawe włosy.

– Najnowsze analizy wykazały, że struktura tkankowa w tej zmianie nie odbiega od całej reszty mózgu. Na pozór to nie ma sensu, ale setki razy sprawdzaliśmy dane i nie znaleźliśmy żadnego błędu. Z tym że to niemożliwe. Interpretacja tego, co widzimy na zdjęciach rentgenowskich, wykracza poza nasze doświadczenie. Kiedy więc stąd odjedziecie, zaprowadźcie go do neurologa. Zabierzcie go do dziesięciu specjalistów, w końcu któryś wam powie, co to może być. Nie wydaje się, żeby ta zmiana zagrażała życiu, jednak warto ją obserwować.

Tina wymieniła spojrzenia z Elliotem i wiedziała, że oboje myślą o tym samym. Czy zmiana w mózgu Danny'ego może mieć jakiś związek z jego zdolnościami parapsychicznymi? Czy te zdolności są skutkiem systematycznego zarażania go stworzonym przez człowieka wirusem? Czysty obłąd – ale coś takiego wydawało się wcale nie bardziej nieprawdopodobne niż to, że w ogóle padł ofiarą projektu Pandora. Z jej punktu widzenia tylko ta zmiana w mózgu tłumaczyła nadnaturalne moce jej syna.

Najwyraźniej z obawy, że Tina wyrazi na głos swoje myśli i uczuli Dombeya na tę niewiarygodną prawdę, Elliot spojrzał na zegarek i zarządził:

– Powinniśmy się zwijać.

– Zabierzcie ze sobą kilka dyskietek z opisem przypadku chłopca – poradził im Dombey. – Są w tym czarnym pudełku na stole przy drzwiach. Potwierdzą wasze słowa, kiedy pójdziecie z tą sprawą do mediów. I, na litość boską, zwróćcie się do nich jak najszybciej. Dopóki będziecie jedynymi postronnymi osobami, które wiedzą, co się tu stało, będą na was polować.

– Aż za bardzo zdajemy sobie z tego sprawę – powiedział Elliot.

– Elliot, Danny nie da rady iść o własnych siłach – odezwała się Tina. – Weźmiesz go na ręce? Jest wprawdzie lekki jak piórko, ale tobie łatwiej będzie go nieść.

Dał jej pistolet i podszedł do łóżka.

– Możecie najpierw wyświadczyć mi przysługę? – zapytał Dombey.

– Jaką?

– Przenieście tu doktora Zachariaha i wyjmijcie mu knebel. Zwiążcie mnie i zakneblujcie, a potem zostawcie w laboratorium. Spróbuję wszystkim wmówić, że to on się zgodził z wami współpracować. I jak będziecie opowiadać tę historię mediom, przedstawcie ją właśnie w ten sposób.

Tina z lekkim zdziwieniem pokręciła głową.

– Chcesz tu zostać, chociaż uważasz, że rządzi tu banda psychopatów, i nie zgadzasz się ze wszystkim, co się tu dzieje.

– Pustelnicze życie dobrze mi służy, i dobrze mi za nie płacą – odparł Dombey. – Poza tym, jeśli tu nie zostanę, jeśli rzucę tę robotę i znajdę sobie posadę w jakimś cywilnym ośrodku badawczym, ubędzie stąd jeden głos rozsądku. Jest tu kilka osób, które mają poczucie społecznej odpowiedzialności za swoją pracę. Jeśli wszyscy odejdziemy, zostaną tylko tacy ludzie jak Tamaguchi i Zachariah. Nie będzie już nikogo, kto mógłby równoważyć ich chore ambicje. Jak sądzicie, jakie wtedy badania będą tu przeprowadzać?

– Ale kiedy nasza historia trafi do mediów, prawdopodobnie będą musieli zamknąć ten ośrodek – powiedziała Tina.

– Wykluczone. Ktoś musi to robić, ponieważ należy zachować równowagę sił między nami a państwami totalitarnymi, jak Chiny. Może rząd będzie udawać, że nas zamknęli, ale nie ma co się łudzić. Tamaguchi i kilku jego najbliższych współpracowników stracą pracę. To będzie małe trzęsienie ziemi, ale wyjdzie wszystkim na dobre. Jeśli zdołam przekonać władze, że to Zachariah ujawnił wam tajemnice, i zachowam moje stanowisko, to może dostanę awans i zyskam większe wpływy. – Uśmiechnął się. – A przynajmniej podwyżkę.

– W porządku – zgodził się Elliot. – Zrobimy, jak chcesz. Musimy się jednak pośpieszyć.

Przenieśli Zachariaha do izolatki i wyciągnęli mu knebel z ust. Doktor prężył sznury i przeklinał Elliota. Gdy wyczerpał zasób inwektyw pod jego adresem, zaczął pomstować na Tinę, Danny'ego i Dombeya. Dopiero gdy wynieśli chłopca i zatrzasnęli hermetyczne drzwi, uwolnili się od jego wrzasków.

– Zaspokójkcie moją ciekawość – poprosił Dombey, kiedy Elliot resztką sznura przywiązywał go do krzesła.

– W związku z czym?

– Kto wam powiedział, że chłopiec tu jest? Kto was wpuścił?

Tina zamrugiała. Nie miała pojęcia, co odpowiedzieć.

– Dobrze, rozumiem – mruknął Dombey. – Nie chcecie wydać kreta, kimkolwiek on jest. Ale powiedzcie mi jedno. To ktoś z ochroniarzy czy z personelu

medycznego? Chciałbym myśleć, że to naukowiec, że któryś z moich kolegów w końcu postąpił właściwie.

Tina spojrzała na Elliota.

Ten pokręcił głową: nie.

Zgadzała się z tym, że ujawnianie talentów Danny'ego może nie być rozsądne. Świat uznałby go za wybryk natury, każdy chciałby go zobaczyć i dotknąć. Co więcej, gdyby wyszło na jaw, że zdolności paranormalne są skutkiem zmian spowodowanych w płacie skroniowym przez wielokrotne zarażanie go wirusem wuhan-400, rząd zleciłby poddanie chłopca wszelkim możliwym badaniom. Nie, nikomu nie powie, co potrafi Danny. Jeszcze nie. Dopóki wraz z Elliotem nie zastanowią się nad tym, jaki wpływ na życie jej syna mogłoby mieć ujawnienie świata tego fenomenu.

– To jeden z naukowców – skłamał Elliot. – Wpuścił nas tu pewien doktor.

– To dobrze – rzucił Dombey. – Miło mi to słyszeć. Żałuję, że zabrakło mi odwagi, żeby zrobić to dawno temu.

Elliot wsunął mu do ust zwiniętą chusteczkę.

Tina otworzyła zewnętrzne drzwi.

Elliot podniósł Danny'ego.

– Ważysz tyle, co nic, mały. Będziemy musieli zabrać cię prosto do McDonalda i podtuczyć hamburgerem z frytkami.

Chłopiec odpowiedział leciutkim uśmiechem.

Tina z pistoletem w ręce pierwsza szła korytarzem. W pokoju w pobliżu wind ludzie wciąż śmiali się i rozmawiali, ale nikt stamtąd nie wyszedł.

Danny błyskawicznie uporał się z zabezpieczeniami windy i gdy tylko wsiedli, kabina ruszyła w górę. Marszczył czoło, jakby się koncentrował, ale poza tym nic nie wskazywało, że ma jakiś wpływ na jej ruch.

Korytarze na górze były puste.

W pokoju ochrony starszy mężczyzna wciąż siedział zakneblowany i związany na krześle. Spojrzał na nich ze złością i strachem.

Tina i Elliot z Dannym minęli go i wyszli w zimną noc. Uderzył w nich śnieg.

Nagle przez wycie wiatru przebił się inny dźwięk. Tina potrzebowała kilku sekund, żeby go rozpoznać.

Helikopter.

Zmrużyła oczy, patrząc w śnieżną noc, i dostrzegła maszynę nad wzniesieniem na zachodnim krańcu półki skalnej. Co za szalenięc lata w taką pogodę?

– Do samochodu! – krzyknął Elliot. – Szybko!

Pobiegli do explorera. Tina wzięła syna z ramion Elliota, posadziła go na tylnym siedzeniu i wsiadła.

Elliot wskoczył za kierownicę i przekręcił kluczyk. Wiedział, że silnik nie odpali od razu.

Tymczasem śmigłowiec zmierzał prosto w ich stronę.

– Kto nim leci? – zapytał Danny, patrząc przez boczną szybę.

– Nie wiem – odparła Tina. – Ale to nie są dobrzy ludzie, skarbie. Są jak ten potwór z komiksu. Ten, którego pokazywałeś mi w snach. Nie chcą, żebyśmy się stąd wydostali.

Danny patrzył na zbliżający się śmigłowiec. Jego czoło znów się zmarszczyło.

W tym momencie silnik zaskoczył.

– Dzięki Bogu! – Elliot odetchnął z ulgą.

Ale linie nie zniknęły z czoła chłopca.

Tina zrozumiała, co robi jej syn.

– Danny, zaczekaj! – krzyknęła.

* * *

ALEXANDER SIEDZIAŁ POCHYLONY, ŻEBY widzieć explorera przez wypukłą szybę śmigłowca.

– Posadź nas prosto przed nimi, Jack – polecił pilotowi.

– Robi się – odparł Morgan.

Alexander zwrócił się do Hensena, który miał karabin:

– Jak mówiłem, załatw Strykera, ale nie kobietę.

Nagle, gdy byli pięć, sześć metrów nad ziemią, maszyna zaczęła się wznosić. Szybko zwiększała wysokość: dziesięć, piętnaście, dwadzieścia metrów...

– Co się dzieje? – zapytał Alexander.

– Drażek – odparł Morgan. Strach, którego nie było słychać przez cały koszmarne lot przez góry, teraz wystrzył mu głos. – Nie mogę ruszyć tym cholerstwem. Zamarzło i ani drgnie.

Dwieście pięćdziesiąt, trzysta, czterysta metrów. Wznosili się pionowo w nocne niebo.

Silnik ucichł.

– Co, do kurwy...? – warknął Morgan.

Hensen wrzasnął.

Alexander patrzył, jak śmierć mknie mu na spotkanie, i wiedział, że jego ciekawość, co jest po drugiej stronie, za chwilę zostanie zaspokojona.

* * *

– To BYLI ŹLI ludzie – powiedział Danny, gdy omijając płonący wrak śmigłowca, opuszczali półkę skalną. – Nie przejmuj się, mamó. Naprawdę źli.

Wszystko ma swój czas, przypomniała sobie Tina. Czas zabijania i czas leczenia.

Przytulała syna i patrzyła w jego ciemne oczy, i te słowa z Biblii nie niosły jej pociechy. Z oczu Danny'ego wyzierało zbyt wiele bólu, zbyt dużo wiedzy. Wciąż był jej słodkim chłopcem, a jednak się zmienił. Rozmyślała o przyszłości. Zastanawiała się, co ich czeka.

POSŁOWIE

Oczy ciemności są jedną z sześciu powieści napisanych przeze mnie pod pseudonimem Leigh Nichols, którego już nie używam. Mimo że powstała jako druga w kolejności, ukazała się jako szósta i ostatnia z serii książek wznowionych pod moim własnym nazwiskiem. Poprzednich pięć to *Słudzy ciemności*, *Nieśmiertelny*, *Drzwi do grudnia*, *Pieczara gromów* i *Klucz do północy*. Ich publikacja była możliwa dzięki zainteresowaniu czytelników i jestem Wam wszystkim bardzo wdzięczny.

Jeśli czytaliście posłowie do *Tunelu strachu* czy *Klucza do północy*, to wiecie, że lubię się zabawiać, ujawniając szczegóły tragicznej śmierci moich dawnych pseudonimów. Z pewnym zażenowaniem przyznaję, że nie zawsze trzymałem się prawdy. Poprzednio napisałem, że podczas rejsu statkiem wycieczkowym po Karaibach Leigh Nichols wypił zbyt wiele szampana i tańcząc limbo, stracił głowę, dosłownie, w nadzwyczaj dziwnym wypadku. Wzruszyły mnie listy z kondolencjami i relacje z mszy za jego duszę. Gdy *Headline* postanowiło wydać szóstą i ostatnią z powieści Leigha Nicholisa, muszę wyznać, że skłamałem, żeby nie wyjawić prawdziwego – i bardziej niepokojącego – losu, jaki spotkał Nicholisa. Otóż pewnej ponurej, wietrznej nocy Leigh Nichols został porwany przez kosmitów, którzy zafundowali mu wycieczkę po naszym Układzie Słonecznym, przedstawili go królowej Gniazda i przeprowadzili na nim szereg przerażających operacji. Biedak w końcu wrócił na Ziemię, był jednak w zbyt wielkim szoku, żeby kontynuować karierę literacką. Dopiero po jakimś czasie rozpoczął nowe życie jako obecny dyktator Iraku.

Oczy ciemności były jedną z moich pierwszych prób napisania powieści wielogatunkowej, łączącej akcję, sensację i romans z odrobiną zjawisk paranormalnych. Czytelnicy, którzy wykopali w antykwariatach wydaną pod pseudonimem powieść, ocenili ją łaskawie, mimo że brakuje jej napięcia, głębi psychologicznej, rozbudowanego wątku i tempa późniejszych książek jak *Opiekunowie czy Zwierciadło zbrodni*; nie jest równie drapieżna jak *Intensywność*. Przypuszczam, że spodobała się dlatego, że historia o zaginionym dziecku i pełnej

poświęcenia matce gotowej zrobić wszystko, żeby poznać jego los, uderza w naszą najwrażliwszą strunę.

Przygotowując książkę do nowego wydania, oparłem się pragnieniu przerobienia jej w taki sposób, żeby przypominała moje późniejsze powieści. Uaktualniłem jedynie kulturowe i polityczne odnośniki, poprawiłem kilka rażących błędów stylistycznych i gdzieś tam zredukowałem liczbę słów. Z przyjemnością wróciłem do *Oczu*, zasadniczo nieskomplikowanej opowieści opartej głównie na fabule i dziwności założenia, którego celem było zaintrygowanie czytelnika. Mam nadzieję, że lektura Was wciągnęła i spodobała Wam się literacka podróż przez sześć książek Leigha Nicholasa. Jeśli kiedyś będziecie w Iraku, odmieniony przez operacje plastyczne autor z radością podpisze Wam swoje książki – albo przeklnie Was jako niewiernych i wtrąci do lochu gorszego od ścieku. Szukajcie odpowiedzi na własne ryzyko.